

JULIE MYERSON

Laura

Dla Chloe - pisarki, córki, chłopczycy, przyjaciółki - z  
wyrazami miłości

## Burza

Robię to w parne, burzowe popołudnie późnego lata, krótko po przybyciu wieczornej poczty i trochę przed zapaleniem lamp gazowych.

Jest piąta, a powietrze zrobiło się żółte. Po niebie przetacza się grzmot.

Nie da się tego zrobić szybko. Cóż, to potężny mężczyzna - prawie metr osiemdziesiąt wzrostu bez butów - a ze mnie nie jest zbyt postawna kobieta. Na moją korzyść jednak działa zaskoczenie. On niczego się nie spodziewa... nie może w to uwierzyć. Tak samo jak ja. Na koniec używam nawet swoich kul. Nie przestaję, dopóki nie padnie na podłogę i nie zacznie się wić, dopóki nie przestanie krzyczeć i wrzeszczeć, dopóki nie padnie.

Powietrze rozbłyska. Pojawia się deszcz - najpierw drobny jak igiełki, potem rzęsisty.

Stoję tak dłuższą chwilę zelektryzowana tym, co zrobiłam. Ciekawe, że wciąż trzymam w ręce ciężki przycisk do papieru w kształcie psa. Myślałam, że go odłożyłam. Kulę ściskam pod pachą tak mocno, że aż boli. Powietrze jest gorące - słodkie i lepkie. Muszę do toalety. Fatalnie, że akurat teraz musiałam dostać okres.

Powinłam się ruszyć, ale nie mogę. Nie mogę oderwać od niego wzroku. Powinien nie żyć, lecz jego nerwy jeszcze o tym nie wiedzą. Czy to dlatego oczy mu się wciąż wywracają i podrygują członki? Nie mocno, ledwo zauważalnie.

Odstawiam przycisk na stół. Ostrożnie, tak by cały czas mieć go pod ręką.

- Ewan - mówię, opierając się na kuli i lekko się nad nim pochylając. - Nic ci nie jest?

Wcale nie oczekuję, żeby mu nic nie było, ale co innego mogę powiedzieć? Jak do niego przemówić?

- Ewan? Ewan? Wszystko w porządku?

Nie odpowiada. Nawet nie jęknie. Podrygiwanie ustało, a on leży tak cicho i tak nieruchomo, jak jeszcze nigdy nie widziałam. Sprawia, że mój własny głos brzmi zbyt donośnie.

Naprawdę powinnam zapalić lampy, ale nie chcę. Pomieszczenie jest mroczne, wyzute z kolorów przez burzę, ale wydaje mi się, że w tej chwili wcale nie chciałabym go widzieć lepiej. Jego ciało na podłodze w kuchni - w naszej kuchni - płynąca krew.

Tak, cieszę się z tej ciemności. Patrzcie tylko, jak się trzęsę, jestem taka zmęczona. Zmęczony mój mózg, taki zmęczony...

Nie mogę uwierzyć, że leje się tyle krwi. Wydaje mi się, że czuję jej zapach. Zapach krwi i czegoś jeszcze innego.

Widok jest okropny. Nie do oglądania, dla nikogo. Jego samego oczywiście by nie poruszył, ale nie jestem taka jak on. Nie przywykłam do oglądania ludzi od środka. Wszystko jest nie tak, jak się spodziewałam. Szkoda, że nie pomyślałam, by narzucić mu coś na twarz. Mogłabym coś przynieść. Jak tylko zgromadzę dość sił, by pomyśleć.

Burza nie przechodzi - grzmoci tak, jakby się niebo miało otworzyć. W zasadzie to miałam szczęście, bo huk piorunów zagłuszył jego krzyki, gdy padał. Ale ten szloch teraz - czy to on, czy ja? Mam nadzieję, że ja. Fakt, że trudno stwierdzić, co robię, a czego nie robię - jeden czyn tak nierozzerwalnie stapia się z drugim.

Jestem roztrzęsiona, dusi mnie i kręci mi się w głowie. Wiem, co teraz zrobię: wytrę ręce w najlepszy lniany obrus jego matki, ha, ha, przysiądę na chwilę na skrzyni i zastanowię się, co dalej.

Spokój. Siedzę tu w idealnie gęstej ciemności, myśląc, jak dobrze pobyć ciszy. Nic, tylko szmer własnego oddechu...

Ileż tu zasłon w tym domu - jego matka tak go urządziła z tymi swoimi czarnymi papieroskami i nieustanną krytyką

ludzkich charakterów. To był okropny dom, kiedy żyła, i pozostał niemal równie okropny, gdy zmarła. Żli umarli pozostawiają po sobie swój trwały ślad. Pewnie mają powody.

Próbując się uspokoić, zauważam ku swemu przerażeniu, że spódnicę całą mam zachlapaną jego krwią - a moja kula, końcówka jednej z mych kul oblepiona jest jego włosami i czym tam jeszcze.

Chwytając za gzyms nad piecem kuchennym, a potem za stół, by nie upaść, przytrzymując się mebli, okrążam kuchnię, by opłukać drewnianą końcówkę w dużym głębokim zlewie, tym, przy którym Verity zwykle szoruje rzepę. Puszczam wodę. No już - jasny kosmyk włosów spływa wraz ze strzępem przyczepionej do niego skóry.

Zrobiło się tak cicho - burza pewnie mija. Od czasu do czasu drgnienie światła i odległe dudnienie grzmotu.

Drzwi do spiżarni są otwarte - to tam walczyliśmy. Pospadały puszki, potłukły się ceramiczne naczynia, na podłodze wylądował słoik musztardy i pół szynki. Już się jej nie zje. W mięso powbijał się brud i piasek. To tutaj walczyliśmy - hm, mówię walczyliśmy, choć on był na czworakach. Po chwili wyczołgał się z powrotem tutaj i musiałam się na niego rzucić od nowa.

Strasznie to dziwne i niesamowite widzieć go, mojego męża, na podłodze. Jak jakieś dziecko albo psa. Hej, Ewan, jak stamtąd, z dołu wszystko wygląda? Przykro mi, mój drogi, przykro mi, że odchodzisz w taki właśnie sposób, ale dzięki temu przynajmniej nie wyrządzisz mu krzywdy. Musiałam temu zapobiec. Są pewne sprawy, o które człowiek jest w stanie walczyć bardziej zaciekle, niżby się po sobie spodziewał. A ja nie mogłam pozwolić ci go skrzywdzić, po prostu nie mogłam.

Cóż, teraz już chyba o tym wiesz.

Ma na imię Billy, lecz Ewanowi tego nie powiedziałam.

Powiedziałam za to: - Nie próbuj mnie zatrzymać. Nikt ani nic mnie nie zatrzyma. Przykro mi. Odchodzę. I nie wrócę, Ewanie.

Nadal trzymał tę swoją gazetę, choć twarz miał bladą jak ściana. Lubił wieczorną gazetę. Czytał ją od początku do końca, a potem wracał znów na początek, by sprawdzić, czy czegoś nie przeoczył.

- Słyszałeś mnie, Ewan?

- Dokąd? - rzekł z półuśmiechem, jakby to był żart. - Dokąd się wybierasz?

- Zamieszkać z kimś - powiedziałam. Było to bardzo odważne z mojej strony, powiedzieć coś takiego: „z kimś”. Nie przypuszczałam, że to zrobię, lecz słowa same przyszły, wystrzeliły prosto z mojej głowy.

Ewan złożył gazetę, lecz jej nie wypuszczał.

- Ach tak - powiedział, rzeczowy i spokojny jak nauczyciel ze szkoły niedzielnej. - Z kim?

- Z kimś - odrzekłam.

Zrozumiał. Odmalowało się to na jego twarzy.

- Nie znasz go - dodałam. - To ktoś, kogo poznałam. Ewan wstał. Podeszedł do mnie, więc delikatnie się odsunęłam.

- Mężczyzna? Skinęłam.

- Lauro! - zawołał. - Ty... Co ty mówisz?

Nie odezwałam się. Oczy wypełniły mi się łzami. Mówiłam sobie, że nie będę płakać, lecz teraz moje oczy nie słuchały. Ewan nabrał otuchy.

- Lauro - rzekł. - To niedorzeczne. Zwariowałaś. Pomimo wszystko wiesz, że cię kocham. Nikt nie może kochać cię bardziej ode mnie.

- Doprawdy, Ewanie - syknęłam przez łzy. - Pomimo wszystko! Doprawdy! Chciałeś mnie przez to rozbawić?

Powoli i ostrożnie, jak gdyby była ze szkła, odłożył gazetę. Założył ręce na piersi.

- Nie możesz odejść. - Powiedział to sztywno i bez wysiłku. Powiedział to tak, jakby decyzję podjął ktoś inny.

Nic nie odpowiedziałam. Patrzyłam, jak do domu zakradają się cienie - nad jego głowę, okalając drzwi i jego twarz. Oblizwał wargi. Denerwował się. No proszę, pomyślałam. Wytrąciłam go z równowagi.

- Nie pozwolę ci odejść - oznajmił. - Wiesz przecież.

- Niby jak mnie zatrzymasz? - spytałam łagodnym głosem. Zauważając z satysfakcją, że drżą mu ręce, odsunęłam się od niego o kroczek. Potem o większy krok. Coraz więcej tych cieni, aż nagle do pokoju wemknął się błysk późnego słońca, padł na ścianę i znikł przed naszymi oczu, jakby wcale nie zamierzał się nam pokazać. Jakby pożałował.

- Przykro mi - rzekłam. - Ale to nie to, co myślisz.

- Ach tak? A co ja właściwie myślę?

- Kocham go - powiedziałam. - Ale z innego powodu.

Ewan odchylił głowę - dość sztywno - i wybuchnął śmiechem.

- To prawda - zapewniłam, po czym zawahałam się lekko.

- Chodzi o moje dziecko.

- To on? - Ewan wydawał się wstrząśnięty. - Mężczyzna, który...?

- Nie - zaprzeczyłam szybko. - Oczywiście, że nie.

- Kto to jest?

- Nie powiem.

- Rozumiem, że mowa jest o mężczyźnie? Rozmawiamy o jakimś przeklętym mężczyźnie? Jednym z tych obiboków z twojego przytułku?

- Nie - odparłam. - Niezupełnie, Ewanie. On pracuje przy budowie kanałów. Przebudowuje to miasto, wiesz? Czyni je...

Przygryzłam wargę. Powiedziałam za dużo. Ewan znów parsknął śmiechem. - Ach tak? Przy budowie kanałów? A jakże mu na imię, moja droga?

- Nie powiem. Nie próbuj mnie zmuszać. To nie ma sensu. To ktoś, kogo szukałam, kto jest dla mnie ważny, i tyle.

Ewan udał, że chowa twarz w dłoniach, ale nie była to rozpacz. On po prostu myślał.

- Wybacz, Lauro - powiedział. - Pozwól, że coś ci wyjaśnię. Nie możesz tak po prostu mnie zostawić, nie możesz zwyczajnie uciec do jakiegoś szczura kanałowego, moja miła, nie ma mowy. Chcę przez to powiedzieć, że... - zgrzytnął zębami - że jesteś moją żoną, do jasnej cholery!

Do jasnej cholery? Zabrzmiało to, jak jakaś obca mowa, jakby odezwał się któryś ze straganiarzy o szarych twarzach z Saffron Hill.

- Cóż - rzekłam - wiem o tym, Ewanie, oczywiście, że...

- Czy chcesz powrócić tam, skąd przyszedłeś? - spytał. Wzruszyłam ramionami.

- Lauro...

Obserwowałam jego twarz. Obserwowałam, jak hamuje wściekłość. Miał dość rozumu, by wiedzieć, że nic dobrego mu z niej nie przyjdzie.

- Proszę - rzekł, nie podnosząc głosu, i wiem, że jego zdaniem zabrzmiało to łagodnie i rozsądnie - proszę, moja droga, zastanów się, co robisz...

- Już się zastanowiłam - odparłam spokojnie. - Od dłuższego czasu nie myślę o niczym innym.

Ewan westchnął, przeczesał palcami płomienne włosy. Takie rude. Kiedy go pierwszy raz ujrzałam, ich jaskrawy kolor działał mi na nerwy. Z czasem nauczyłam się nie patrzeć na nie, kiedy się tylko dało.

- Pamiętasz siebie wtedy, gdy się poznaliśmy, Lauro, gdy przyszedłeś do mnie...

- Wcale do ciebie nie przyszedłam - zaprzeczyłam szybko.

- W szpitalu - upierał się. - Kiedy cię przywieziono... Spodobałaś mi się... od pierwszego...



Zwiesiłam ręce wzdłuż boków. - Byłam bardzo nieszczęśliwa i zagubiona - przyznałam. - Nie miałam wyboru.

Natychmiast pożałowałam tej swojej szczerości. Był to jeden z fatalnych talentów Ewana, a jakże, to wyciskanie cząstek prawdy, aż pustka, z którą człowiek pozostał, odbierała mu mowę.

Moje wyznanie dodało mu sił.

- Otóż to - rzekł.

- To znaczy...

- Nie jesteś - jak to powiedzieć? - prostą babą, Lauro - odpowiedział. - Dlatego złoścę się na ciebie tylko trochę. Jesteś kobietą niezwykłą... twardo stąpasz po ziemi, a jednocześnie masz wielką wyobraźnię... zbyt wielką, by mogła ci wyjść na dobre...

Próbowałam wejść mu w słowo, lecz mówił dalej.

- Obce ci jest poczucie wstydu czy niesmaku. Popadasz w dziwne stany i nie wiesz, co robisz.

- Nie chcę więcej twoich pigułek - powiedziałam szybko i stanowczo - świetnie sobie radzę bez nich. Od tygodni już lądują w śmieciach, więc sam widzisz...

Ewan uśmiechnął się. - Nie wierzę ci.

Znowu wzruszyłam ramionami, lecz nie podobało mi się, że tak każe mi zbaczać z tematu.

- Wybawiłem cię z kłopotów - mówił. - Czy nie zmieniłem twego życia na lepsze? Pamiętasz, że wiem o tobie wszystko, Lauro. Nie łudź się. Nie ukryjesz się przede mną...

- Zatem pozwól mi odejść. Skoro tyle o mnie wiesz, to pozwól mi odejść, tak będzie lepiej dla ciebie!

- Nie to miałem na myśli - powiedział, a mnie nie spodobały się jego oczy, gdy na mnie spojrzał.

Milczałam. Usłyszałam odległy grzmot, stukot pierwszych kropli deszczu o ciemną szybę.

Ewan wpatrywał się w deszcz, jakby ten mógł mu coś powiedzieć.

- Jak on się nazywa i dla kogo pracuje? Nie odpowiadałam.

- Kto to jest? Powiedz mi, Lauro. Sam z łatwością mogę się dowiedzieć...

- Nic ci do tego, kto to jest! - wrzasnęłam nagle.

Ewan nawet się nie skrzywił. Ostrożnie, ze znużeniem, jakby wiedział, że jestem nieobliczalna i nie należy mi ufać, położył ręce na bocznych oparciach krzesła. Wypuścił powietrze.

- Nie wiem, dlaczego mnie poślubiłaś - powiedział powoli.

- Ja też nie wiem - odrzekłam głosem tak lekkim, na jaki mnie tylko było stać.

- Kocham cię - wyznał oskarżycielskim tonem. Nic nie odpowiedziałam.

- Słyszysz mnie?

Pocił się. Zobaczyłam spływającą mu po boku strużkę. Staralam się o tym nie myśleć.

- Och, daj już spokój.

Próbował się uśmiechnąć, lecz wzrok miał niewidzący i gniewny. Jeszcze raz usiłował złapać mnie za rękę, ale zwinnie się wymknęłam. Odchrząknął.

- Niczego ze sobą nie weźmiesz - oznajmił. - Odejdiesz z niczym.

- Świetnie.

- Bez żadnych strojów. Jak obędziesz się bez swoich błyskotek?

- Wcześniej jakoś się bez nich obywałam. Ewan uśmiechnął się. - W przytułku?

- Nie wrócę tam.

- Jakie niby życie zdoła ci zapewnić budowniczy kanałów? Pokręciłam głową. - Nie na tym polega miłość, Ewanie.

- Ach - rzekł - więc teraz to jest miłość? Ty idiotko, mówisz jak jakaś nieszczęsna pomywaczka z Essex, ptasi mózdek, nie słyszysz siebie?

Uśmiechnęłam się znowu, nie miałam takiego zamiaru, lecz nie zdołałam się powstrzymać. Na myśl o Billym zawsze robiło mi się ciepło koło serca.

- Znam cię - powiedział Ewan, lecz w jego głosie nie było ani śladu miłości, jedynie poczucie wyższości i zaborczość. - Znam cię jak nikt inny...

- Nie, Ewanie - odparłam, lecz on mnie zignorował. Wyciągnął rękę, chcąc mnie ku sobie przygarnąć, jak gdybym była jedną z jego rzeczy. I wtedy już wiedziałam, że coś mu zrobię.

- Przestań - rzuciłam ostro.

- Znam wszystkie...

- Nie chcę tego słuchać.

- Możesz wracać do tych swoich włóczęgów i nędzarzy, jeśli chcesz, ale bez trudu cię znajdę, a gdy cię znajdę, nie skrzywdzę cię... wiesz dobrze, prawda, Lauro, że nigdy bym cię nie skrzywdził, ale klnę się na Boga, że zrobię krzywdę jemu...

- Przestań - powtórzyłam.

- Jeżeli tak wiele dla ciebie znaczy, kimkolwiek jest, wyrządę mu taką krzywdę, że nie będzie chciał cię znać, moja droga... nie mówiąc już - tu Ewan znów się roześmiał - o budowaniu cholernego nowego Londynu...

- Nie! - krzyknęłam.

- To nie będzie trudne. Pomyśl, kim jestem, a kim jest on. Pomyśl tylko o tym.

Na gzymsie nad piecem stał niezwykle ciężki spaniel wykonany z brązu i marmuru - tak mi się przynajmniej zdaje, że to był marmur, matowy, nakrapiany kamień różowawej barwy. Pies myśliwski. Miał postawione uszy, a z uradowanego pyska zwisało przyniesione martwe zwierzę. Jakiś pacjent podarował go Ewanowi w dowód wdzięczności. Dlatego wydawało się to takim dziwnym i nieszczęśliwym zbiegiem okoliczności, że teraz zamierzałam rozłupać mu nim głowę.

Dwie sekundy... może trzy... i już wszystko zrozumiał. Zdążył tylko krzyknąć: - Lauro, nie!

Lecz absolutnie nie zdążył uskoczyć, zanim przycisk wbił mu się w głowę.

- Lauro, nie!

Wspaniała broń. Tak ciężka, że już samo jej dźwignięcie zdawało się wrywać ramiona ze stawów. Pamiętam, że oboje śmialiśmy się z tego psa, gdy go dostaliśmy, takie bezużyteczne, ciężkie byle co w eleganckiej jedwabnej torebce na prezenty.

Ewan nie lubił ozdób. Większość zbędnych rzeczy w domu była moja. Pawie pióra o mętnych, niewidzących oczkach, nabrzmiałe szklane paciorki i kupowane na targu inne błyskotki. Ale ten pies, cóż, nie lubiło go żadne z nas. Taki szkaradny, do niczego niepotrzebny - teraz miał się na coś przydać.

Przy pierwszym ciosie poczułam delikatne ugięcie, wklęsłość powstającą w kości i mózgu. Od razu trysnęła krew, chlapiąc na lamperię, która dopiero co została pomalowana na kremowy kolor. Taki dżem i krem. Zrobiłam wdech, a powietrze, wypełniając głowę, przyprawiło mnie o jej lekki zawrót.

Roześmiałam się czy może krzyknęłam.

Na dworze burza grzmiała coraz głośniejsze. Deszcz lał jak z cebra, bębniąc o ołowiane gzymsy i rynny. I ilekroć huknął grom, niebo jaśniało.

Ewan był bardzo dzielny, naprawdę. Nie licząc tej pierwszej próby, gdy chciał mnie powstrzymać, w ogóle nie krzyczał.

Patrzył tylko na mnie, zalewając się krwią, aż w końcu, jakby się nic nie stało, wydobył z siebie kolejne słowa, tylko że tym razem nie miały one najmniejszego znaczenia. Lauro - nie - Lauro - nie - Lauro - nie - płynęło z niego bezładnie, zupełnie bez sensu.

Nie chciałam się śmiać, ale nie mogłam się powstrzymać. Moja głowa znalazła się w jakimś innym miejscu, gdzie dobro i zło nie istnieje, gdzie jest tylko teraz i potem. A on wyglądał tak śmiesznie, spadając z fotela - z rozszerzoną przez szok twarzą i krwawą, czarną dziurą zajmującą miejsce ust.

Jakimś cudem dźwignął się i dowlóknął do spiżarni - być może w nadziei, że uda mu się tam zamknąć. Byłam jednak dla niego za szybka. Rzuciłam się przez kuchnię, trzasnęłam drzwiami i znów wykonałam zamach zwierzęciem z brązu. Tym razem z mniejszą siłą. Trafiłam w twarz i poczułam, jak kość podtrzymująca nos trzeszczy niczym cukier.

Rozległ się brzęk emaliowanych naczyń, spadających z półek słoików, tłukącej się ceramiki. Wtedy właśnie zobaczyłam sunącą po podłodze szynkę, w półświatle różową i lśniącą.

Ewan leżał na podłodze i kwilił jak młode jakiegoś zwierzęcia. Pełno w tych dźwiękach było smarków i bezradności.

Zdzieliłam go mocno swoją kulą.

Od samego początku wiedziałam, gdzie i jak mieszka Billy. Nietrudno się było dowiedzieć, że wraz ze swoją chudą

niby - żoną i czwórką dzieci zajmuje jakąś ciasną, zapuszczoną klitkę w Shanklin Court.

Wiedziałam, że żona ma na imię Cally, zdrobniale od Caroline, i że wraz z małą Pinny i jeszcze mniejszą Lulu śpi w szerokim pojedynczym łóżku przy oknie. Wiedziałam, że najmłodsza Dora, sypia niespokojnie obok nich w namiastce łóżeczka ze skrzynki po bananach.

Wiedziałam, że Billy w sąsiednim pokoju dzieli łóżko z Arthurem, jedynym chłopcem w rodzinie, jako że drugi umarł. Wiedziałam, że przeważnie w ten właśnie sposób sypiają, ale gdy jemu i Cally zbierze się na amory, przekładają dzieciaki, żeby sobie dogodzić.

Wiedziałam, co znaczy żyć nad rzeką, bo czyż sama nie spędziłam nad nią tak wielu lat? Choć mój drogi ojciec wychowywał mnie w porządnym, przytulnym domu ze służącą i wspaniałym widokiem na Tamizę, pełnym książek i map, to w wieku piętnastu lat znalazłam się na ulicy i zawędrowałam nad rzekę z tego tylko powodu, że wydawała mi się znajoma.

I dopóki nie poślubiłam Ewana, pomieszkiwałam wzdłuż jej brzegów w bloku i otępiającej wilgoci, w domkach, pokojach, na stopniach przytułku z najędźniejszym robactwem - a raz nawet pod brezentem rzuconym na kamyki przy fabryce bielidła niedaleko Nash's Yard.

Nawet gdy znalazłam się w więzieniu Tatum Fields, nie uciekłam przed znajomym smrodem. Więzienie stało na tyle blisko rzeki, że w pralni stale czuć było obrzydliwy zapach i wilgoć i najczęściej brodziło się po kostki w mętnej, brązowej wodzie.

W pralni Tatum toczyła się nieustanna walka z wilgocią. Ubrania można było odkażać, rzecz jasna, ale czasem lepiej było dać spokój pełzającym po nich wszom, bo raz zamoczone w stęchłej wodzie, w zasadzie nie dawały się wysuszyć.

Miałyśmy drewniane kozły do suszenia - suszenia? Dobrze sobie! Koniec końców prasowałyśmy wszystko na mokro i oddawałyśmy nadal wydzielające siarkowe opary i cuchnące.

Mówię o tym wszystkim, bo kiedy żyje się nad rzeką, to jej bliskość narzuca pewien styl, nie daje o sobie zapomnieć. Człowiek dobrze wie, jak to jest, gdy wilgoć lgnie do twarzy i włosów niezależnie od pory roku, jak budynki chylą się ku sobie tak bardzo, że kryją biegnące wzdłuż nich zaułki w permanentnym cieniu. Jak zimą wszystko jest zalewane, a latem wszędzie unosi się koszmary smród, no i oczywiście cholera, która znajduje drogę do płuc, niesiona z wiatrem w tym obrzydliwym powietrzu.

Mówili, że budowa, przy której pracuje Billy, ma nas przed tym wszystkim uchronić, choć wspomnieć muszę, że nawet sam B. nie bardzo rozumiał jak. Mówili, że gdy prace dobiegną końca, nie poznamy Londynu - koniec będzie z płynącymi rzeką gówenkami, a z Mostu Londyńskiego w olśniewająco błękitnej wodzie znowu będzie można łowić łososie.

Cóż, czas miał pokazać, póki co jednak tam, gdzie mieszkał Billy, było tak mokro i smrodliwie, że cała rodzina musiała stąpać po ceglach, by dojść do wychodka na podwórzu, bo tyle wody i nieczystości chlupało wokół kostek. Życie dodatkowo utrudniała sąsiadka z dołu, czerwona na twarzy i hałaśliwa pani Reeves, niezbyt społecznie usposobiona kobieta, która nigdy nie raczyła nawet wymienić świeczki we wspólnym przybytku, tak iż maluchy Billy'ego, gdy już udało im się doskoczyć po ceglach do wychodka, często kończyły upadkiem w jego wnętrzu.

Wiem także, że rzeczona pani R. szorowała schodki przed wejściem i jęczała jak nawiedzona, gdy któreś z dzieci je podeptało. Tymczasem jej własna córka, jedynaczka, przesiadywała, bidulka, na progach innych domów,

zapomniana zupełnie przez matkę w jej pędzie do wtykania nosa w cudze sprawy.

Wiedziałam, że Billy kocha wszystkie swoje dzieci bez pamięci, ale jest porywczy i czasem nie może się powstrzymać, by im nie wlać. Wiedziałam, że noszą siniaki w różnych fazach dojrzałości na całych swych słodkich buźkach. I że jemu jest z tego powodu strasznie wstyd.

Jednak tak wiele musiał znosić. Wiedziałam, że Arthur urodził się z kartoflem zamiast mózgu i przeważnie kulił się tylko na krześle albo siedział przywiązany, bo inaczej nogi i ręce zaczynały mu podrygiwać.

Wiedziałam, że jednocześnie posiada pewne niezwykle zdolności - że uśmiechnął się pierwszy raz, gdy miał trzy tygodnie, a w wieku dwóch lat potrafił z odległości metra wtoczyć do pustego słoika półpensówkę i że umie poznać, kiedy to najstarsza z sióstr, Pinny, wyjdzie z za rogu sąsiedniej ulicy, wachając tylko wilgotne, drażniące nozdrza powietrze.

Było mi wiadome, że w styczniu spadł z tylnych schodów i na jakiś czas stracił mowę. I że teraz leżał przeważnie albo siedział przywiązany do krzesła bądź łóżka, podczas gdy jego matka robiła pranie albo nosiła wodę do balii. I że to właśnie było przyczyną otarć na kostkach i nadgarstkach, bo przez cały czas miotał się, by się z więzów uwolnić.

Wiedziałam o dzieciach Billy'ego znacznie więcej, bo sama postarałam się dowiedzieć. Wiedziałam, że jego ulubieniec, Jack, zmarł pewnej nocy z powodu przeziębienia, że miał tylko trzy latka i kochał konie tak bardzo, iż całymi godzinami przesiadywał w oknie, by tylko zobaczyć przejeżdżającego szambiarza. I że miał szmacianą zabawkę, namiastkę zabawki właściwie, kupioną od ulicznego handlarza przy Lambeth Walk, którą nazywał „onik”. A nocą najbardziej lubił ssać kciuk, jednocześnie wtykając do nosa kawałek „onika”.



Wiedziałam, że Lulu, średnia z córek, należy do tych małych ludzi, którzy nie usiedzą spokojnie w jednym miejscu. Miała teraz trzy latka, akurat tyle co Jack, kiedy go stracili, co dla niej akurat nie miało najmniejszego znaczenia. Wiedziałam, że jedyne, co ją tak naprawdę obchodzi, to żeby była taka jak inni - duża, beztroska i żywa. Wiedziałam, że wymówiła swe pierwsze słowa, mając zaledwie roczek, lecz nikt tego nie zauważył. I że potrafiła klaskać wesoło w rytm każdej melodii, i że nie moczyła się w nocy, ale lubiła płakać i popadać w histerię, i ogólnie uważana była za dziecko delikatne i drażliwe.

Jednakże tym, co w rodzinie Billy'ego zadawało mi największy ból i wywoływało zazdrość, był fakt, że Billy darzył szczególną i niewyobrażalnie głęboką miłością najstarszą z dziewczynek - tę, która nawet nie była jego.

To właśnie ona, Pinny, kiedy był maluchy, przestawała się do niego odzywać, przez co zaczynał żałować i starał się trzymać nerwy na wodzy. Była typową kobietą w fazie tworzenia. Miała nad nim władzę i mogła go sobie owinąć wokół palca. Znała już wszystkie te subtelności, których poznanie normalnie zajmuje lata całe, a i wtedy w towarzystwie lepiej było się do ich znajomości otwarcie nie przyznawać.

Wiedziałam także, choć Billy utrzymywał, iż jest ze swego życia całkiem zadowolony, że często leży samotnie, nerwowo i smutny w ponurym świetle wstającego dnia, czując w ustach cierpki posmak boczku smażonego w Shanklin Court i wiedząc, że dłużej nie pośpi.

Wiedziałam, że leży tak i czeka, aż za dziesięć minut wyjdzie hycel, z hukiem zatraskując za sobą bramę. I że zaraz zegar na kościele wybije piątą, po chwili kwadrans po i wpół do. I wiedziałam, że najpierw pomyśli, jakie to wszystko daremne i beznadziejne, po czym podniesie się i przysiądzie

na parapecie, by w ponurym zamyśleniu wypalić resztkę papierosa, którą zostawił sobie poprzedniego wieczora.

Wszystkie dzieci jeszcze śpią, Bogu dzięki.

Poranny wiatr przyniesie wstrętny zapach wody wzbierającej wzdłuż ścieżki prowadzącej do domków. Zapach zalewania też zawsze był tam wyraźnie wyczuwalny - mokry papier, cegły, mięso. Wkrótce w drzwiach dookoła zaczną pojawiać się mężczyźni, przystając na moment na progu, by zapalić papierosa i zniknąć szybko z widoku.

I wiedziałam, że mój Billy będzie patrzył, jak niebo rumieni się, przybierając barwę szkarłatu, i być może usłyszy głos kanarka Lainy Sampson, dającego sygnał do śpiewu innym ptakom. Po chwili niemowlę u Dalleyów dorzuci swoje piskliwe trzy grosze i będzie wiedział: już ranek.

Nigdy nie byłam u Billy'ego ani nie spotkałam żadnego z jego dzieci, jedynie w snach. Wiedziałam jednak o tym wszystkim, po prostu wiedziałam.

Tak, Ewan nie żyje, to pewne. Krwawi z wielu miejsc i się nie porusza.

Czuję tępy ból brzucha. Nigdy jeszcze tak bardzo nie chciało mi się pić, zabiłabym za szklankę wody sodowej. Gdy człowiek jest spragniony, przestaje istnieć cały świat, nie liczy się nic innego. Jedyne, czego pragnę, to poczuć tańczące na języku piekące bąbelki.

Podczas walki wzbiło się w powietrze mnóstwo kurzu - dowód, że Verity, tak jak podejrzewałam, od tygodni nie przykładała się do pracy. Moja spódnica wprawia w ruch wielkie kurzowe koty, gdy idę szybko po dywanie do drzwi i wychodzę z kuchni.

Coś, jakieś niewyraźne, słabe jak pajęczyna uczucie umiejscowione w karku każe mi też przekręcić klucz. Wkładam potem ten wielki, ciężki klucz do kieszeni i wspinam się po schodach, pokonując po jednym stopniu,

przekonana, że najpilniejszą teraz sprawą jest zmiana ubrania. Co rusz się przebieram - w moim nowym życiu, odkąd weszłam w posiadanie ubrań, robię to bardzo często - ale teraz to bardzo ważne. Noszę na sobie jego zapach i muszę się go pozbyć.

W lustrze przebieralni widzę, że cała jestem naznaczona jego krwią, tak jak kiedyś on pewnie naznaczony był moją. Krwawe kropki mam na czole, a nawet na włosach. Znajduję chusteczkę, spluwam na nią i większość z nich ścieram. Wtykam chusteczkę do wielkiej sosnowej szuflady, pod jego własne krawaty, skórzane naszywki na łokcie i przybory do golenia z cedrowego drewna.

Po wizycie w łazience i przekonaniu się, że rzeczywiście dostałam okres, schodzę powoli po schodach, stukając kulami po razie o każdy wydeptany stopień. Na korytarzu przystaję, nasłuchuję, lecz rozbrzmiewa tylko monotonne bębnienie, którego się spodziewałam. Biorę pelerynę i mam już wyjść, gdy dopada mnie nagła obawa. Czy nie powinnam zamknąć okiennic w kuchni, gdzie leży?

Otwieram więc kluczem drzwi i idę w półmroku. Szyba w oknie jest czarna, upstrzona przez deszcz, lamp gazowych jeszcze nie zapalili. Tego się właśnie obawiam - chwili, gdy przyjdzie latarnik, by pozapalać lampy.

Nie chcę, żeby go dzisiaj znaleziono.

Zamykam okiennice i ruszam z powrotem. Wydaje mi się, że omijam jego ciało szerokim łukiem, ale widać nie dość szerokim, bo nagle dobywa się z niego bulgocące westchnienie, a dłoń chwyta mnie za kostkę. Krzyczę i w panice rzucam obie kule, a moje ręce suną do gzymsu nad piecem, szukając wsparcia.

Zdawało mi się, że po tylu ciosach, które mu zadałam, będzie martwy. Byłam tego absolutnie pewna. Jak to możliwe,

że wciąż porusza palcami? Jak to możliwe, że jego mózg jeszcze coś knuje?

Krzyczę i lgnę do pieca, stojąc na jednej nodze, w dodatku uwięzionej, i nie jestem nawet w stanie wierzgnąć i strząsnąć jego dłoni. Nie mogę stracić równowagi, nie mogę upaść. Jakże on jęczy - raz po raz, bez końca, czepiając się mnie palcami. Na oślepie próbuję namacać pogrzebacz, ten, który leżał tu rano, gdy wyszła Verity.

Mam.

Wstrzymując oddech, z jedną ręką nadal na gzymsie, próbuję pogrzebaczem wyczuć jego twarz, po czym przesuwam po niej, opieram się mocno i wbijam żelazo jak ogrodnik łopate.

Wyraźny, soczysty chrzęst, jakby coś przebiło surowy ziemniak. Ku memu lekkiemu zaskoczeniu czuję, że płyną mi łzy. Z upływem sekund jego palce rozluźniają się, a moja kostka zostaje uwolniona. Już się nie porusza.

Cisza w kuchni jest teraz śmiertelna, a w ustach czuję smak popiołu. Opadam na podłogę i najszybciej, jak jestem w stanie, czołgam się po swoje kule.

Z mężczyznami naprawdę bardzo trudno sobie poradzić. Jeśli nawet ofiarujesz któremuś na talerzu całą siebie, to on i tak będzie się ociągać i wykręcać od jednoznacznej odpowiedzi, a w końcu znajdzie powód, by powiedzieć, że to, co ofiarowujesz, nie jest całkiem w porządku.

Idę więc do Billy'ego. Mówię mu, że Ewan znikł z horyzontu i teraz jak najszybciej musimy zmykać do Francji.

Patrzy na mnie, drapie się po głowie, a potem po kroczu. Wygląda na skrajnie zakłopotanego, a jednak nie zadaje mi żadnych pytań. Całuje mnie długo i namiętnie, a ja czuję, jak budzi się do życia tam w dole, poniżej pasa. Wreszcie mówi, że rodzina go potrzebuje.

- To ja jestem twoją rodziną - odpowiadam mu kategorycznie. I całuję go znowu.

Odsuwa się. Patrzy na mnie. - Nie - mówi. - Wiesz, co mam na myśli...

Nie wie, co ja mam na myśli, ale nie oświecam go.

- Jesteś mój - mówię mu. - Kocham cię i musimy być razem...

- Chryste, Lauro. Nie patrz tak na mnie...

- Dlaczego?

- Ta twoja dziwna twarz mnie przeraża... ja też cię kocham...

- Ale?

- Ale co?

- Ty mi powiedz, Billy. Zabrzmiało to, jakby miało nastąpić jakieś ale...

Spuszcza głowę. Biedny chłopak. Głuptas z niego, w popłochu szuka powodów. Mogłabym załatwić go na amen, ale tego nie zrobię.

- Nie wiem - mówi. - Nie wiem, co powiedzieć. Znaczą się, myślałem...

- Co takiego? Co myślałeś?

- Że wszystko sobie w tej sprawie wyjaśniliśmy. Myślałem, że zrozumiałaś. No wiesz, Cally, dzieci...

- Ach tak - odrzekłam dosyć ostro. - Wybacz mi, Billy, oczywiście, zapomniałam.

Przygląda mi się uważnie, sprawdza. Jego wzrok mówi wszystko.

- Ale czy rozumiesz, co zrobiłam? - pytam go. On milczy.

- Rozumiesz?

Dopiero w tej chwili, gdy to mówię, zdaję sobie sprawę, jaka jestem zmęczona. Moje oczy tkwią suche i sztywne w oczodołach, zęby cofają się w głąb czaszki. Jestem wykończona.

Bill nic nie mówi. Patrzy na mnie. Ma najładniejszą twarz, jaką zdarzyło mi się u kogokolwiek widzieć, zwłaszcza gdy jest przejęty albo zdezorientowany. Wielkie, szelmowskie oczy. Kości policzkowe i dołeczki, przy których wszystkie inne twarze wydają się bez wyrazu. Jest cudowny, idealny. Zupełnie na jego punkcie oszalałam.

Opowiadam mu więc o wszystkim - co zrobiłam, choć wcale nie miałam zamiaru, i co to dla nas oznacza. Tak, Billy, dla nas. Podkreślam to, w razie gdyby jeszcze nie zrozumiał. W końcu to młody chłopak, dwadzieścia trzy lata to żaden wiek. Mówię zatem powoli. Uważam, żeby niczego nie opuścić. Opowiadam mu nawet o tym paskudnym zdarzeniu na końcu, o mojej kostce i pogrzebaczku. I o tym, że ostatecznie jednak wszystko skończyło się dobrze. Ta myśl nagle podnosi mnie na duchu.

- Zrobiłam to dla ciebie - mówię, ofiarowując mu swój czyn, który dopiero co się dokonał.

Jako że teraz rzecz całą jakimś dziwnym trafem pojmuję jako dar - coś, co nosiłam przez długi czas ściśnięte w dłoni, a teraz wypuściłam w świat, wolne.

Poniekąd spodziewam się w tej chwili, że popadnie w gniew. A przynajmniej, powiedzmy, że nie winiłabym go, gdyby okazało się, że ma dobre serce i nie chce nikogo skrzywdzić. (Nie powiem raczej, że „nie skrzywdziłby muchy”, bo w gruncie rzeczy chyba każdy z nas zabiłby muchę, nieprawdaż?)

Ale nie, żadnego gniewu. Gniew to z pewnością nie jest. Zamiast tego Billy zdaje się niemal walczyć o oddech. Czekam.

- No?

Nic nie mówi.

- Odezwij się do mnie, Bill...

- Lauro! - sapie. - Proszę. Powiedz, że to nieprawda! W tym momencie wybucham płaczem.

- Myślałam, że jestem twoją rodziną, Billy - mówię znowu, tym razem rozgoryczona. - Ze wszystkiego na świecie - szlocham - ze wszystkiego na świecie pragnę jedynie należeć do ciebie...

Nie przytula mnie ani nie całuje. Milczy.

W końcu jednak widzę. Oto jego twarz obleka się w żal i szok, i ból, na które czekałam.

## Ulica

Nazywam się Laura Blundy, a Ewan był tym, który obciął mi nogę.

W tamtą środę przejechała mnie dorożka. Była dziesiąta godzina, a ja na ulicy. Noc spędziłam, drzemiąc chyba na jakichś schodkach, ale nie pamiętam, dokąd się wybierałam ani co miałam zamiar robić.

Początkowo nie zdawałam sobie sprawy, jak bardzo jest źle. Bolało, ale nie tak bardzo, jakby się można spodziewać. Pamiętam swoją krew na bruku dokoła. Zdaje się, że się zesikałam, i pamiętam, że było mi z tego powodu nieswojo. Pamiętam, że wiedziałam, gdzie jestem, ale nie do końca czułam się właśnie tam.

Widziałam, co się dzieje, i słyszałam. Wiem, że ktoś krzyczał za dorożką, żeby stanęła, lecz pojechała dalej. Pamiętam dzwoniące o bruk podkowy i czmychające stadko ptaków.

Głowę miałam na ziemi. Nie wypuszczałam z rąk swego kocyka - wypłowiałego strzępu wełny, którego nigdy nie spuszczałam z oka. Najbliżej mnie był dziobiący w ziemi gołąb, a tylko trochę dalej jakiś starzec przycupnięty na krzywym stołku przy drodze, naprawiający parasole. Ubrany był jak klaun - miał cylinder i róż na policzkach. Pamiętam, jak pomyślałam, że te jego parasolki to szmelc.

To chyba on pobiegł po pomoc. W zasadzie to jestem pewna, bo pamiętam jego rzeczy leżące na kupie, przez nikogo nie pilnowane. Rozwalone i przez wszystkich zapomniane.

Cóż, tak czy owak zabrano mnie do szpitala.

Późnym wieczorem, nie wiem, jak późnym, sprowadzono do mojego łóżka chirurga.



Był dość młody. I ogniście rudy, istna marchewka. Nawet zarost wyglądał u niego jak eksplodujące spod skóry kropeczki gorąca.

- Jesteś Cyganem? - wyszeptałam prosto w jego przejętą twarz.

- Takie niesamowite włosy, jak Boga kocham!

Roześmiał się. - Wielkie nieba - rzekł - pewnie ciebie mógłbym spytać o to samo.

- Dlaczego?

- Cóż, twoje są takie czarne...

- No, i mogę tylko powiedzieć, że taki kolor włosów widziałam jedynie u ulicznic.

- Nie przesadzaj - rzekł.

- Poważnie!

- Ćśś - rzekł. - Jeśli pielęgniarki zobaczą, że tak sobie gawędzimy, wylecę z pracy...

- Co? - zaczęłam się z nim droczyć. - To znaczy, że twoje przełożone to pielęgniarki? Nie wiedziałam, że doktorowie odpowiadają przed pielęgniarkami...

Roześmiał się. - Nie jestem doktorem. Jestem chirurgiem. Zatkalo mnie. - Chyba nie będziesz mnie kroił?

- Mam szczerą nadzieję, że nie.

Obmacał mnie. Obmacał moją twarz, mój puls, ręce i nogi, które odarto z ubrań przy pomocy małego ostrego nożyka jednej z pielęgniarek. Jego dotyk był nerwowy, jak gdyby nosił w sobie nakręconą sprężynę, przez którą był nieustannie spięty. Co ciekawe, udzieliło mi się to jego napięcie i z miejsca zaczęłam płakać.

- O co chodzi? - zapytał mnie delikatnie.

- Nie wiem.

- Czujesz ból?

- Trochę tak.

Uśmiechnął się, a mnie się ten jego uśmiech spodobał. Był szybki i niewymuszony, taki, jakie widuje się u szczęśliwych dzieci.

- Mogę ci coś podać - rzekł w końcu.
  - Co za coś?
  - Coś dobrego... coś, co ci ulży...
  - Hmm, co to takiego? - spytałam.
  - Spodoba ci się. To tylko mała tabletką, ale poczujesz różnicę. Jestem mistrzem tabletek i mikstur.
  - Ale co to jest? - dopytywałam się, choć byłam zaintrygowana.
  - Nie ufam ci. Diabli wiedzą, co to może być.
  - Możesz mi zaufać - powiedział.
  - Skąd mam to wiedzieć?
  - Jesteś bardzo ostrożna - zauważył.
  - Jasne, że tak - krzyknęłam.
  - To nie trucizna - zapewnił mnie bardzo poważnie.
  - No więc co?
  - Środek przeciwbólowy i rozluźniający. Uśpi cię, a sen dobrze ci zrobi, bo z doświadczenia wiem, że ból nie ustąpi w ciągu nocy, tylko się nasili...
  - Ale ja nie chcę spać - powiedziałam szybko.
  - Dlaczego?
  - Jestem przyzwyczajona do bólu.
- W tej chwili popatrzył na mnie uważnie, a na czoło opadł mu jeden kosmyk rudych włosów. - Dlaczego nie chcesz zasnąć?
- Niespecjalnie to lubię.
- Wciąż na mnie patrzył. - Przecież trzeba spać. Kiedy sypiasz?
- Śpię najmniej, jak się da. Jest wtedy tak ciemno. Zawsze budzę się w popłochu... naprawdę...
- Dotknął mojej ręki. - Muszę cię teraz zbadać.

Wzruszyłam ramionami.

Naciskając jedną dłońią na moje udo, położył na ranie coś zimnego. Prawda była taka, że ból zdążył już minąć i teraz prawie nic nie czułam. Zamknęłam oczy. Poczułam smród ropy. Nie bolało mnie, ale znowu zaczęłam szlochać.

- No już - rzekł, po czym pochylił się nade mną i chytrze i szybko przyłożył mi coś do ust.

Wszelki ból natychmiast opuścił moje ciało, a świat poczerniał. Gdy się ocknęłam, czułam się, jakby mnie gdzieś przemieszczono, jakbym coś zgubiła. Zaczęłam wymiotować.

Przeprosiłam, a ktoś chyba pobiegł po szmatę i miskę, bo za moment już wpatrywałam się w spękaną białą porcelanę. Moją głowę zalewał pot.

- Przepraszam - rzekł. - Było tego za dużo.

- Słucham?

- Dałem ci za dużo. Chloroformu. To moja wina. Wybacz mi, proszę. Trudno to czasem oszacować.

- Czyja spałam?

- Owszem, przez chwilę... ale nie wyszło ci to na dobre. Zamierzałem dać ci tylko jeden maleńki wdech...

- Dobrze to było - stwierdziłam. - Chcę jeszcze. Uśmiechnął się. - Nie teraz. Teraz nie możesz dostać. Później. Zaczynałam lubić tego doktora i mu to powiedziałam.

- Ech, szkoda, że to tylko lek przez ciebie przemawia - orzekł. - Środek przeciwbólowy... miewa najróżniejsze skutki. Mam jeszcze inne, tabletki i nalewki, które całkowicie mogą odmienić nastrój.

- Jak to?

- No tak. Pigułki przywracające równowagę. Pigułki szczęścia...

- Jedną taką poproszę - powiedziałam.

Roześmiał się. - Tak jak wszyscy. Są bardzo popularne, te moje pigułki rozweselające.

- Chciałam przez to powiedzieć - wyjaśniłam mu - że jesteś miły. A przynajmniej taki się wydajesz.

- Wszyscy medycy starają się być mili.

- To znaczy, jesteś... przystojny.

Zachichotałam. Moje słowa padały teraz tak szybko, że nie miałam szansy ich zrozumieć, zanim je wypowiedziałam.

- Ojej - rzeki - widzisz? To wszystko chloroform. Teraz mi wstyd...

- Za mnie?

- Nie, za siebie.

Zapytałam go, co przez to rozumie, lecz nie chciał mi powiedzieć.

- A czy masz pigułki, które pomagają ludziom umrzeć? Spojrzał na mnie, a gdy spostrzegł, że mówię poważnie, zamrugał i powiedział, że nie. - Czemu pytasz?

- W zasadzie bez powodu...

- Chciałaś kiedyś umrzeć?

- Cóż - odrzekłam - raz, dawno temu, chciałam.

- Później już nie?

Zastanowiłam się chwilę. - Nie, później już nie.

- Ile masz lat? - spytał mnie, pochylając się nad moją nogą, bo pomimo lampy w sali było dość ciemno.

- Nie twoja sprawa - usłyszałam własną odpowiedź.

- Dwadzieścia sześć? Dwadzieścia siedem?

- Och, na miłość boską - rzekłam sennie.

- No to ile?

- Znacznie więcej, niż ci się wydaje, babsko ze mnie w średnim wieku i stanowczo dla ciebie za stare.

Ziewnęłam, a ból znów się nasilił. Doktor cały czas stał ze spuszczoną głową.

- Nie wierzę ci - powiedział.

- W mój wiek? Mówię prawdę.

- Nie. Nie wierzę, że jesteś dla mnie za stara. Teraz to on droczył się ze mną. Uśmiechnęłam się.

- Jak długo żyjesz w ten sposób? - spytał mnie, obciągając rękawy i przesuwając lampę, po czym spojrzał tam, gdzie leżała byle jak moja wymiętolona halka.

- Niby jak?

- No wiesz, tak. Sypiając byle gdzie, bez dachu nad głową...

- E tam, świetnie sobie radzę - odpowiedziałam. - Tak mi jest dobrze, zupełnie mi to wystarcza. Nie sypiam dużo, sama się utrzymuję. Widzisz, ja pracuję, opiekuję się dziećmi, kiedy ich matki idą do pracy...

Popatrzył na mnie z zaciekawieniem. - Ale nie urodziłaś się w takich warunkach.

Zawahałam się. - Nie. Nie urodziłam. Okoliczności mnie w nich umieściły już dawno temu...

- I lubisz dzieci?

- Tak sobie, proszę pana - odrzekłam. - Jestem przyzwyczajona do szkrabów.

W tym momencie przyjrzał mi się uważnie, a ponieważ nigdy nie byłam skromna, nigdy nawet nie chciałam być, nie uciekłam przed jego spojrzeniem. Prawdę mówiąc, wpatrzyłam się w niego z takim uporem, że to on pierwszy odwrócił wzrok.

- Dlaczego nagle nazwałaś mnie „panem”? - spytał, wracając do badania mojej nogi.

- Przypomniałam sobie właśnie, że rozmawiam z doktorem.

- Nie jestem doktorem.

- No to z chirurgiem.

Roześmiał się. Nie był przystojny. Zbyt rudy i nie miał rzęs. I choć miał pewnie niewiele ponad trzydzieści pięć lat, to przypominał Pana Puncha z kukielkowego teatryku: taki

drażliwy, nerwowy i smutny. A jednak czułam się przy nim onieśmielona i zastanawiałam się dlaczego.

- A tak poza tym, czy ja umrę? - spytałam go najswobodniejszym tonem, na jaki mnie było stać.

Nic nie odpowiedział. Odwinął rękawy.

- Nie - odrzekł - oczywiście, że nie. Nie jest to ładne złamanie i nikomu bym go nie życzył, ale w dziewięciu przypadkach na dziesięć goją się one całkiem dobrze. Jeszcze poużywasz tych swoich nóg.

Wpatrywałam się w niego. A on we mnie.

- Śliczna jesteś - stwierdził. - Nie gniewasz się, że to mówię? Zamknęłam oczy.

- I proszę, nie zwracaj się do mnie per pan - rzekł, a gdy to mówił, głos zadrżał mu dziwnie jak małemu dziecku.

Wzruszyłam ramionami i otworzyłam oczy.

- Potrzebujesz czegoś? - spytał.

Poprosiłam o szklankę wody. Albo jeszcze lepiej chłodnej, orzeźwiającej wody sodowej. Powiedział, że zrobi, co w jego mocy.

To byłby dobry moment, żeby umrzeć - od razu po wypadku. Logiczny, wybaczalny. Absolutnie nikt nie mógłby mnie obwiniać. Taka była wola Boża i tyle.

Jednakże choć koła dorożek, zrobione z żelaza, miażdżą kobiece kości jak skorupkę jajka, to kiedy Bóg postanowi cię z tego wyciągnąć, to cię wyciągnie.

Zabawne, jak pobożni ludzie składają dzięki w kościele i nadziwić się nie mogą, co człowiek jest w stanie przeżyć. Moim zdaniem to bzdura. Zawsze bardziej zadziwia mnie to, jak trudno jest umrzeć.

Była to jednak naprawdę paskudna rana. Odłamki kości sterczące przez skórę, cała masa ropy i krwi, i takiej szarej, przypominającej wątrobę mazi, na którą nie mogłam patrzeć. Nikt nie powinien być zmuszony zaglądać w głąb własnego

ciała. To skóra czyni nas znośnymi - dla siebie samych i dla reszty świata.

W drodze do szpitala wszystko docierało do mnie jak przez czerwoną siatkę: niebo, chmury, kominy, wszystko pulsowało szkarłatem. Raz opuściłam rękę, dotknęłam się, a dłoń powróciła mokra. Więcej tego nie powtórzyłam.

Ciekawie było znowu leżeć w łóżku. Nie miałam ku temu okazji już od tak dawna. Więzienną pryczę trudno było nazwać łóżkiem, bo wcale nie miała zapewniać wypoczynku. Tutaj zaś miałam mebel, który przeniósł mnie z powrotem do miękkiego łóżeczka z mojego dzieciństwa, z grubym materacem z pierza, tuż przy oknie, gdzie ojciec pozwalał mi zasypiać przy zapalanej świeczce, a gasił ją dopiero, gdy sam przychodził na górę.

Tamto łóżko pachniało delikatnie płatkami mydłanymi i stertami książek, które lubiłam trzymać w pobliżu i czytać, leżąc pod kołdrą latem, gdy słońce wlewało się do pokoju wciąż jeszcze, kiedy szłam spać. Ojciec pochwalał to, że czytałam - wręcz sam mnie zachęcał - ale nie pochwaliby takiego psucia oczu. Nie uważam, bym miała zepsute oczy. A co do reszty? Trudno stwierdzić, nie wiem.

Łóżko szpitalne nie pachniało płatkami mydłanymi, tylko kurzem, moczem i potem. Dali mi bulionu do popicia, tylko że trzecia łyżka stanęła mi w gardle i zwymiotowałam wszystko na stanik mojej jedynej porządnej sukienki - tak naprawdę to jedynej, jaką w ogóle miałam. Wymiociny to była prawie sama woda - tak niewiele w nich było treści, że migotały w pochwyconym świetle.

- Patrzcie tylko! - zawołałam.

A pielęgniarka parsknęła śmiechem, głośnym i rżącym jak u konia. Miała zdrowe, mocne zęby, ale poza tym urodą nie grzeszyła.

Miałam trzydzieści osiem lat, prawie trzydzieści dziewięć, lecz moje włosy, mogę to stwierdzić z przyjemnością, pozostały prawie całkiem czarne, a zęby, te, które jeszcze miałam, zachowały swoją biel i choć moja talia nie zmieściłaby się już może w dwóch męskich dłoniach, to wciąż miałam w sobie wiele z mego dziewczęcego powabu.

Jako że byłam powabna. Całe szczęście, że mój ojciec umarł, zanim dowiedział się, co mnie spotkało, bo złamałoby mu to serce.

Tyle nauki, powiedziałyby i choć nie wyrzuciłyby mnie z domu, to wiem, że naciskałyby, żebym się go pozbyła. Wiązał ze mną ambitne plany. Nie chciał nawet, bym przejęła po nim sklep. Mówił, że jestem piękna, że istna ze mnie laleczka. Chciał, żebym podróżowała i zwiedzała świat, co jemu się nie udało.

W swoim sklepie pod numerem 318 przy Westbury Street sadzał mnie na wysokim taborecie za czarną dębową ladą i dawał do zabawy odważniki i miarki, żebym była cicho. Lubiałam czuć w dłoni chłodny ciężar mosiądzu. Ustawiać odważniki według wielkości. Napełniać mosiężną szalkę wagi ryżem tak, że powstawała górka.

Któregoś dnia ojciec ustawił cztery odważniki na jednej szalce, a na drugiej położył torebkę cukru. Waga wahała się coraz wolniej, aż się zatrzymała.

- Widzisz, Lалуś? - rzekł. - Tyle ważyłaś, gdy pierwszy raz trzymałem cię na rękach.

Roześmiał się, pocałował mnie w czubek głowy i powiedział, że jestem jego najdroższym skarbem. Kochał mnie, mimo że moje przyjście na świat zabiło moją matkę. Zawsze myślałam, zastanawiając się nad tym, że to strasznie rozdzierający serce układ, zyskać córkę w zamian za życie żony, lecz on nigdy nie chował do mnie o to urazy - wręcz przeciwnie.



Był mi i ojcem, i matką. Chronił mnie. Ukrywał przede mną to, co złe, celebrował, co dobre. Dlatego nie miałam pojęcia, że interesy idą tak źle, aż było za późno. Po tym, jak ojciec zmarł, a ja dowiedziałam się, że ciotka zostawiła wszystko Kościołowi katolickiemu, znalazłam się na ulicy.

I straciwszy własne dziecko, przez wiele lat zajmowałam się cudzymi. Dobrze mi szło, bo byłam sprawna - sprawna i twarda. Nie żadna tam ciamajda. Mogłam chodzić całymi dniami w każdej pogodzie z czerwonym na buzi niemowlęciem w chuście na plecach. Mogłam brać nawet dwójkę, gdy było trzeba.

A teraz ten wypadek. Trzeba siły i charakteru, by uganiać się za większymi szkrabami, więc natychmiast zaczęłam się niepokoić, że to nieszczęście pozbawi mnie pracy. A wtedy zacznę głodować. Opiekunki zawsze są potrzebne, ale jak miałabym zarobić na chleb, nie mogąc dłużej nosić ze sobą najmniejszych dzieci?

- Zrośnie mi się ta noga? - spytałam rudowłosego doktora, a on mógł mi odpowiedzieć jedynie:

- Prawdopodobnie.

Powiedział mi, że ma na imię Ewan. Ewan Lockheart.

Kiedy spotykasz ludzi, którzy w przyszłości mają stanować o twoim losie, czy nie żałujesz zawsze, że nie patrzyłeś i nie słuchałeś uważniej? Że nie próbowałeś dopatrzeć się znaków, które mogłyby pomóc ci radzić sobie z nimi później?

Polubiłam Ewana, ale nie zaprzętałam nim sobie myśli. Był tylko chirurgiem. Nie wiedziałam, że któregoś dnia będę siedziała z nim w obcym pokoju z jego dłońmi pod moją spódnicą, w rozwiązanym bucie, zaciągając się od niechcienia papierosem, podczas gdy on wyruszać będzie na wycieczkę do tych zakamarków mojego jestestwa, których zwiedzanie miał wkrótce uczynić swoim zwyczajem.

Przyszłość objawia nam się czasem sama. Za oknem jest Kanał - szary i gładki - który, jak mi mówią, prowadzi do Francji. Nie mam pojęcia o Francji, tak samo jak nie mam pojęcia, co przyniesie przyszłość.

Jestem jednak optymistką. Zawdzięczam to ojcu. Dlatego od razu zgadzam się na podróż z Ewanem nad morze.

- Ignorantka z ciebie - stwierdził z czułością, gdy jego dwudniowy zarost drapał mnie po udzie. - I jesteś absolutnie cudowna. Dlaczego nigdy nie nosisz pończoch? Pobierzmy się, a wtedy będziesz mogła poznać moją matkę...

Wiedziałam o jego matce. Miała na imię Eve. Była w połowie cudzoziemką i pochodziła z jakiegoś ciepłego kraju, gdzie na drzewach rosną cytryny. Może to właśnie uczyniło ją tak kwaśną i przykrą w obejściu, bo wyszła za męża za Szkota, zamieszkała w chłodzie i wilgoci i nigdy nie przestawała się na to skarżyć. Jak twierdziła, tyle ją spotkało: raził ją grom miłości i nigdy już potem nie poczuła ciepła, choć jej mąż - ojciec Ewana - jak na ironię umarł strawiony gorączką.

Mieszkała w domu Ewana, gdzieś na samej górze, jadła surową wątrobę i imbir, by chronić się przed przeziębieniem, i grzechotała puszką karmelków, ilekroć chciała, żeby ktoś przyszedł i coś dla niej zrobił. Jej okno wychodziło na kominy i wieżyczki na dachach. Dwa razy w ciągu dnia słyszała krzyki biegających dzieci z pobliskiej szkoły. Poza tym w jej świecie panowała cisza.

Przesiadywała całymi dniami w twardym fotelu i czekała na niego, swego syna, aż wejdzie po schodach, by się z nią zobaczyć. Zaś kiedy już przyszedł - robił to co dzień - nie żałowała czasu ani energii, by włożyć mu do głowy, jaki jest głupi i nic niewart. A on jej wierzył.

Wypuściłam dym, zdjęłam z języka listek tytoniu.

- Będzie mnie nienawidzić - odrzekłam. - Sam wiesz. Powie, co to za kaleka? A przy okazji, nigdy nie nosiłam pończoch, nawet gdy miałam obie nogi.

- Dlaczego?

- Bo mnie nie stać. A poza tym lubię czuć powietrze.

Wtedy Ewan odezwał się cicho: - Będziesz jeszcze damą. Będziesz moją żoną. Najpierw się pobierzemy. Potajemnie.

- Och, to ją uszczęśliwi.

- Nie usłyszałaś, co powiedziałem? - wykrzyknął Ewan, bo zdawało mu się, że nie zrozumiałam jego wielkodusznej propozycji.

- A co?

- Proszę cię, żebyś za mnie wyszła.

- Nie zdołam ocalić cię przed twoją cholerną matką - odpowiedziałam, bo w tym czasie bywałam już dla niego dość okrutna.

- Lauro - rzekł - uważaj, co mówisz! I bynajmniej nie o to mi chodzi, w ogóle.

Ewan mieszkał z matką przez całe życie i nigdy nie przedstawił jej żadnej kobiety, a teraz było za późno. Podejrzywałam, że zostałam przez niego wybrana na tępe narzędzie, maczugę na jego matkę.

Pogłaskałam go po włosach. - Powie: rety, nie tego pragnęłam dla swojego syna, chciałam dla niego zdrowej kobiety o dwóch sprawnych nogach...

- I co z tego? - odrzekł z uśmiechem. - Powiem jej, że sam ci jedną obciąłem.

- Ach tak - odparłam ponuro. - No to wszystko pójdzie jak po maśle.

Nim nadeszła sobota, moja łydka zrobiła się czarna i zaczęła się z niej sączyć żółtawa ropa wydzielająca wstrętny słodkawy zapach niczym gnijące peonie na targu po tym, jak zbije je na miazgę ulewny deszcz.

Na języku miałam kożuch. Słyszałam suche trzaski własnej śliny, czułam szorstkość na zębach.

Ewan był zaniepokojony.

Stał nad moją głową i rozmawiał z pielęgniarkami. Marszczył brwi. Chwycił mnie za nadgarstek, spojrzał na zegarek i powiedział coś o silnej infekcji.

- Co to jest infekcja? - spytałam.

Dotknął mojego policzka. - Nic. Nie zwracaj sobie tym głowy.

Puls miałam przyspieszony, a nogę gorącą. Ułożyli ją na poduszce i oblewali jodyną. Zamknęłam oczy i tuliłam do piersi kocyk. Nie mogłam patrzeć na sterczące spod skóry odłamki kości. Strasznie mnie to złościło, że przez cały czas leżę z zadartą spódnicą. Żałowałam, że nie mam koszuli nocnej, porządnych majtek. Ewan oglądał moje gołe nogi.

Byłam tego wszystkiego bardzo świadoma, doskonale wiedziałam, że patrzy. Na tę pulsującą bólem, czarną i na tę zdrową. Szczególnie krępowały mnie sztywne włoski porastające wewnętrzną część moich ud i srebrnawe zygzaki, które pojawiły się, gdy nosiłam w sobie dziecko.

- Jestem brzydka - powiedziałam mu w pewnym momencie któregoś z wielu mijających godzin, a on popatrzył na mnie dziwnie, jakby wiedział coś, czego ja nie byłam świadoma.

- Podam ci pigułkę - rzekł, a ja się nie sprzeciwiłam.

Nie sprzeciwiłam się, ale tyle wymiotowałam, że pewnie i tak ją zwróciłam. Dlatego w końcu zalecił nie traktować mnie już dłużej jodyną, a ograniczyć się do przegotowanej wody. Zapisał coś pielęgniarce i pamiętam, jak raz czy dwa odwrócił się do mnie i zamrugał tymi swoimi bladoniebieskimi oczami.

Do wieczora jakby mi się polepszyło. Podano mi kilka łyków czerwonego wina, których udało mi się nie zwrócić.

Ale wtedy wydarzyło się coś strasznego. Pielęgniarka próbowała zabrać mi kocyk. Pomyślała pewnie, że to zwykła stara szmata.

- O nie - krzyknęłam tak głośno, że aż podskoczyła. - Oddawaj mi to raz dwa, to moje!

- A co to niby jest? - Zobaczyłam, jak odwraca nos od brudnego kawałka wełny.

- To moje - powtórzyłam. - Najlepsza rzecz, jaką mam, i na pewno jej nie oddam. To mój kocyk z dzieciństwa.

- Ale ten kocyk zagraża twojemu zdrowiu - powiedziała. - Trzeba go odkazić.

- Nigdy - odparłam. - Chyba że po moim trupie. To najczystsza i najpiękniejsza rzecz w całym tym szpitalu.

Pielęgniarka nie odpowiedziała.

- Nie rozstanę się z nim - oznajmiłam.

Pielęgniarka wzruszyła ramionami. - No to wkrótce może znaleźć się z tobą w grobie - odrzekła.

Nie słuchałam. Udawałam, że nie słyszę. Podniosłam koc do twarzy i wdychałam jego zapach.

Zapytałam później pielęgniarki, czy nie wiedzą, na jakiej ulicy zostałam przejechana.

- Na Union Street - odpowiedziały. - Przy skrzyżowaniu z Bird Lane. A co, nie pamiętasz?

- Pewnie, że pamiętam. Chciałam się tylko upewnić...

Nie pamiętałam jednak niczego. Dosłownie niczego. Kołatał mi się po głowie jedynie obraz starca naprawiającego parasole, ale i on blakł szybko.

- Moja noga zdrowieje? - spytałam je, bo od kilku godzin nie widziałam Ewana i zastanawiałam się, czy jeszcze przyjdzie.

- Na to wygląda - odparły, lecz zauważyłam, że zaraz popatrzyły na siebie nawzajem, a nie na mnie. Jak gdyby ich odpowiedź została przypadkowo wyrwana z powietrza i mogła

w nie ulecieć z powrotem w każdej chwili, bez najmniejszego ostrzeżenia.

Nim jednak nadeszła niedziela, z nogi zaczęło sączyć się coraz więcej paskudztwa i trawiła mnie wysoka gorączka.

Spałam trochę, dryfując tam i z powrotem pomiędzy szpitalem a miejscem, gdzie zgromadziły się tłumy ludzi bez twarzy, których nigdy nie spotkałam. A później znowuż takich, których znałam i wiedziałam, że w tym miejscu być ich nie powinno.

Łokcie i ramiona mrowiły mnie od bezruchu. Światło stało się jakieś dziwne. Nie umiałam powiedzieć, czy to ranek, czy też żółtawy półmrok tuż przed zapaleniem lamp.

Raptem coś się zmieniło. Coś pstryknęło w mojej głowie i poczułam niezwykłą lekkość, jakbym unosiła się w powietrzu.

- O, jak dobrze - usłyszałam własny głos.

Natychmiast nadbiegła pielęgniarka - ta, która próbowała odebrać mi koc - sapiąc, poprawiając wsuwki we włosach, spocona pod pachami.

- Co? - krzyknęła. - Co powiedziałaś? Słucham?

- Oj, wszystko w porządku - powiedziała jej, sprawdzając, czy koc spoczywa bezpiecznie w moich ramionach. - Naprawdę... Chodzi o to, że cały ból nagle minął...

Ona jednak nie wyglądała na uszczęśliwioną. Wcale a wcale. Przygryzła dolną wargę.

- Idę po doktora - oznajmiła i obróciła się na pięcie.

Przyszedł Ewan i znów zadarł mi spódnice, żeby się przyjrzeć. Zaczęłam się już do tego przyzwyczajać, choć tym razem zauważyłam, że brzeg halki mam cały w czymś brązowym, i mimowolnie się zaczerwieniłam.

- Znacznie lepiej - odrzekłam mu, gdy spytał, jak się czuję. - W zasadzie jestem już całkiem zdrowa. Nic mnie nie boli...

On tymczasem wcale nie wyglądał na zadowolonego. Wytarł ręce o fartuch, lecz na mnie nie patrzył. W zestawieniu z włosami jego skóra była strasznie blada i zauważyłam na nosie kilka małych piegów, których wcześniej nie widziałam.

Zakaszłał.

- Obawiam się, że będziesz musiała ją stracić - powiedział.

- Co stracić? - Próbowałam spojrzeć mu w oczy, lecz unikał mojego wzroku.

- Nogę. Trzeba ją będzie odjąć. Przykro mi.

- Stracić nogę? - krzyknęłam zszokowana, czując, jak ściska mi się żołądek.

- Tak, i to niestety szybko - odparł. - Im szybciej, tym lepiej. Czas może mieć tutaj wielkie znaczenie. Zrobimy to jutro.

- Przecież czuję się lepiej! - zaczęłam krzyczeć. - Panie Lockheart, niech pan na mnie spojrzy. Rozgniewałam czymś pana? Naprawdę nie rozumiem... Dlaczego pan to powiedział? Czuję się o wiele lepiej, ból minął!

Zaczekał, aż przestanę.

- Czasami tak się dzieje - wyjaśnił. - Czasami, gdy wydaje się... gdy człowiek czuje ulgę, wtedy kończy obumiera.

- Obumiera? - powtórzyłam, zaczynając płakać.

- Straciłaś czucie w nodze - tłumaczył. - Oto, czego teraz doświadczasz. Ale jeśli nie przeprowadzimy operacji, zakażenie przeniesie się z krwią i...

- Jest ranek czy wieczór? - spytałam przez łzy.

- Ranek - odrzekł, wyjmując z kieszeni zegarek. - Dochodzi jedenasta. Dlaczego pytasz?

Zdawało się, że chce wyjść, lecz zmienił zdanie. Przysiadł na brzegu łóżka i wziął mnie za rękę. Wciąż płakałam.

- Już dobrze - rzekł. - Przykro mi. Nie jestem w tym dobry.

- W tym, że przykro panu?

- Tak.

- A ja nie chcę, żeby mi ją ucinano.

- Wiem. Wiem, że nie chcesz.

- Chcę umrzeć - oznajmiłam.

- Nie umrzesz - powiedział, jakby wyobrażał sobie, że to mnie pocieszy. - Zrobię wszystko, co w mojej mocy, żebyś z tego wyszła...

- Ale...

Poczułam nierytmiczne drżenie własnych palców w jego dłoni. Wolną rękę podniósł i dotknął nią moich włosów. Był to śmiały gest i nie przyszedł mu łatwo. Pomimo całego mego przerażenia i szoku zauważyłam z doprawioną poczuciem winy satysfakcją, że to on pierwszy się cofnął, nie ja.



Noc

Billy twierdził, że nie wierzy w duchy.

- Umarli nie wracają - orzekł raz tonem pogardy. -  
Dlaczego mieliby przejmować się tobą po śmierci, skoro nie  
przejmowali się za życia, co?

Wiedziałam, choć tego nie powiedział, że ma na myśli  
własną matkę - bezimienną, pozbawioną twarzy istotę, która  
oddała go do ochronki jedynie z kartką papieru i w jednej  
koszulinie na grzbiecie.

Nie wiedział jednak, że ja także umieściłam swoje  
maleńkie dzieciątko w tym samym miejscu. Rzecz jasna, serce  
mi się krajało, kiedy słyszałam, jak mówi takie rzeczy, i  
staralam się zachować tak wielki sekret dla siebie. W tym  
czasie musiałam być jednak ostrożna - były to dni, kiedy  
dopiero się poznawaliśmy i zaczynaliśmy sobie ufać, dni,  
kiedy każda rozmowa była wyważona, krótka, ostrożna,  
ważnie prowadzona i znacząca.

Powiedział mi, że wśród dzieci zawsze dużo mówiło się o  
duchach i zjawach. Ale mówiły o nich tylko te niekochane, jak  
twierdził.

Zapytałam, co przez to rozumie, a on się uśmiechnął.

- Byliśmy zgrają nieszczęsnych małych nicponi, czyż nie?  
- odrzekł. - Lubiliśmy wielkie tajemnice i zwykłe bajdurzenie.  
Nie rozumiesz, że im mniej w życiu posiadasz, tym łatwiej ci  
uwierzyć we wszystko, w cokolwiek...?

Pomyślałam o swoim ojcu. Ujrzałam go w wejściu do  
sklepu z tą jego mądrą, poważną twarzą, w brązowym  
fartuchu i ze stojącą nad nim alabastrową kobietą trzymającą  
miecz i wagę.

Kupił tę kobietę w sklepie w Lewisham i kazał ją wtachać  
tam, nad drzwi, dwóm chłopakom, co zajęło godzinę i  
kosztowało mnóstwo przekleństw.

Powiedział mi, że to symbol porządku i sprawiedliwości, a także dokładności w odważaniu produktów. Mnie jednak nic na ten temat nie było wiadomo. Uważałam, że ta pani paskudnie marszczy brwi. Zawsze się wzdrygałam, gdy ją widziałam. Myślałam, że któregoś dnia ożyje i odrąbie memu drogiemu tacie głowę.

- Ja nie lubiłam tajemnic - powiedziałam Billy'emu. - Gdy byłam mała, wiem, że chciałam czuć się bezpieczna, otoczona opieką, umieć przewidzieć, co się zaraz stanie, i rozumieć, jak co działa.

Billy uśmiechnął się. - W takim razie pewnie byłaś kochana, co? - rzekł. - Miałaś szczęście. Kiedy dorasta się w poczuciu bezpieczeństwa, trzeba być głupolem, by chcieć czegoś innego...

Przechylił na bok głowę i popatrzył na mnie tymi swoimi bystrymi oczkami. Billy'ego cechowała pewna ostrość, jaką nie poszczyciłby się żaden dzierzony kiedykolwiek przez Ewana nóż. Człowiek wiedział, że przetnie go na pół, jeśli na moment odważy się odwrócić spojrzenie.

- No dobrze - rzekłam, powracając do sedna naszej rozmowy.

- Zatem jak wyjaśnisz to, co zobaczyłeś?

Jako że rozmowa ta rozpoczęła się od jego wyznania, iż kilka już razy widział kobietę stojącą w środku nocy w jego pokoju.

- No cóż - odparł - szczerze mówiąc, nie wydaje mi się, żeby to był duch zmarłej osoby, raczej takiej, która wciąż żyje...

Wbiłam wzrok w jego twarz, na której malowało się absolutne zadowolenie z siebie, i zapytałam, co przez to rozumie.

Jego odpowiedź mnie przeraziła. Powiedział, że kilka razy przebudził się w najcichszym momencie nocy, czując lekkie

zawirowanie w powietrzu dokoła siebie, i zdał sobie sprawę z czyjejs obecności w nogach łóżka.

- To była ona - rzekł. - Ta dziewczyna. Kobieta.

- Ale... - Nie wiedziałam, co powiedzieć, nie miałam pojęcia, jakiej reakcji ode mnie oczekuje. - To znaczy... bałeś się?

- Jak diabli.

- Billy - odparłam - nie mogę w to uwierzyć.

- Arthur spał - mówił dalej. - Cally i dziewczynki w pokoju obok też, cała rodzina oddychała spokojnie i pochrapywała...

Powiedział, że ocknął się, bo coś go zbudziło. Nie żaden dźwięk, lecz wrażenie, że powietrze w pokoju zostało poruszone. Albo przemieszane.

- Wiedziałem, że to przez nią. To była ona. Wiedziałem, że nie śnię.

- A jak wyglądała? - spytałam.

Zawahał się przez chwilę, a w tym wahaniu dała się wyczuć nuta strachu.

- Za każdym razem inaczej, ale... Czekałam.

- Zawsze była ubrana tak samo i... - zamilkł na moment - i bardzo podobnie do ciebie, Lauro.

Gorąco podniosło mi włosy na głowie. - Do mnie? - powtórzyłam głupio. - Ale...

- Nigdy nie staje tak blisko - dodał szybko. - A przynajmniej nie wiem... trudno coś powiedzieć, bo linie są tak rozmyte. Jest bardzo niewyraźna. Ale włosy ma czarne, tak jak ty, i związane w taki sam kok, i... tak, ma taką samą drobną, zgrabną figurę i zielonkawy wełniany żakiet, taki jak twój. I zawsze żywo gestykuluje i wymachuje rękami w taki sam sposób jak...

- To nie ja - zapewniłam go i mówiłam poważnie. W głębi duszy było mi jednak miło, że wspomniał o mojej zgrabnej figurze.

- Co więcej - choć to ci się nie spodoba - raz albo dwa opierała się o kule, takie jak twoje - powiedział.

Serce mi podskoczyło, wzięłam szybki wdech i się od niego odwróciłam.

- Co jednak ciekawe - dodał - zaczęło się to, zanim cię poznałem... No wiesz, zanim wydarzyło się to nad rzeką i...

- Billy - rzekłam stanowczo - proszę, nie zaczynaj. To znaczy... nie chcę, byś pomyślał...

- Niczego nie myślę - odparł, opuszczając na kolana ręce, wciąż chropawe i suche od wapna. - Już ci powiedziałem, że nie wierzę w te dyrdymały.

Wiedziałam jednak, że to wcale nie koniec, i mu to powiedziałam. Spytałam, jak może tak mówić i co o tym myśli. Przecież musiał coś myśleć.

- Kobiety nie spacerują tak sobie w środku nocy - powiedziałam. - No więc co to jest, Billy?

Skupił na mnie uwagę, spokojny, zrównoważony. - Ty mi powiedz.

Odwróciłam spojrzenie i się nie odezwałam.

- Strasznie chce mi coś wyznać - stwierdził. - Tylko tyle wiem. Chyba dlatego wraca, dlatego ciągle przychodzi, jakby czegoś szukała...

- Ponosi cię wyobraźnia - zarzuciłam mu. - Posłuchaj tylko siebie, Billy.

Wzruszył ramionami, lecz jego twarz zachowała powagę. - Wydaje mi się, że to mnie szuka.

Roześmiałam się. - No to wszystko jasne - powiedziałam. - Gdybym to była ja, czemu miałabym cię szukać? Wiem, gdzie jesteś, Billy. Znam cię.

- No tak, teraz owszem.

- Daj spokój, Billy. Wiedziałabym, gdybym to była ja.

- Na pewno?

Westchnęłam. Zaczynał mnie już złościć.

- A ile razy? - spytałam.

- Ile razy co?

- Ile razy u ciebie była?

- Och, kilka - odrzekł ostrożnie. - Ale dokładnie trudno powiedzieć. Czasem to śni mi się, że przyszła.

- No tak. Zatem skąd wiesz, że to wszystko nie jest snem? Uśmiechnął się, pokręcił głową. - Chcesz wiedzieć, skąd wiem?

. Bo idzie do pokoju obok i budzi malutką. Za każdym razem widzę, jak przechodzi, pochyla się nad łóżeczkiem i robi coś Dorze - szczypie ją czy może drapie, nie wiem - w każdym razie Dodo budzi się z wrzaskiem, wyrrywając ze snu Cally i tak po kolei. Wychodzi, postawiwszy na nogi calušką rodzinę.

- Ależ to... - zaczęłam, lecz musiałam urwać. Bo nie umiem powiedzieć, co to było. Nie mam na to słów, ponieważ nie mogę patrzeć na malutkie dzieci, naprawdę, już nie mogę.

- Tak - mówi powoli Billy, przez cały czas patrząc mi prosto w oczy. - To nienaturalne, prawda?

Zyskałam przyjaźń Billy'ego, uczyniłam siebie jego przyjaciółką.

Ewanowi nie przeszkadzało, że tak często wychodziłam i wracałam w ciągu dnia. Jeśli tylko czekałam na niego, gdy wracał, w ogóle się tym nie przejmował. Twierdził, że cieszy się, widząc, iż tak często wychodzę. Nie okłamałabym go, gdyby mnie spytał, pewnie powiedziałabym, że chodzi o przyjaźń, co byłoby prawdą. Nawet by mu do głowy nie przyszło, że mogę uganiać się za mężczyznami - jak to: z moimi kulami i kikutem zamiast nogi? Niezły żart.

Zacząłam zauważać, że poza Pinny, która całymi dniami chodziła za nim jak cień, B. nie szukał towarzystwa i nie był raczej gadatliwy. Nawet jego koledzy murarze twierdzili, że w zasadzie go nie znają, że to dziwak, że trzyma się na uboczu, jest dla nich jak zamknięta księga. Wszystko to, co ludzie gadają o kimś, kto nie jest jednym z nich.

Powoli jednak, w miarę jak go poznawałam i raczyłam swoim towarzystwem, zaczęły mi się objawiać strzępki jego świata. Nie mógł nic na to poradzić, jest to coś takiego, na co nikt nie zna rady, tak się dzieje i już. Jeśli się kogoś lubi i spędza z nim czas, to choćby nie wiadomo jak się człowiek starał, jego historia uwolni się z wnętrza i wypłynie na wierzch.

Początkowo byłam głupia. Stanowczo zbyt bezpośrednia. Zadawałam zbyt wiele osobistych pytań - co wcale nie było najlepszą drogą do tego, by coś z niego wydobyć.

Szybko jednak się nauczyłam. Spostrzegłam, że im mniej mówię, tym lepiej. Im bardziej zmuszałam się do milczenia i wycofania, tym bardziej on skłaniał się do opowiadania. Bezwiednie zaczął mi siebie opisywać. Ostatecznie nie było pośpiechu. I tak oto powoli zaczęłam otrzymywać esencję Billy'ego, całą Billowość jego życia. Wspaniale jest widzieć, jak mężczyzna odpręża się i przestaje wszystko w sobie dusić, jak wypuszcza na świat informacje o sobie samym, nie mając nawet świadomości, co robi.

Wyjawił mi, że kiedy brał ślub z Cally, Pinny, najstarsza z córek, była już na świecie, nieco płaczliwa, marudna kruszyna.

Ale nie moja, dodał szybko. Cał przez sześć miesięcy była na służbie w Blackheath i tam zaprzyjaźniła się z malarzem. Parę miesięcy później powiedziała mu, że jest przy nadziei, a on zwiął bez słowa.

Zdumiałam się, słysząc to, i wcale się z tym nie kryłam. - I pobraliście się mimo wszystko? - rzekłam.

Wzruszył ramionami.

- No... mimo, że to nie było twoje dziecko? - dociekałam.

- A co miałem zrobić. Cally była moją jedyną przyjaciółką. Byliśmy razem od czasów ochronki, czy nie? Była moją lubą.

Tak więc ucząc się jeszcze na murarza w Willings, został ojcem Pinny - Pinny, która teraz miała dziewięć lat i szybko rosła, tak szybko, że nogi miała już dłuższe niż jej matka, o czym zapewnił mnie z dumą.

Jednak obraz jej najwcześniejszych dni, jaki mi nakreślił, sprawił, że ścisnął mi się żołądek: to maleństwo, które już kochał, z pyzatymi czerwonymi policzkami, lśnięcymi i wilgotnymi od potu i mleka, lepiący się do niej brud, kurz i piach ich nędznego lokum.

- Ale jak mogłeś to znieść? - krzyknęłam. - Jak mogłeś żyć z dzieckiem innego mężczyzny?

- To była Pinny - powtarzał z uporem, jakby nie rozumiał, co do niego mówię. - Cally nigdy niczego nie udawała, więc wszedłem w ten układ z pełną świadomością tego, jak jest. A było dobrze. Ona była wtedy taką kruszynką, niemowlęciem. Boże święty, Lauro, jak mogłem ją za cokolwiek winić?

Później wyjaśnił mi, że problem nie tkwił w tym, iż Cally urodziła Pin - nie, wcale nie uważał, że to jej wina, bo tamten człowiek najwyraźniej ją zwiódł. To codzienność rozdzierała mu serce. Nie był przygotowany na widok swojej żony wykonującej wszystkie te matczyne czynności: karmienie, gruchanie, trzymanie i dogłądanie malej, głodnej, płaczącej istotki.

- Dosłownie mnie, cholera, dławilo - mówił. - Bardziej, niżbym kiedykolwiek przypuszczał. Wszystko wróciło, choć przez całe życie prawie o tym nie myślałem.

Policzki mnie zapiekły i wzięłam go za rękę. W oczach stanęły mi łzy, nic nie mogłam na to poradzić.

- Jestem pewna, że mama cię kochała - powiedziałam - jestem pewna, że nie mogła postąpić inaczej...

On jednak tylko się roześmiał, machnął ręką, odwrócił się.

- Guzik mnie obchodzi, czy darzyła mnie jakimś uczuciem, czy nie - oznajmił chłodno. - Nie o to chodzi, Lauro, zupełnie wszystko pokręciłaś. Nie rozumiesz? Ja po prostu wolałbym zapomnieć. Nigdy nie spodziewałem się, że będę musiał, no wiesz...

- Co takiego?

- To wszystko oglądać... mieć to wszystko pod nosem, choć wiem, że spotkałoby mnie to prędzej czy później, niezależnie od wszystkiego.

Zamilkliśmy wtedy, każde z nas pogrążone we własnych myślach.

- Pinny to moja radość - oznajmił nagle, jakby doszedł do wniosku, że musi stoczyć jakąś walkę, co być może miało właśnie miejsce. - Jest rozkoszą mego serca.

Zamyśliłam się. Były to wzniosłe słowa, ale widziałam, że niosą ze sobą prawdę.

Dodał po chwili: - Nigdy jeszcze nikomu o tym nie mówiłem i już zaczynam żałować...

- Dlaczego? - spytałam zasmucona, słysząc coś takiego.

- Nie chodzi o ciebie. Rzecz w tym... - zawahał się - rzecz w tym, że czuję się teraz jak kompletny bałwan.

- Dlaczego, Billy? - pytałam.

Wzruszył ramionami i odwrócił wzrok. - Bo zrobiło się z tego takie wielkie halo.

- Ależ to jest wielkie halo! - zawołałam.

Nie tak jednak należało traktować Billy'ego. Pokręcił głową jak ktoś przegrany. Przez moment zdawało mi się, że odejdzie.



- Billy - rzekłam szybko - ja nikomu nie pisnę słówka.

- Nie przypuszczałem, że można tęsknić za czymś, czego się nigdy nie miało... - Powiedział to tak beznadziejnie smutnym głosem, że z miejsca chciałam go wziąć w ramiona i utulić.

- Ktoś cię urodził - zapewniłam go wbrew sobie. - Nie obchodzi mnie, co na to powiesz. Ktoś tulił cię do siebie i patrzył ci w oczy, kiedy przyszedłeś na ten świat.

- Ech, bzdura - stwierdził. - Nie wiesz tego. Może zwyczajnie była zadowolona, że się mnie pozbyła, i mogła robić, co chciała.

- Billy! - sapnęłam. - Nie mów takich okropnych rzeczy. Przygryzł wargę.

- Tak czy owak - rzekł, znowu rzucając mi w twarz bezlitosny fakt - Cal jest dla mnie dobrą żoną.

- Nie wątpię w to.

- Nigdy nie zrobiłbym nic, żeby ją skrzywdzić.

- To oczywiste.

I wtedy mu wierzyłam, tak jak rzecz jasna wierzyłam sobie, choć przyznaję, że nie była mi miła myśl o tej jego rodzinie. O całej szóstce w różnym wieku, różnego wzrostu i w różnych stadiach miłości. Skręcało mnie, gdy pomyślałam o intymnej atmosferze panującej w pokoju, o ciemności, w której wszyscy razem spali, łącznie z posapującym niemowlęciem w łóżeczku ze skrzynki po bananach, gruchającym i przebierającym w powietrzu maleńkimi paluszkami.

Niechętnie też myślałam o jego przypuszczalnych relacjach z Cally - o bolesnej potrzebie w środku nocy i o jego obrzmiałej końcówce, kiedy ją brał. Brał, a w zamian dawał jej dzieci, dużo dzieci - mieli już czwórkę w tych dwóch zawilgoconych klitkach, piątkę, jeśliby policzyć to nieżyjące, które Billy, jak wiedziałam, z pewnością liczył.

Widywałam ich, mężczyzn, którzy szli z kobietami wzdłuż rzeki naprzeciw Millbank. Wiedziałam, co robili. Widywałam ich, jak stali sztywno w błocie i smrodzie i dogadzali sobie ile wlażło. Przyszpileni jak trzepoczące skrzydłami motyle do porośniętego zielonym mchem muru, dopóki nie ustał wszelki ruch i pojękiwanie. Tak jak Ewan niegdyś chciał przyszpilić do naszego małżeńskiego łóżka mnie.

- Cally jest moją żoną - oznajmił mi Billy, tak jakby trzeba było znów o tym wspominać. - Znam ją całe życie. Jest mi bardzo wdzięczna... że jestem ojcem dla Pinny...

- Och, to musi być coś cudownego, kochać swoją żonę - zauważyłam, lecz mój sarkazm spłynął po nim jak woda po kacze.

- Wiesz, jesteśmy starymi kumplami - odrzekł, a ja poczułam, jak wymyka mi się znowu, jak znowu nabiera dystansu. - Chyba jesteśmy ze sobą zżyci.

- Cóż, mnie nie udało się nigdy z nikim zżyć - wyznałam mu. - Nie licząc mego ojca, dopóki nie został mi odebrany.

I wtedy po raz pierwszy od wieków tak naprawdę na mnie popatrzył.

- Lauro - rzekł - tak strasznie mi ciebie żal, naprawdę. Powiedział to chyba szczerze, a ja się zaczerwieniłam.

- Zdaje się, że ta twoja Pinny to niezwykła dziewczynka... Pomyślałam, że sprawię mu tym zdaniem przyjemność. I jakże inaczej, twarz mu rozpromieniała.

- Jest taka zabawna - stwierdził. - Byłoby miło, gdybyś ją kiedyś poznała. Nigdy bym nie pomyślał, że będę mieć tyle uczucia dla takiej smarkuli.

A ja owszem. Serce pełne jest niespodzianek, nie zawsze takich, które nam pasują. Nie powiedziałam mu tego, rzecz jasna. Nie byłoby to na miejscu, a poza tym za bardzo byłam zaprzątnięta myślami o tym, jak uroczo wygląda jego twarz, kiedy zawładną nim takie miłe emocje.

W poniedziałek rano obudzili mnie, umyli, przynieśli pijawki i brandy. I sprowadzili kapelana.

- Proszę stąd iść - powiedziałam mu - dobrze? Jak postanowię umrzeć, to ksiądz pierwszy się o tym dowie.

Pogoda pasowała do mojego nastroju: niebo ciemne i zasnuwane, nabrzmiące od deszczowych chmur czekających tylko, by rzucić się na ziemię.

To nie Ewan spuścił mi krew, lecz jakiś inny starszy mężczyzna o brudnych długich paznokciach i dość nieprzyjemny w obejściu. Gdy pijawki odpadły, miałam nadzieję, że skończył, i mu to powiedziałam. On zaś tylko się zaśmiał, zaczął podnosić robale z podłogi (gdzie upadając, stukały, opite) i wyciskać je nad wiadrem jak mokre szmaty.

- To dla oszczędności, moja droga - oświadczył.

Nie przestawał rechotać pod nosem, a gdy zamknęłam oczy i zatkałam uszy, nie mogąc znieść ani jego widoku, ani bębnienia mojej własnej krwi o metal wiadra, śmiał się tym radośniej.

Na oddziale panował ruch. Rodziły akurat trzy dziewczyny, wszystkie trzy obdarzone brzuchem przez tego samego pracodawcę, a do tego kilka starszych kobiet czekało na odjęcie rąk albo nóg.

No i był ten chłopczyk, nienależący do nikogo i przebywający tu z przyczyn, o których nikt nie miał pojęcia. Zauważyłam go już wcześniej, jak błąkał się i obijał o ściany i drzwi, snuł się bez celu i bez żadnego nadzoru, nieźle otumaniony alkoholem.

Choć byłam koszmarnie słaba, zawołałam go i zapytałam, ile ma lat.

- Cztery - poinformował mnie, chlapiąc.

- Cztery? - Trudno w to było uwierzyć, bo miałam sporo do czynienia z czterolatkami. - Naprawdę, skarbie? Jesteś pewien? Bardzo jesteś malutki jak na cztery latka.

- Mhm - odezwał się głosem małego mężczyzny. - Prawda? Ale jak wyciągnę rączki do światła, od razu robię się większy, popatrz!

I wyciągnął swe małe, pajęczne rączka, które nijak nie chciały się uspokoić, tylko drżały niepewnie przy jego twarzyczce. Był nie większy od niemowlęcia tak naprawdę, mały, rozchwiany zlepek mięsa i chrząstki o głosie zaprawionym brandy, którą dawkowano szczerze nam obojgu.

- A gdzie twoja mama? - spytałam, chcąc się dowiedzieć, zaś on na dźwięk tego słowa rozplakał się jak bóbr, wydając dziwny beklawy dźwięk, który unieruchomił go w miejscu, zużywając najwyraźniej tę odrobinę energii, jaka mu jeszcze została..

- Chodź tutaj, maleńki - powiedziałam.

Podszedł skwapliwie, ledwo powłócząc nogami, a ja wciągnęłam go na kolana. Spozregłam, jak sine ma powieki, obrzmiałe i opadające niczym główki kwiatów. Drżał cały z wycieńczenia.

- Gdzie jest moja mama? - spytał mnie poważnie. - Chcę do mamy. Gdzie ona jest?

Jestem pewna, że trawiła go gorączka. Miał strasznie zaropiałe oczy, krew w nosie i coś sączyło mu się z ucha.

- Czy ona umarła? - spytał, patrząc mi w twarz, jakby lada moment miała ukazać się na niej jego matka.

- Nie przejmuj się nią, teraz jesteś z Laurą - odrzekłam i z przyjemnością patrzyłam, jak zapada w sen w ciepłym i bezpiecznym zgięciu mojej ręki.

Oto znów byłam z dzieckiem. To był cud, maleńki cud. Ciekawa byłam, czy mogę sobie zaufać. Ostrożnie wciągnęłam zapach malca i nie mogłam się nadziwić bliskości i gorącu, jego płytkiemu oddechowi i cienkiej jak bibułka skórze. Pomyślałam o moim własnym dziecku i w jakimś

sensie pomyliłam je z tym tutaj - byłam w pełni świadoma, że zadam tym sobie ból, ale nie mogłam się oprzeć. Oto znalazłam się na stromym zboczu jego rozkoszności i szybko się staczałam.

Zadrżałam i zamknęłam oczy. A wtedy ciało zaczęło mi ciążyć i chyba zasnęłam. Śniłam o rzece i moście, o głębokim cieniu tam, gdzie woda pozostawia grzywy jasnobrązowej piany, gdy nastaje odpływ. Piany i brudu. A gdy się obudziłam, szkrab już nie żył.

Był martwy i trupio siny.

Początkowo, gdyby nie ten upiorny kolor skóry, można było pomyśleć, że po prostu głęboko śpi. Bo dzieci tak mają, prawda? Każdy rodzic wam powie, że jak zawędrują głęboko w to tajemne, senne miejsce, może być trudno szybko je dobudzić. Poruszyłam się jednak na łóżku i od razu zrozumiałam, że coś jest nie tak, bo jego ciało nie poruszyło się wraz z moim.

Postanowiłam krzyknąć.

Pielęgniarka narobiła straszego zamieszania, próbując go ode mnie zabrać. Jego paluszki tak skutecznie wplątały się w moje włosy, że trzeba je było wyplątywać jeden po drugim. A umierając, chucherko się zesusiało - na kolanach miałam ciemną plamę, która już zdążyła nieco ostygnąć.

Ewan odjął mi nogę jeszcze tego samego dnia. Nie miałam bladego pojęcia, czy było to południe, czy wieczór, tak przytępiły mi zmysły alkohol i spuszczone krew.

W dawnych czasach nie było żadnej sali operacyjnej - zwyczajnie kładli na łóżku ceratę i zabierali się do roboty. Było to strasznie przygnębiające dla tych, co czekali na swoją kolej. Nawet przy zaciągniętych zasłonach wyraźnie dało się słyszeć piłowanie kości. Czasami kobiety spadały z łóżek i robiły sobie krzywdę, usiłując lepiej coś zobaczyć.

O tak, słyszałam różne opowieści.

Jak ta o chirurgu, który zamachnął się nożem, zapominając, że zza pleców przygląda się jego pracy kolega. Przeciął mu żyłę. A potem w panice, nie wiedząc, co robić, przejechał ostrzem po dwóch palcach swojego asystenta, który zmarł cztery dni później z powodu zakażenia.

Mój ojciec, który w swoim sklepie sprzedawał i ostrzył najróżniejsze narzędzia, i był bardzo stanowczy, gdy chodzi o przestrzeganie zasad bezpieczeństwa, byłby zbulwersowany.

Ewan, jak mi powiedzieli, miał bardzo niski wskaźnik śmiertelności. Znany był z tego, że odjęcie kończyny zajmowało mu mniej niż minutę. Miałam szczęście, że mnie wybrał, jak mi powiedzieli - nie zdając sobie sprawy, że to ja wybrałam jego.

I teraz wszystko się zmieniło. Teraz sala operacyjna znajdowała się na przestronnym poddaszu kościoła - w czystym, wybielonym pomieszczeniu, gdzie czuć było zapach rozmarynu i czosnku ze stryszku z ziołami tuż obok. Było to najprzyjemniej pachnące miejsce, w jakim się kiedykolwiek znalazłam, a jednak ponieważ to tam cierpiałam najgorsze katusze, nie mogę znieść tych zapachów po dziś dzień.

W niektóre dni, jak mi powiedziano, dochodziły tam też dźwięki hymnów śpiewanych w kościele - piskliwa boża muzyka sącząca się z dołu i mieszająca dziwnie z krzykami cierpienia. Nie słyszałam jej, lecz uznałam, że dźwięk musi być stłumiony, podłoga składała się bowiem z dwóch warstw desek i wypełnienia z trocin pomiędzy nimi. Jestem pewna, że zgromadzenie wiernych nie chciało, by krew sączyła się spomiędzy krokwi i kapiała na głowy.

Kiedy Ewan dowiedział się, co zaszło z dzieckiem, bardzo się mną przejął.

- Dobrze się czujesz? - spytał, a gdy odrzekłam, że tak, dodał: - Nie powinnaś się obwiniać, wiesz? Ten malec był naprawdę bardzo chory, a poza tym miał leżeć w łóżku.

- Och, nie martw się o mnie, proszę - powiedziałam. - Jestem piastunką i przywykłam do różnych dziwności wyprawianych przez maluchy.

Spojrzał na mnie, lecz nie potrafiłam odgadnąć, co się w tych jego oczach kryje.

- Wiesz, nic nie mogłaś zrobić - rzekł. - Mam nadzieję, że jesteś tego świadoma?

Uśmiechnęłam się.

Powinnam dodać, że Ewan bardzo żywo się mną interesował. Ilekroć przechodził przez oddział, zawsze wynalazł nowy, przekonujący powód, by zatrzymać się przy moim łóżku. A to sprawdził mi puls, a to temperaturę, a to znów uznał, że musi mi przekazać jakąś nader cenną informację bądź przeprosić za małego szkraba, który wymyślił sobie, że umrze na moich kolanach.

- Czy jest ktoś, kto mógłby tu z tobą pobyc? - zapytał wcześniej, tuż przed tym, jak spuszczone mi krew.

- Nie - odparłam zwyczajnie. - Nikogo takiego nie ma.

- Naprawdę? Żadnej rodziny? Przyjaciół?

- A gdyby to o ciebie chodziło - spytałam dość bezczelnie - kto by to był?

Zarumienił się. Takie zaangażowanie z jego strony, lecz wzajemności chyba nie oczekiwał.

- Nie chodzi o mnie - zauważył trzeźwo.

- Ale gdyby - uparłam się, postanawiając, że nie dam się tak łatwo zbyć. - Wtedy kto by to był? Twoja żona?

Wypowiedziałam to delikatnie, spokojnie, jak gdybym zwyczajnie zakładała, że taki mężczyzna jak on musi być żonaty. Prawda zaś była taka, że doskonale wiedziałam, iż nie ma żony, bo mankiety miał zawsze nie wyprane i od paru dni nosił na policzku smużkę brudu, co każda mieszkająca z mężczyzną niewiasta szybko by mu wytknęła.

- Nie jestem żonaty - wyznał.

- Naprawdę?

- Niestety nie.

- Niestety?

- Cóż - ciągnął, rumieniąc się coraz bardziej - prawdę mówiąc, mieszkam z matką.

- Co? - wypaliłam zaskoczona. - A czy ona jest ślepa? Popatrzył na mnie. - W zasadzie tak. Prawie. A co? Skąd możesz o tym wiedzieć?

Uśmiechnęłam się. - Nie spoglądałeś ostatnio w lusterko.

- Słucham?

- Musisz wytrzeć twarz.

Natychmiast wyciągnął chusteczkę. - Ojej, ależ mi teraz wstyd. Już drugi raz przyznał się do tego w mojej obecności i tym razem pomyślałam, że zapytam dlaczego.

- No cóż, chodzi o ciebie - odrzekł cicho po chwili zastanowienia.

- O mnie.

- Tak, o ciebie. O to, jaka jesteś. Wiesz przecież. Wiesz, co robisz.

- Niby co ja takiego robię?

Zawahał się. Popatrzył dokoła. Zachowywał się dziwnie.

- Nie powinniśmy o tym rozmawiać - rzekł. - Nie teraz. Przepraszam. Proszę... wybacz mi.

- Zawsze ci wybaczę - odparłam i wtedy rzeczywiście tak myślałam.

Może z braku innego zajęcia, a może, żeby mnie dotknąć, zbadał mi wtedy puls. Palce miał gorące, suche i sztywne. A włoski na knykciach - lśniące, rzadkie, w kolorze rudoblond, tak jak się można było spodziewać.

W którym miejscu będziesz ciął? - spytałam go później.

- Czemu pytasz? - odrzekł zdumiony.

- Chciałabym wiedzieć.

- Większość ludzi woli nie wiedzieć.



- Nie jestem jak większość - stwierdziłam.

- Tuż nad kolanem - odpowiedział. - Zakażenie jest zbyt rozległe, bym mógł próbować niżej.

I popatrzył na mnie uważnie, by zobaczyć, jak zareaguję.

- Aha - rzekłam. I się do niego uśmiechnęłam.

- Nie bój się - powiedział cicho, a ja choć wiedziałam, że stara się tylko być miły, odrzekłam, że się nie boję, bo niby czego? Przytrafiały mi się znacznie gorsze rzeczy, a co się miało stać, i tak się stawało i nic nie można było na to poradzić.

Ewan zdawał się wtedy nie wiedzieć, co z sobą począć. Był strasznie podenerwowany, jak widziałam, i domyśliłam się, że to z mojego powodu. Rozejrzał się dokoła, a gdy spostrzegł, że pielęgniarka jest gdzieś daleko, wyciągnął taboret, podkasał fartuch i usiadł przy moim łóżku. Z głową w dłoniach. Z oczami wbitymi w podłogę. Potwornie nieswój i onieśmielony.

- O co chodzi... panie Lockheart? - spytałam.

Gdy podniósł wzrok, oczy miał ciemne i zmęczone. Wtedy właśnie dowiedziałam się, jak ma na imię i już na zawsze miałam je kojarzyć z tymi właśnie oczami: chmurnymi i zapadniętymi.

- Jestem Ewan - rzekł. - Nie mów panie Lockheart, tylko Ewan. Proszę.

- O co więc chodzi, Ewanie?

Uśmiechnęłam się. Zabawne było to jego imię - Ewan - nie jak imię tak naprawdę, lecz jakiś gest: machnięcie dłonią albo skinienie głową.

- Nie wiem - odrzekł. - Sam nie wiem, o co chodzi.

Popatrzył na mnie jeszcze przez chwilę, po czym wstał i opuścił oddział kobiecy ze spuszczoną głową, szurając butami po brudnej podłodze.

Nie przystanął przy żadnym z innych łóżek, nie zapytał o samopoczucie żadnej innej pacjentki. Nawet starej pani Witty ani June Fellows, mimo że obie miały stracić kończyny tego samego dnia co ja.

## Rzeka

Zapadła noc, a my jesteśmy nad rzeką, siedzimy na podkładach przy tymczasowych torach kolejowych, gdzie toczą się wielkie roboty budowlane Billy'ego.

Zapachy czystego błota i ropy niemalże tłumią zwyczajny smród Tamizy - tylko od czasu do czasu wiatr przynosi fetor gotowanych kości z wytwórni mydła, bardziej obrzydliwy niż wszystkie inne wonie razem wzięte.

Nie wiem, dlaczego tu przyszliśmy, jeśli nie liczyć tego, iż B. zna to miejsce tak dobrze i wie, że nocą nikogo tu nie ma. I bardzo dobrze, bo wszędzie dookoła stoją tablice z ostrzeżeniem o niebezpieczeństwie. Tydzień wcześniej plątał się tu jakiś chłopak i wpadł do głównego kanału. Billy twierdzi, że utonął w dole kloacznym, niesłyszany w swym wołaniu o pomoc przez wiele kilometrów dokoła.

Za nami stoi kaplica baptystów o nieskończenie smutnych oknach, powybijanych i połatanych. Nie wiem tego na pewno, lecz podejrzewam, że niedługo zostanie zburzona. Wzdłuż całego brzegu wszystko jest burzone, zmieniane i wznoszone od nowa. Odbierają rzece ziemię i z cegieł budują podziemne tunele, które mają odprowadzać nieczystości. B. mówi mi, że to dobrze, że Londyn będzie miał porządną kanalizację, co ocali całe mnóstwo istnień.

Na początku płakał z powodu szoku, ale utuliłam go i teraz już chyba trochę się pozbierał i nic mu nie jest. No, może niezupełnie nic, w każdym razie pali, myśli i mówi - znowu jest sobą.

Szczerze mówiąc, jest trochę zły. Uważa, że traktuję całą sprawę zbyt lekko, uważa, że udaję przed sobą, iż nic się nie stało. Tymczasem zupełnie się myli. Kobiety uważane są za słabą płęć, ale to bzdura. Chłopcy są jak pieczone jabłka w cukrze - chrupkie na zewnątrz, rozmamłane wewnątrz.

Dziewczęta zaś to wata cukrowa - różowy obłoczek z biegnącym przez sam środek twardym, ostrym rdzeniem.

Czuję swoją twardość i ostrość w każdej minucie każdego dnia. Billy jednak widzi tylko poduchowatą słodycz. Taki już jest. W przeciwieństwie do mnie nigdy nie czytał książek i nie wie nic na temat ludzkiego wnętrza. Nie wie, że to, co się widzi, nie jest tym, co siedzi w człowieku w rzeczywistości, że ludzka natura to liczne powłoki, fascynujące powłoki, które mają za cel ciebie zmylić. Tak więc próbuje znaleźć wyjście z naszej sytuacji w typowo męski, prosty sposób.

Mówi, że natychmiast musimy iść do domu.

- Musimy pójść sprawdzić, czy rzeczywiście leży zamordowany. Marszczę brwi. Czuję ulgę, słysząc, że mówi „my”, ale nie podoba

mi się język, którego użył. Tak brutalny. Sprawia, że zaczynam się okropnie czuć, i mówię mu o tym.

Opiera się na łokciu, zaciąga swoim tycim, nędznym papierosem i na mnie patrzy. Pomimo pełni księżyca rozświetlającej niebo i teren wokół nas, nie widzę, co wyraża jego spojrzenie. Być może miłość. Chciałabym, żeby to była miłość. Jego twarz jednak stała się pociągła i nieprzyjazna z przejęcia, więc pewnie tym razem miłość to nie jest.

- Jeśli to zrobiłaś, Lauro - mówi - jeśli zrobiłaś to tak, jak mi opowiedziałaś, to popełniłaś czyn bardzo brutalny. Nie może być wilk syty i owca cała. Jeśli sprawiłaś, że on, twój mąż, umarł, to musisz spojrzeć prawdzie w oczy i uznać, że to było morderstwo.

Wzdrygam się i po omacku szukam swoich kul, które leżą za mną na zimnych, szarych kamieniach.

- I powieszą mnie za to - mówię, a on, jak zauważam, nie raczy zaprzeczyć. - Prawda? - naciskam i mam już się na niego wściec, że zapomina, dlaczego, dla kogo to zrobiłam, lecz wtedy obejmuje mnie ramieniem.

- Ćśś - mówi.

Tuli swój policzek do mojego, dopasowuje się do mnie kształtem swego ciała. Czuję mocne mięśnie jego ramion - mięśnie murarza. Wzdycham. Jest moją miłością...

- Chcesz, żeby mnie powieszono?

- Kocham cię nad życie, wariuję na twoim punkcie, ale...

- Tak? Ale co?

- W ogóle cię nie rozumiem - mówi. - Myślę, że jesteś szalona. Tak wiele z tego, co zrobiłaś, przekracza ludzkie pojęcie...

- I granice wybaczenia? Czy tak?

- Nie rozumiem cię - powtarza.

Milczę przez chwilę, po czym mówię: - Spróbuj. Nie odzywa się.

- Tak wiele straciłam - mówię mu. - Więcej, niż ci się wydaje. I nie pozwolę sobie na to, by stracić coś jeszcze.

Słyszy to i choć może nie ma takiego zamiaru, nieco się ode mnie odsuwa. To jego oddalenie boli.

- Kiedy cię pierwszy raz spotkałem - mówi - pomyślałem, jaka jesteś dobra i słodka... byłaś najśłodsza istotą w tym swoim mokrym ubraniu, ze smutną, drobną twarzą...

- A teraz?

- Cóż, teraz znam cię lepiej, nieprawdaż?

- Nigdy nie mówiłam, że jestem dobra. To ty... ty zawsze próbowałeś widzieć we mnie to czy tamto...

Wstrząsa nim dreszcz. - Wiesz, czasami mnie przerażasz. Patrzę na niego. - Och, Billy, naprawdę? Jestem przerażająca? Czy tak właśnie o mnie myślisz?

- Nie myślę, Lauro. A przynajmniej się staram. Jeżeli zacznę myśleć o tym, co zrobiłaś ze mną i z moim życiem, wtedy pewnie sam oszaleję.

Odwracam wzrok. Wiem, że mówi poważnie, a jednak nie wie czegoś, co ja wiem. Uważa, że zwyczajnie wpadliśmy na siebie przypadkiem. Cóż, miło jest tak myśleć.

Wydmuchuje dym, marszcząc ze złością czoło.

Opieram kule o kamienie i dźwigam się w górę. On obraca głowę i patrzy, lecz nie proponuje pomocy. Wydaje się czerpać podłą przyjemność z patrzenia, jak trudzę się, żeby wstać.

Nie spoglądam mu w twarz.

- A zatem chodźmy - mówię.

Przytrzymuję kule pod pachami i dotykam jego głowy, jego sztywnych włosów. Robię to częściowo dlatego, że wiem, iż go to rozdrażni. Ma absolutnie proste i wyjątkowo lśniące włosy, nawet gdy są brudne - choć muszę powiedzieć, że tym razem zostały fatalnie obcięte.

Dokładnie na tym samym fragmencie kamienistego nabrzeża niedaleko Nash's po raz pierwszy wkroczyłam w życie Billy'ego.

Siedział akurat i palił na zmarzniętym brzegu tuż obok miejsca, gdzie stały zacumowane i zabezpieczone łańcuchami łodzie. Z niedaleka dochodził łoskot rozbiórki i Billy miał na sobie jej świadectwo - czarne smugi błota i pył wapienny, spękane i oblepione wapnem dłonie, sztywne od kurzu włosy.

Było stanowczo za zimno na przesiadywanie na ziemi, ale nad rzeką ułożono stos dobrych belek z rozbiórki i Billy skorzystał z niego, by schronić się przed wiatrem i zapalić papierosa. Zbliżał się odpływ i wkrótce w korycie rzeki, kiedy by dostatecznie opadła, miały zostać zatopione jakieś wielkie metalowe elementy. B. podał mi nawet ich nazwę, ale zapomniałam.

A zatem styczeń. Czwarta po południu. Wieża śrutowa cała w czerwieni zachodzącego słońca, brzegi rzeki zniekształcone w mroźnym świetle. Głośno pracowały

urządzenia i dosyć mocno śmierdziało, ale nie tak bardzo jak latem, zresztą i tak nie pamiętam.

Gdy wypalił papierosa, wetknął ręce głęboko do kieszeni i chodził po nabrzeżu, a przed oczami wirowały mu plamki gorąca. Nie wiem dlaczego, ale zawsze odczuwam ogromną przyjemność, gdy myślę o nim, jak tam Bogu ducha winny spacerował, wdychając zapach własnego ciała spod koszuli, czując, jak kamyki przesuwają mu się pod nogami, za chwilę mając mnie spostrzec, jak płynę niesiona z prądem z lewą dłonią podskakującą tuż pod powierzchnią wody.

Tak, z tą dłonią!

- Co sobie wtedy pomyślałeś? - spytałam go kiedyś.

- Że to wściekle zimne popołudnie - odrzekł. - Nie miałem pojęcia, jak przeżyłaś w tej wodzie.

- Nie - odrzekłam. - Gdy zauważyłeś rękę... moją dłoń... myślałeś, że co to jest?

Tak się cieszyłam, kiedy zwyczajem kochanków mogłam na okrągło odtwarzać krocze po krocze nasze pierwsze spotkanie, słuchać, jakie myśli i reakcje towarzyszyły wszystkiemu, co widział i robił.

Wzruszył ramionami. - Nie miałem pojęcia, Lauro - odrzekł. - Nie wiedziałem, co to może być - ot, coś jasnego podskakiwało sobie w wodzie.

- Ale czy wyglądało to jak ryba? Albo martwa mewa? - wypytywałam, bo na płytkiej wodzie pomiędzy łodziami rybackimi a ceglana konstrukcją, która miała stać się częścią kanalizacji, zawsze unosiło się pełno padliny.

- Może - odparł. - Ale wtedy spostrzegłem fragment, no wiesz, twoich podkulonych palców. I dołączoną do nich całą resztę...!

Billy wydał okrzyk - czy raczej paniczny wrzask - i rzucił się naprzód. W tej samej chwili usłyszał stukot mojego obcasa o kadłub kutra.

- Dryfowałaś na powierzchni - mówił - leżałaś sobie na wodzie na jakieś półtora metra głębokiej, spódnica i halki unosiły się dokoła...

Krzyk usłyszał Bunker i nadbiegł co tchu w płucach. Pomóż mi! - powiedział Billy, tak wstrząśnięty, że lewo mógł z siebie dobyć głos, Pomóż!

- Myślałem, że nie żyjesz - ciągnął. - To było straszne. Martwa kobieta o białych palcach i ciągnące się za nią włosy. Suknia ci spadała...

Uwielbiałam ten fragment.

- Co znaczy: spadała? - zawsze go wtedy pytałam.

- No wiesz... Haftki się porozpinały i zjechała ci...

- Zjechała? Tak zupełnie?

- No... z ramion.

- Czy widziałeś moje...?

- Niezupełnie. Częściowo tak. Chociaż nie przyglądałem się, oczywiście.

- No, mam nadzieję - odrzekłam tak skromnie, jak tylko umiałam.

- Bunker jednak był nieporuszony. Złapał cię od razu i krzyknął do mnie, że żyjesz. Ucieszyłem się. Chociaż cię nie znałem, to już wydało mi się...

- Tak? - spytałam. - Co ci się wydało?

- Wydało mi się, że to ważne - odparł Billy. - Ważne, że żyjesz. Bunker powiedział zaraz, że czuje puls na szyi. Że czuje, jak się poruszasz, że twoje ciało jest ciepłe.

Przez chwilę Billy miał wrażenie, że zaraz zemdleje, ale znowu usłyszał wokół siebie dźwięki: pogłębiarki, rybacy, szcęk urządzeń z kanału głównego.

- Położyliśmy cię na ziemi, na brzegu. Byłaś tak przerażająco blada...

- I mokra, jak przypuszczam, byłam mokra?



- O tak, a do tego umazana błotem i z ociekającymi włosami, jak syrena...

- Daj spokój.

- No dobrze, jak ryba. Pół ryba, pół kobieta.

- Śmierdziałam mułem, Billy, wiesz przecież.

- Nic nie zauważyłem, nie śmierdziałaś.

- Romantyczny głuptas z ciebie, Billy. Ale co zrobił Bunker?

- Och, Bunker pobiegł sprowadzić pomoc, jak się zdaje. W każdym razie na pewno wrócił z kocem.

- Aha, pamiętam to... ten koc.

Jego ciepło i szorstkość. Kamienny chrzęst młodych, spiesznych kroków oddalającego się znowu Bunkera. Intrygujące doznanie związane z Billym badającym mi puls, to uczucie, gdy macał elastyczną kosteczkę po sinawej wewnętrznej stronie mego nadgarstka. Gdy pocierał delikatnie moje łopatki. Gdy moje serce, bijąc, pukało o jego płaską dłoń.

- Mówiłam coś?

- Nie, oczy miałaś przez cały czas zamknięte. Bałam się... to znaczy, żyłaś, ale byłaś przemarznięta.

Leżałam na zimnie, półprzytomna, z głową na jego udzie. Na udzie młodego mężczyzny pachnącego wapnem i cegłą. Mogłam poznać, że jest młody, po drżącej smukłości jego mięśni, po niewyrobieńcu, niewykończeniu ciała. Tak, przysiąc mogę, że czułam nawet nitki nerwów biegnących pod wełnianymi spodniami sztywnymi od brudu i wilgoci z powietrza. Zaś patrząc z dołu, mogłam dostrzec pojedyncze kłaczkę na niedogolonej sterczącej brodzie.

Czułam, jak zwijają mi się wnętrzności, chciało mi się wymiotować. Smród rzeki lgnął mi do rękawów, do języka, do włosów. Choć ledwo mogłam otworzyć oczy, wiedziałam, że niebo poczerwieniało, na wieżę śrutową zstąpił dymny mrok,

a wokół niej krążyło i krakało czarne ptactwo. Mechaniczny szcęk kopania zaczął cichnąć.

- I co było dalej?

- Cóż, Bunker sprowadził Eda... Pamiętasz Eda Almonda? Owinęli cię w płachtę mającą chronić przed kurzem, żeby cię trochę ogrzać, a majster przysłał młodego Kempa z kapką brandy.

- To miłe z jego strony.

- Tak. Sam trochę łyknałem...

- Naprawdę?

- Musiałem. Byłem... hm... byłem chyba w szoku.

- Co takiego? Bo mnie znalazłeś?

- Bo cię znalazłem, tak.

I to by było tyle. Oboje znaleźliśmy resztę opowieści. Wiedzieliśmy, że znaleźliśmy się nawzajem. Że z nurtem rzeki wpłynęłam w życie Billy'ego i żadna ilość brandy nie byłaby w stanie uchronić nas przed szokiem, który ten fakt w nas wywołał. Splot chwil i wydarzeń rozciągnął się w przyszłość, gdzie nie mogliśmy na nic wpłynąć, już wtedy - choć wcale weń nie spoglądaliśmy - nieuchwytny, niezachwiany, nieodwracalny.

Billy też wiedział co nieco.

Wiedział, że straciłam dolną część jednej nogi. Że moja przemoczona spódnica leżała płasko po jednej stronie, tam gdzie jej brakowało.

I wiedział coś jeszcze - coś, czego pewnie wolałby nie wiedzieć. Wiedział, że kiedy otworzę oczy, zobaczy kobietę, która stała nad nim nocami w jego pokoju. Czekał. Obserwując.

- Nawiedzałaś mnie - rzekł. - Przychodziłaś jakoś do mnie, przyznaj się, Lauro...

- Nie - odparłam szybko. - Nie bądź głuptasem, Billy, jak niby miałabym to robić?

- A jak inaczej mógłbym cię zobaczyć? Twierdzisz, że tracę zmysły?

- Daj spokój, Billy.

- Wiesz, co zrobiłem? - spytał mnie. - Potem? Kiedy cię zabrali? Nie, nie mogę ci powiedzieć, to zbyt... za bardzo się wstydzę.

- Co takiego?

- Będziesz wstrząśnięta. Zrazisz się do mnie...

- Nie pleć bzdur.

- Lauro, ja wymknąłem się za barak i... no... no wiesz...

- Co, Billy?

- Na Boga, Lauro. A co robią mężczyźni? Kiedy... no wiesz? Zastanowiłam się i w mojej wyobraźni pojawił się, wirując lekko niczym piórko, pewien obraz.

- Nie! Nie wierzę, że...

- Widzisz, a nie mówiłem? Teraz mnie nienawidzisz.

- Ależ...

- Nie zaprzeczaj, widzę to w twoich oczach!

- Wcale cię nie nienawidzę - odparłam, zasłaniając twarz włosami, by ukryć się przed jego wzrokiem. - Wręcz przeciwnie. Uważam...

- Co? - Wpatrywał się we mnie tymi swoimi ciemnymi, nieustępliwymi oczami. - Co uważasz, Lauro? Powiedz mi!

- Że to komplement - odrzekłam. - Uważam to za komplement. No i? Wystarczy? Czy to ci wystarczy?

I odwróciłam wzrok.

- Lauro... - Położył dłoń na moim udzie, na kikucie, który nie miał nawet kolana, po czym usiadł prosto i podciągnął kołnierz koszuli, zakrywając usta, jakby żałował, że mi powiedział. - Ja nie wiem dlaczego - rzekł. - Nie pytaj mnie.

- Nie pytam.

- Po prostu musiałem.

- W porządku.

- Ale proszę, Lauro, nie gniewaj się...
- Billy, uwierz mi, że się nie gniewam.

I była to prawda. Nie gniewałam się ani trochę o to, co mi powiedział. Ale jak mogłam mu się przyznać, że jestem oczarowana myślą, iż wyciągnąwszy mnie z tej ciemnej wody, tak do mnie płonał, że musiał to zrobić, nie czekając ani chwili, gdzie się tylko dało?

Bo od tej pory, ilekroć wyobraziłam go sobie, jak stoi pomiędzy nowo wybudowanymi kanałami ściekowymi a tamtym barakiem, ukradkiem wypuszczającego na błoto drżące strużki, do oczu zawsze napływały mi łzy najgłębszej, najbardziej niezłomnej miłości.

Nie mogę wejść - mówię Billy'emu, gdy stoimy przed domem. - Nie mogę. Ja nie żartuję. Proszę, mówię poważnie, nie zmuszaj mnie.

- Daj spokój.
- Nie, Billy...

Serce skacze mi w piersi jak oszalałe. Dom tonie w absolutnej ciemności. Nigdzie ani promyczka światła - nie, żebym była zaskoczona, skoro dokładnie w takim stanie sama go zostawiłam. Verity nie pojawi się przez kolejne dwa dni, podobnie zresztą - czego jestem pewna - jak nikt inny. Rzadko ktoś nas odwiedza, Ewana i mnie, nie mamy przyjaciół. W domu są osobne drzwi dla dostawców, a i oni zapewne odejdą, jeśli nikt nie odpowie na śpiewny dźwięk dzwonka.

Billy chwyta mnie za ramię. - Myślisz, że chcę w tym uczestniczyć? - syczy mi do ucha. - W tym... w tym ohydny postępek, którego się dopuściłaś? W tej chwili? Zastanów się, Lauro. To nie mój postępek, nie moja sprawa. Sądzisz, że naprawdę chcę się do tego mieszać?

- Nie - odpowiadam powoli. - Nie sądzę.
- No to... - chce powiedzieć, lecz chyba złość zaczyna w nim odpuszczać.

- On tam jest - mówię, nie wiedząc właściwie, dlaczego z tym wyskakuję, z czymś tak oczywistym.

- Tak, Lauro. A teraz proszę, żebyś się ocknęła i mi pomogła. Nic nie mówię, lecz jego ton robi swoje. Me serce uspokaja się i ostrożnie, bardzo ostrożnie otwieram torebkę i wydaję klucz. To najcięższy, najbardziej znaczący klucz, jaki w życiu trzymałam, gdyż czuję, że przeniesie mnie zaraz w koszmar.

- Poślubiłaś go - ciągnie Billy, a jego twarz wydaje się teraz w świetle lampy taka duża i brzydka. - Dla mnie on nic nie znaczy, nieszczęsny dupek. Ja nic ci nie jestem winien. Ty rzuciłaś się na niego, Lauro... na Boga, okaleczyłaś. Jak już powiedziałem, to twoje zmartwienie.

- Dzięki ci, Billy - mówię. - Wielkie dzięki.

Policzki palą mnie żywym ogniem, gdy pokonuję schody do drzwi wejściowych.

- Odejdź - mówię mu - zostaw mnie w spokoju. Poradzę sobie. Cała reszta to też tylko moje zmartwienie, sam mówiłeś...

On jednak wrzuca papierosa do rynsztoka i wchodzi za mną. Pokonuje po dwa stopnie naraz. Gdy dociera na górę, czuję na twarzy jego oddech, nikotynowy i słodki. A potem jego palce. Na całym ciele.

- Przepraszam, - mówi - przepraszam, skarbie... wybacz mi. Sam nie wiem, co mówię.

Odrącam go.

- Lauro, to takie... jestem tym taki wstrząśnięty.

- Przykro mi - mówię mu.

- Ale cię kocham.

Zmagając się z kluczem, całuję jego palce.

- Moglibyśmy pojechać do Francji, co? - pytam, wykorzystując jego nagłą skruchę. - Wiesz, tak bardzo bym

chciała. Łodzią, tylko ty i ja, nasza wspólna ucieczka... och, proszę, Billy, zgódź się!

- Posłuchaj, Lauro - odzywa się bardziej trzeźwo - rzecz w tym...

Czekam.

- Rzecz w tym, że najpierw musimy cię z tego wyciągnąć, a dopiero wtedy będziemy mogli snuć jakiegokolwiek plany.

Wzdycham. Plany. No tak.

- Masz rację, Billy - mówię. - Powtarzam się, wiem. Przepraszam. To będzie łatwe. Jestem pewna, że całkiem nie żył, kiedy stąd wychodziłam... czułam, jak pogrzebacz wbił mu się prosto w mózg, kiedy dźgnęłam go w twarz...

- Chryste - sapie Billy, przygryzając paznokcie. - Przestań...

- Znaczy się, to chyba musiało go zabić, jeśli nawet wcześniej jeszcze żył...

- Dobrze już, przestań, zamilcz - mówi Billy. - Proszę, Lauro, wystarczy już tego, kochana.

Przełykam. Uświadamiam sobie, jak bardzo nie chcę, by mój Billy mnie znienawidził.

- Biedny Ewan - mówię i chyba naprawdę tak myślę. - To nie była jego wina, że się ze mną ożenił. Był po prostu samotny, chciał mieć żonę, tak jak każdy, prawda? I tyle w nim było optymizmu, czyż nie? Istne dziecko, doprawdy. Każdy mógł popełnić taki błąd.

Billy jednak nie słucha.

- Na litość boską, pospiesz się - mówi, gdy walczę z zamkiem, z którym przez cały miniony rok nigdy nie miałam najmniejszych problemów. - Otwórzże już te drzwi, kobieto. Bo jak ktoś zobaczy, że z tobą wchodzę...?

- Nikt niczego nie zobaczy - zapewniam go.

On przecież nie wie, że to najszczerza prawda. Bo niby skąd? Ale dobre z niego chłopisko, z tego mojego Billy'ego, dobry chłopiec.

Tak więc założyli mi na oczy opaskę i zabrali do jasnego pomieszczenia na poddaszu, gdzie przynajmniej jedna para szorstkich, mocnych rąk pomogła mi wejść na stół.

Przez cały czas byłam spokojna, nie wyrywałam się i myślałam jedynie, jak tu zimno - a może to tylko przez to, że od wielu dni nic nie jadłam i straciłam sporo krwi?

Ten chłód zdawał się mieszać mi zmysły, tak iż nagle nie byłam w stanie umiejscowić się w czasie. Dopiero odgłos lejącej się z dzbanka wody przywrócił mnie do rzeczywistości - chlupot wody i głuchy brzęk odstawianego dzbanka. Aha, no i rozmowy wielu ludzi i ujadanie małego psa.

Ujadanie psa? Czy to możliwe? Cóż, mogłabym przysiąc, że je słyszałam, i mogłam nawet odgadnąć wielkość zwierzęcia po smutnych, piskliwych dźwiękach, jakie z siebie wydawało. Tymczasem ciemna tkanina opaski zacisnęła się ze straszliwą mocą. Pachniała wilgocią i solą, ale czy to od moich własnych łez, czy też łez innych, nie umiałam powiedzieć.

Poczułam zapach własnego strachu.

Poczułam też zapach Ewana na długo przed tym, jak usłyszałam jego głos. Była w nim ta charakterystyczna pieprzność, woń bladości i rudości. Każdy aspekt jego osoby stał mi się znajomy na dobre i na złe.

Przez moment poczułam, jak jego dłoń ścisnęła moją, i aż podskoczyłam. Zaraz zrobiło mi się wstyd, bo wiedziałam, że chciał mi w ten sposób dodać otuchy.

I wtedy coś powiedział - szybko i oficjalnie, tak że nie zrozumiałam - a w pomieszczeniu natychmiast zapadło milczenie i słyhać było tylko trzeszczenie kości wszystkich

tych, którzy nachylali się, by zobaczyć, jak Ewan zacznie piłować moją.

Ktoś krzyknął donośnie, że przez głowy innych nic nie widzi, i usłyszałam, jak Ewan każe mu się zamknąć, a on chyba posłuchał.

Poczułam, jak dłoń Ewana przykładła mi do twarzy wilgotny tampon. Znowu uniosłam się w górę, tak jak wcześniej, a przy tym poczułam huczenie w uszach i coś jakby opadanie uwolnionego z więzów serca. I w tej chwili - choć kołatało mi się po głowie, że wciąż jeszcze mogę uciec - nie wiadomo skąd pojawiły się dłonie i chwyciły mnie za wszystkie członki. Za głowę, za ręce, za nogi. Najmocniej za nogi.

Najpierw - nagle ciepło jego dłoni na moim udzie. Potem - zadzieranie halek i to uczucie, gdy przytrzymał mi nogę i naciągnął skórę.

Moje oczekiwanie, sztywność. Trans oczekiwania.

- Zuch dziewczyna - mruknął pod nosem i chyba wtedy wyszło słońce, bo światło zmieniło teksturę tkaniny na moich oczach akurat w chwili, gdy w moim ciele zatopiło się ostrze.

Zdaje się, że straciłam przytomność, gdy przeciął mi mięsień, lecz ocknęłam się po kilku sekundach, słysząc chrzęst rozdzielanych błon. Byłam też przytomna, gdy obie jego dłonie dotykały mego krwawiącego wnętrza - to był szok, poczuć ten zapach nieostygłego mięsa - i usłyszałam gdzieś z oddali własny głos, krzyki i jęki błagające Boga o zmiłowanie, zanim wetknęli mi do ust coś, na czym mogłam zacisnąć zęby.

- Masz, gryź i leż spokojnie.

I wtedy usłyszałam Ewana krzyczącego tuż przy mojej twarzy, po czym coś ciężkiego przesunęło się po podłodze. Poczułam, jak uderzyło o stół i zrywając z oczu opaskę, znalazłam dość siły, by niemal usiąść, spojrzeć w dół i



zobaczyć pojemnik na krew, w którym trociny zdążyły się zmienić w czarną papkę.

Moje biedne serce nieomal pękało z wysiłku związanego z przepompowaniem takiej ilości krwi i zaczęłam w końcu tracić świadomość na dłużej.

Zatem nie poczułam, jak Ewan, trzymając w zębach ostry nóż (ot, taki mały popis, by zrobić wrażenie na studentach), chwycił za piłę i zatopił jej zęby w moim szpiku.

Budząc się dziesięć minut później w kokonie utkanym z bólu, usłyszałam gwar podnieconych rozmów. I jeszcze raz ściągając z oczu opaskę, ujrzałam swoją nogę - tę, z którą tak dobrze znałam się całe życie, która służyła mi tak dobrze, odkąd postawiłam pierwszy chwiejny krok - leżała tam w skrzynce, samotna.

Palce sterczały idealnie w górę i wydawała się żywa, lecz żywa nie była ani też nie była dłużej moja.

Billy powiedział mi, że w Chinach ludzie budują domy na palach.

Jak mówił, przeczytał w gazecie, iż są tak przyzwyczajeni do przybierania wody w rzekach, że dostosowali swoje mieszkania do powodzi. Oboje jednak wiedzieliśmy, że to nigdy nie sprawdziłoby się w Lambeth, gdzie błocka jest tyle, że wszystko, co cięższe od mewiej nogi, tonie w mgnieniu oka.

Błoto i łajno. Słyszałam, że są tam pogrzebane i kości, i klejnoty, i najprzeróżniejsze śmieci. W czasie odpływu, jak powiadają ludzie, jak ktoś ma szczęście, może znaleźć skarb. Są to jednak bajki wymyślane przez tych, którym nigdy nie dane było mieszkać w pobliżu.

Billy jednak, który tam pracuje, widzi, co wypływa na powierzchnię, i zawsze jest to coś, czego wolałoby się nie oglądać: padły pies, czaszka martwo urodzonego dziecka,

świeża kupa, stary but, być może nawet z tkwiącą w środku stopą.

Billy był tylko zwykłym murarzem, ale tak bardzo w głębi duszy pragnął być inżynierem. Nigdy więc nie migał się od roboty, a wręcz przeciwnie, zawsze żywo się nią interesował i czerpał dumę z kopania w mulistym dnie rzeki i prostego układania cegieł.

Myślę, że nosił w głowie idealną wizję tego, co budował, i stąd brał się jego zapał. Istniały pewne plany, opowiadał mi z gorliwością, plany, nad którymi pracowali, i choć rozglądając się dokoła, widziałam tylko cuchnące błoto, bloki do wciągania i sterczące rozpórki, to Billy zapewniał mnie, że oto powstawał na naszych oczach nowy Londyn. To będzie radosne, czyste miasto, mówił, gdzie zwyczajni ludzie będą żyli dostatecznie długo, by doczekać spełnienia marzeń.

Pod tym względem był równie drobiazgowy i ważny dla świata jak Ewan, tak mi się przynajmniej wydaje. Być może mój mąż ocalił życie setkom ludzi, odejmując im kończyny, lecz kanalizacja, którą budował Billy, miała ich ocalić znacznie więcej, jeśli rzeczywiście dzięki niej przestalibyśmy wdychać wszystkie te zabójcze zarazki.

Dziesięciodniowe dzieciątka przestałyby umierać na cholere. A dorośli nie musieliby oszczędzać na szambiarzu, brodząc po kostki we własnym wiadomo czym. W takim wypadku Billy byłby bohaterem dokładnie tak samo jak Ewan - a może nie? Rzecz jasna, myśl ta wywoływała u mnie gęsią skórę zachwyty i nie omieszkałam mu o tym powiedzieć.

- A więc chodź - rzekł, uśmiechając się do mnie promiennie - chodź, to wszystko ci pokażę, oprowadzę cię.

I poszłam.

Ale nie spodobały mi się te kanały - Boże święty, jak mi się nie spodobały. Długie odcinki ceglanych tuneli były jak wspomnienie lochów Tatum Fields. Cegły dokoła, cegły w

górze, rozdzierająca ciemność szczelina światła. Gdyby wejść do środka, nie dałoby rady nawet prosto stanąć - trzeba by schylać głowę dokładnie tak samo jak tam. Nie mogłam do nich wejść. W środku były stada czmychających szczurów, czarne, lepkie powietrze i kapanie skroplonej wilgoci, całkiem jak w Tatum Fields.

Gdy Billy mnie tam zabrał, zaczęłam płakać, nie mogłam się powstrzymać. Welon - taki, jaki musiałam nosić w więzieniu - zdawał się zakrywać moją twarz, w uszach rozbrzmiewały mi jęki, a w nozdrzach czułam zapach siarki, woń diabła. Pomyślałam, że znów mnie tamtędy przeprowadzą, odbiorą ubranie, by wrzucić je do pieca, gdzie obróci się w popiół. Pomyślałam, że ogolą mi głowę i odczytają zasady, i zamkną w ciszy, w towarzystwie jedynie bicia własnego serca.

Kiedy staliśmy, zagłędając do tunelu, który budował Billy, zaczęło brakować mi tchu. Chwycił mnie za bark, gdy schyliłam się i dotknęłam ziemi.

- Nie mogę - wysapałam. - Zabierz mnie stąd...

- Lauro - rzekł - najdroższa moja, kochana, o co chodzi?

- Nie mogę - szlochałam - nie mogę patrzeć na te lochy - powiedziałam mu, lecz nie zdobyłam się na to, by wyjawić dlaczego.

- To nie lochy - rzekł - to kanały.

- Nie mogę tam podejść - upierałam się - nie zmuszaj mnie...

Był wstrząśnięty. Nie wiedział, co powiedzieć. Próbował mnie pocieszyć. Gdy spostrzegł, że znowu oddycham, pogładził mnie po ramieniu.

- To solidna budowla - orzekł z dumą. - Cement portlandzki. Czy wiesz, co to jest?

Pokręciłam głową.

- To coś, czym łączymy cegły. Nowy wynalazek. A wiesz, jaka jest jego najbardziej szczególna, magiczna właściwość?

Znów pokręciłam głową.

- Odporność na wodę. Im bardziej go moczysz, tym staje się mocniejszy.

- To bardzo interesujące - stwierdziłam, czując, jak wraca mi oddech.

- O tak. Kiedyś będzie w powszechnym użyciu.

- Billy - odezwałam się, wycierając oczy jego rękawem. - Ty jesteś niezwykle bystry, prawda? To znaczy, wiesz, jestem z ciebie ogromnie dumna...

Roześmiał się i wziął mnie za rękę.

- Popatrz tylko - rzekł. - Ubrudziłaś mi marynarkę.

Zrobiłam minę i przeprosiłam go za przypominającą ślad po ślimaku smużkę smarków na rękawie, na co on odrzekł, że wcale się nie gniewa. Powiedział, że mnie kocha, kocha każdą moją zasmarkaną cząstkę i mogę na nim zostawiać wszystko, na co mi tylko przyjdzie ochota. Na dowód tego przycisnął usta do rękawa w miejscu plamy.

Rozejrzał się następnie dokoła, by sprawdzić, czy nikt nie patrzy, wepchnął mnie za stos desek ułożonych przy górach ziemi i zaprawy i tam pocałował mocno. Przynajmniej takie miałam wrażenie - że było mocno i namiętnie - lecz może tylko dlatego, że to mnie było słabo.

Bo dygotałam cała i było mi smutno. Zaczęłam już myśleć, że może cały ten system kanałów to znak od Boga, ostrzeżenie mające mi przypomnieć, skąd przyszłam i dokąd z pewnością powrócę, jeśli nie będę się należycie zachowywać...

Cisza. Tunele w srebrzystej ciemności. Cegły, to koszmarne kap - kap ciszy i ciemność.

Dali mi pojedynczą celę - nikt nie miał mi wypinać tyłka, rwać włosów z głowy ani czytać Biblii. Była jedynie ta cela, jej niskie ceglane sklepienie i wysokie okienko za kratkami. No i soczyste pomlaskiwanie szczurów, i zapach karbolu, w którym mnie wykapali. Karbol i siarka, a w kącie wiadro, do którego nawet nie mogłam zajrzeć.

Kiedy mnie przyprowadzili, muszę przyznać, że nie traktowali mnie zbyt brutalnie. Choć zgodnie z przepisami musieli ściąć mi włosy, to zrobili to bardzo delikatnie, a potem wsunęli kosmyk do kieszeni fartucha, bym sobie zatrzymała. Wreszcie podali mi grubą welon, który cuchnął okropnie.

- Załóż to - powiedzieli. Wyjaśnili mi, że mam go nosić przez cały czas i nie zdejmować.

- Ale przecież - odezwałam się, macając wokół siebie w panice i czując tylko własną głowę, która teraz wydawała się lekka, jedwabista i krucha jak u niemowlęcia - ja w tym nic nie widzę.

- Bo nie ma na co patrzeć - powiedzieli. - O to chodzi. To twoja kara: ciemność i samotność, najlepsze warunki do tego, by rozpamiętywać błędy duszy.

Próbowałam powiedzieć, że nie popełniłam żadnej zbrodni, że niczego mi jeszcze nie udowodniono, ale ich kroki już się oddaliły, a w uszach huczała mi tylko cisza.

Tkwiłam w ciemności. Swoją numer miałam na metalowym krążku, który zwisał mi z nadgarstka. W ciemności mogłam jedynie błędzić palcem po jego okręgu i czekać.

Po jakimś czasie zjawił się ktoś o szorstkim głosie i oznajmił, że nie wolno mi z nikim rozmawiać. Dostanę mięso i ziemniaki i co dzień będę wysyłana na godzinę na dwór, ale przez cały czas muszę mieć na głowie ten welon.

## Cegła

Niebiańsko nagła śmierć matki Ewana wywołała pomiędzy nim a mną lawinę problemów.

Nie mógł być zaskoczony, gdy wreszcie umarła, po prostu nie mógł, bo była niewiarygodnie stara i zniszczona, a jednak gorzko ją opłakiwał. Może to dlatego, że tak bardzo był przyzwyczajony do bycia przez nią pomiatanym i zapomniał, co to znaczy podnieść głowę i rozejrzeć się dokoła. Bez wątpienia okropnie się zdenerwował, kiedy wrócił któregoś dnia do domu i zastał ją w jej fotelu zimną, z szeroko otwartymi oczami, podczas gdy ja nic sobie z tego nie robiłam.

- Lauro! O Boże. Gdzie jesteś? Chodź tutaj, proszę, szybko, w tej chwili!

Trudno, żeby to była moja wina.

Stałam przy wysokim oknie na schodach w głębi domu, wpatrując się w zasnuite zimowe niebo, podziwiając jego biel, jego uroczą pustość. Cały świat pod nim wydawał się tak spokojny i trwały i bardzo mi się to podobało - bardzo pragnęłam czuć się tak cały czas.

- Nie mogę uwierzyć, że jej nie znalazłaś - rzekł Ewan, kiedy zamknął jej oczy i nalał sobie brandy, nie proponując mi kieliszka, po czym wezwał grabarza. - Nie przyszło ci do głowy, by do niej zajrzeć? Co robiłaś, Lauro? Co, na litość boską, było tak ważne, że przez całe przedpołudnie ani razu nie otworzyłaś tamtych drzwi?

- Układałam kwiaty - odrzekłam zgodnie z prawdą, gdyż było to jeszcze, zanim poznałam Billy'ego, gdy próbowałam być prawdziwą damą, która prowadzi dom, krząta się, wydając polecenia Verity, stale jest czymś zajęta i nie zapomina skropić się odrobiną wody kolońskiej za każdym uchem.

Z całych sił próbowałam sobie przypomnieć, czy wzywała mnie w ciągu dnia. Przeważnie szłam do niej, gdy

zagrzechotała puszką albo zastukała laską, czy też zawołała, choć przyznać muszę, że lubiłam odczekać chwilę, znaleźć sobie jakiś zajęcie, by musiała czekać, ponieważ była zjadliwą staruchą, której nie sposób było dogodzić, choćby się nie wiem jak człowiek starał.

- Kwiaty? - zdziwił się Ewan.

- Tak. Czyż to nie zaskakujące? Pomimo mrozu znalazłam w ogrodzie kwitnące żonkile, na tym zarośniętym zagonku za sadzawką. Wiesz, co dzień staram się dużo chodzić na tej swojej drewnianej nodze, tak jak mi zaleciłeś. No więc tak się zdumiałam, gdy je znalazłam, że nie mogłam się oprzeć i ścięłam trochę, a potem układałam je w wazonie...

- Czy to nie należy do obowiązków Verity? - przerwał mi, podejrzliwie marszcząc brwi, jakbym była małym dzieckiem, które właśnie przyznało się, że nasiusiło na perski dywan.

- Verity nie przykłada się do tego jak należy - orzekłam stanowczo. - Jest leniwa i robi wszystko po łebkach. Przede wszystkim nalewa za mało wody, a wtedy łodygi wysychają i kwiaty umierają...

Umierają. Spojrzał na mnie, a ja na niego. I patrzyliśmy tak na siebie.

Ewan odwrócił się i wyszedł z pokoju.

- O co chodzi? - zawołałam za nim, lecz nie zawrócił i nawet gdy wsłuchałam się uważnie, nie zdołałam usłyszeć, by kręcił się po domu.

Odbył się pogrzeb, w którym uczestniczył Ewan. Ja nie. Uznałam, że mam bardzo mocne podstawy, a do tego przestawało mi już zależeć na tym, co o moim zachowaniu pomyśli mąż.

- Traktujesz mnie tak, jakbym to ja ją zabiła - zauważyłam z goryczą. - Szczerze mówiąc, nie czuję, by moja obecność była tam pożądana.

- Nie wygłupiaj się - odrzekł, wcale nie próbując mnie pocieszyć. - Jesteś moją żoną...

- Dziękuję, Ewanie - odrzekłam. - Chyba jednak nie pójdę. Myślę, że łatwiej ci będzie wyrazić naturalny w tej sytuacji żal, kiedy nie będzie mnie w pobliżu.

Prawda była taka, że sobie nie ufałam. Byłam tak uszczęśliwiona jej śmiercią, że mogłabym się nie pohamować i odtańczyć na jej grobie jednonogą gigę.

Agata, tak mnie złośliwie nazwała, a gdy oznajmiłam, że mam na imię Laura, roześmiała się i powiedziała, że to z rymowanki: Agata, co

- drewnianą - nogą zamiata.

- Nie będę nosić drewnianej nogi - powiedziałam jej. - Niezależnie od tego, co mówi pani cudowny syn.

- Ależ powinnaś - odparła z udawanym dreszczem. - Ciarki mnie przechodzą, kiedy tak sobie bez niej spacerujesz. Nie chcę nawet myśleć, jak tam jest...

- Jak gdzie jest?

Skrzywiła się w ten typowy dla siebie sztywny, szkaradny sposób.

- No wiesz, Agato. Tam w górze. Pod twoją spódnicą.

- Mogę pani pokazać, jak pani chce - odrzekłam, gdyż miałam nad nią tę jedną wielką przewagę, że nigdy nie byłam zbyt dumna ani wstydliva.

Zaczełam już podnosić spódnicę, lecz wrzasnęła. - Nie, dziękuję - powiedziała.

A potem się na mnie poskarżyła. Poważnie. Uznała za stosowne wspomnieć o tym Ewanowi.

- O co chodzi z tym straszaniem mojej matki? Na Boga, Lauro, czy nie możesz mieć względu na jej nerwy? Czy nie możesz przynajmniej być miła...

Zaprotestowałam. Powiedziałam mu, co naprawdę między nami zaszło, lecz mi nie uwierzył.



A przynajmniej tak się zachowywał. W gruncie rzeczy uważam, że sam zaaranżował tę wojnę pomiędzy Eve a mną. Sprowadzenie mnie do domu zagwarantowało mu to, czego najbardziej pragnął - odrobinę spokoju z jej strony, a jednocześnie broń, którą mógł posłużyć się przeciwko mnie.

Szczęściarz. Bystrzak. W końcu był panem we własnym domu. W końcu zamiast jednej kobiety, która non stop się go czepiała, miał dwie, obie złąknione jego względów i o nie zabiegające. To zrozumiałe, dlaczego taka sytuacja mu pasowała. To zrozumiałe, dlaczego taki był rozpaczony, gdy ta Eve umarła.

Jeśli jednak myślałam, że po jej śmierci będzie między nami lepiej, to się myliłam.

Prawda była taka, że wraz z jej odejściem wzrósł jeszcze między nami dystans. Dystans albo chłód. Zupełnie tak, jakby na powierzchni Ewan, który zawsze był chłodny, teraz zamarzył zupełnie, a ja byłam samotną łyżwiarką, która ślizgała się po nim, ledwo zostawiając po sobie jakiś ślad.

Najbardziej zaskakujące w tym jego nowym nastroju - i z pewnością najtrudniejsze dla mnie - było to, że Ewan nabił sobie w głowę, by zrobić małego Lockhearta, którego to tematu jak dotąd zrećźnie udawało mi się unikać. A jeśli nawet nie całkiem unikać, to przynajmniej skutecznie wokół niego lawirować.

Któregoś wieczoru jednak zastałam go wciąż jeszcze w szpitalnym fartuchu z głową ukrytą w dłoniach. Zrobiło mi się go autentycznie żal i starając się postąpić jak czuła żona, wsunęłam swe szczupłe palce w jego ciepłe, jaskraworude włosy - zawsze miękkie i lśniące - gdzie moja dłoń spoczęła na naprężonym, grudkowatym łuku czaszki.

Podniósł na mnie wzrok.

Nie odezwał się, lecz ujął obie moje dłonie i przycisnął je do ust.

Zamknęłam oczy, ale po szorstkości jego spragnionej twarzy od razu poznałam, że nawet nie raczył się ogolić. Jego fartuch cuchnął ropą i krwią jak najpodlejsza kostnica, starałam się jednak zachować delikatność i przy nim pozostać.

Gładziłam go po głowie. Zdawało mi się, że jego oddech czuć alkoholem.

- Dlaczego, Lauro? - pytał co rusz. - Dlaczego? Dlaczego? Znieruchomiałam i słuchałam. - Dlaczego co? - spytałam.

- Wiesz co. Za każdym razem, gdy to robimy, ty nie...

- Co takiego?

Spojrzał na mnie. - Wiesz co - powtórzył i znowu spuścił wzrok. - Nie pozwalasz mi... no wiesz... a może nie?

Wiedziałam, co ma na myśli. Chodziło mu o to, że gdy gzimy się nocą w ciemności w naszym wielkim małżeńskim łóżu, jak nam się to czasem zdarzało, nigdy nie pozwalałam mu pójść na całość. Zawsze pilnuję, żeby nie wytrysnął w pobliżu mojej dziurki. Rozumiał, że robię wszystko, by nie nosić w sobie jego potomka.

Nie wiedział dlaczego. Och, wiedział już wtedy, że urodziłam dziecko w wieku lat piętnastu i że to dziecko oddałam, bo sama mu o tym opowiedziałam. Uważał, że postąpiłam miłosiernie i rozsądnie i co bardzo niezwykle w jego przypadku, nawet mi o tym powiedział, wierząc, że w ten sposób zdejmie ze mnie część żalu i sprawi, że poczuję się lepiej.

Stwierdził całkiem stanowczo, że dzieci nie powinny mieć dzieci, bo zawsze kończy się to przedwczesnym grobem dla obu stron. Tak uważał. Nie spytał mnie o zdanie.

Nie rozumiał jednak dlaczego ja, bezdzietna kobieta nie pierwszej już młodości, nie chcę urodzić dziecka swojego męża. Dręczyło go to wyraźnie, wprawiało w złość na mnie i

tego wieczoru postanowił to zmienić. Pomyślał, że teraz weźmie sprawy w swoje ręce.

Choć się opierałam, zaczął popychać mnie w stronę łóżka.  
Wpadłam w popłoch.

- Nawet się nie ogoliłeś, Ewanie - wyrzuciłam mu delikatnie. - I spójrz tylko na siebie... to okropne ubranie, ten...

Przesunął dłonie z moich nadgarstków w górę, na ramiona i na moje piersi, po czym pocałował mój mały, płaski brzuch.

- Stale żyjesz we własnym świecie, Lauro, nigdy nie wiem, gdzie jesteś...

- Jestem tutaj - odparłam stanowczo, nie poddając się jego niebezpiecznemu nastrojowi.

- Jesteś teraz mężatką.

- Wiem o tym, Ewanie.

- Jesteś moją żoną i chcę zobaczyć, jak wzrasta w tobie mój syn...

- Twój syn? - Popatrzyłam na niego.

Uśmiechnął się niepewnie. - Nasz syn, kochana, nasz. Albo córka, wszystko mi jedno...

Odepchnęłam go. Miałam tego dość.

- Przecież ty nawet nie lubisz dzieci, Ewanie - przypomniałam mu - jestem tego pewna. Ja zresztą też.

Milczał przez chwilę. - Cóż, własne bym chyba polubił - rzekł w końcu i z nagłą gniewną determinacją podniósł mnie, położył na łóżku, po czym zrzucił swój śmierdzący fartuch i zaczął rozpinać wszystko na sobie i na mnie.

Próbowałam usiąść.

- Nie chcę - powiedziałam.

- Ćśś - położył mnie siłą.

- Jesteś pijany, Ewanie...

Położył się na mnie, a ja ku swojej rozpaczycy spostrzegłam, że jest gotów. Nagle mnie olśniło.

- Ewanie, daj mi jeszcze wstać, muszę skorzystać... no wiesz, proszę, musisz mi pozwolić...

Usiadł, wyraźnie zawiedziony.

- Tylko się pośpiesz - warknął tak, że zmroził mi serce - albo przyjdę tam i cię wyciągnę.

W szafce obok wanny było to, po co przyszłam. Taki drobiazg - tamponik z waty na długim sznurku z przywiązanym na końcu guzikiem - a taki nieodzowny. Korzystałam z niego w czasie miesiączek, lecz odkryłam, że może się też przydać w innych sytuacjach.

- Pospiesz się! - dobiegł mnie głos, głos mojego męża.

- Już idę - odpowiedziałam, szybko rozwiązując majtki.

- Zrobimy to! - usłyszałam, jak krzyczy z drugiej strony korytarza, jako że stan podniecenia czyni z mężczyzn hałaśliwe pokraki.

Włożyłam szybko swój drobiazg, starając się wepchnąć go jak najgłębiej.

Guzik dyndał zdradliwie, więc umieściłam go ostrożnie w rowku pomiędzy pośladkami. O tak. Bezpiecznie. Niczego się nie domyśli.

Wróciłam i popatrzyłam na niego, gdy leżał tak i uśmiechał się do mnie czule.

- Moja kochana - rzekł. - Trzech synów, tylu będziemy mieli... choć nie miałbym nic przeciwko, gdyby ostatnia była dziewczynka...

- Trójka to bardzo dużo - odpowiedziałam mu, jakbym rzeczywiście brała to pod uwagę. - Pomyśl, ile mam lat, Ewanie.

- Nie jesteś stara - odrzekł i wyciągnął do mnie ramiona. Pocałował mnie w policzek. - Nie płacz - powiedział.

- Nie płaczę.

- To co to jest?

- Myślę sobie tylko, nic więcej.

Tak, myślałam. O moim własnym dziecku leżącym w moich ramionach ze stuloną buźką, o dwóch maleńkich piąstkach i wierzgających nóżkach i o ciszy, która zaczęła wypełniać mi uszy. Wypełniała mnie tak długo, aż cała się od niej spięłam i nie mogłam jej znieść.

Narzędzie do robienia dzieci Ewana nadal sterczało. Przybrało zupełnie inny kształt, jakby ktoś je wykręcił i wetknął odwrotną stroną.

Staralam się go nie winić. Jestem pewna, że we własnym przekonaniu był dla mnie miły. Popchnął mnie lekko i zaczął się we mnie wsuwać. Nie było to nieprzyjemne uczucie i próbowałam nawet oddawać pocałunki. Moje serce jednak biło zbyt szybko. Skóra robiła się gorąca. Próbowałam z oddechem wydalić z siebie gniewne odczucia i zastąpić je odprężeniem, pewnością i spokojem.

Gniew jednak rodzi się w mózgu. Startuje w głowie i przemieszcza się powoli w dół, nadaje smak całemu ciału, pozostawiając w sercu i trzewiach jedynie najczystsza gorycz. Gdy dotrze na sam dół, jest już na wszystko za późno.

Nie mogę zapomnieć. Nie zapomnę...

Poruszał się we mnie przez chwilę, po czym zamarł - przeniósł rękę w dół, zmarszczył brwi, pomacał, pociągnął.

- Co to jest? - spytał cicho, a ja wiedziałam, że jego zręczne palce chirurga chwyciły guzik.

- Nic - odparłam szybko, opuszczając rękę, by ukryć go w dłoni, lecz znajdując zaciśniętą na nim większą dłoń Ewana.

- Lauro - wycedził z furją, jaką rzadko u niego widywałam. - Nie mogę ci ufać. Jesteś przeklętą kłamczuchą i przeklętą oszustką i...

- Nie! - krzyknęłam, gdy to ze mnie wyciągnął. - Nie! - krzyknęłam znowu, gdy nie dał mi się odsunąć i z drzeniem i stękiem w tej chwili się we mnie wlał.

Poczułam, jak rozluźnia się i wiotczeje. Jego czoło opadło na podgłówek.

- To cię nauczy - wychrypiął, a już chwilę później całował mnie delikatnie w kark i mówił, że wcale tak nie myśli.

Ujął mnie za rękę i ścisnął.

- Kocham cię - powiedział. - To naturalne pomiędzy mężczyzną i jego żoną. Naprawdę cię kocham, więc gdzie tkwi twój problem, najdroższa?

Odwzajemniłam uścisk, bo myślałam w tej chwili jedynie o tym, by pójść do łazienki.

- Moja kochana - rzekł, gdy się wymykałam.

Myślał, że jestem szczęśliwa, lecz spojrzałam na niego, a mój wzrok pozostał dokładnie taki sam jak wcześniej. Powinien był zauważyć. Powinien był wiedzieć.

Był to początek mojej śmierci i jego chyba też. Próbowałam wypłukać go z siebie, ale nie zdołałam, dlatego postanowiłam znaleźć inny sposób, by zmazać, co zrobił, by zatrzeć po tym wszelki ślad.

Moje małżeństwo i moje życie wysrane były z uczucia, drętwe, okropne i szare. Dostatecznie długo usiłowałam żyć na tej ziemi bez niego. Teraz przyszła pora, by dołączyć do mego chłopca.

Romans Billy'ego z rzeką rozpoczął się, gdy był malutkim znajdą, pięcioletnim może, a opiekunka prowadziła ich na spacer po Millbank.

Choć dzień był słoneczny, wszyscy mieli na sobie sztywne, szare ubranka z ochronki, a każde małe dziecko trzymało się grubej, szorstkiej liny, której koniec tkwił w ręku piastunki.

Billy mówił, że musiało to być lato, bo każde z dzieci dostało małego loda, które jedli wszyscy z nosami

przyciśniętymi do ogrodzenia Cooper's Place, a jego porcja stopiła się i spłynęła po rączce.

- Nie miałem pojęcia, że trzeba je połykać tak szybko - powiedział. - Nigdy wcześniej nie widziałem, żeby coś topniało...

Mówił, że panna W. pokazała im latarnie gazowe - sznur szklanych kul ciągnący się na drugim brzegu. I obiecała, że przyprowadzi ich tu kiedyś zimą i będą mogli popatrzeć, jak latarnik zapala jedną po drugiej.

- I przyprowadziła? - spytałam, czując już piekącą zazdrość, że jakaś inna kobieta mogła ukazać mojemu Billy'emu takie cuda.

- A jakże - zapewnił. - I było to coś pięknego.

Zaczęłam mu wtedy marudzić, żeby opowiedział mi, jaka była ta panna W., lecz odrzekł, że nie pamięta. Mężczyźni! Pozwalają uciec tak ważnym informacjom, jak gdyby mieli sita zamiast mózgów, wychwytyjące tylko wielkie bryły faktów, ale nie wszystkie te chytre, śliskie szczególiki.

- Była młoda? - spytałam, a on wzruszył ramionami i odrzekł, że naprawdę nie wie.

- Na pewno tak - powiedziałam.

Wyobraziłam ją sobie młodą i szczupłą, z włosami upiętymi tuż nad śliczną szyją. Ujrzałam jej drżące błękitne oczy i nieobecne, rozmarzone spojrzenie. Wyobraziłam sobie Billy'ego, zasłuchanego w jej głos, gdy opowiadała o lampach zapalających się wzdłuż rzeki, i pragnącego wtulić się w jej ciepłe, pachnące ciało.

- Lubieś ją? - spytałam go.

Popatrzył na mnie, jakby to było kompletnie niedorzeczne pytanie. - Chyba tak - odrzekł. - Chyba musiałem ją lubić...

- W jakim sensie?

- Co to znaczy?

- W jakim sensie ją lubiłeś? Jak gdyby była twoją matką? Była typem matki?

Posłał mi ostre spojrzenie. - Nie wiedziałem, co znaczy matka - odparł. - Skąd, u diabła, miałem wiedzieć, czy ona była jak jedna z nich?

Nie miałam pojęcia, co na to odpowiedzieć. Pomyślałam o spływającym mu po rączce roztopionym lodzie i serce mi się ścisnęło, gdy wyobraziłam sobie, jak stoi tam w swoim szarym ubranku i nie wie, co zrobić z tym zimnym czymś w ciepły letni dzień.

Obudziłam się rano nazajutrz po tym, jak wlał się we mnie Ewan, a serce trzepotało mi z podniecenia.

Nie myślałam o tym, nie musiałam. Pomysł był delikatny, ulotny i niepewny jak coś, co może rozpląnąć się w powietrzu, gdy tylko lepiej się temu przyjrzesz.

Wypiłam trochę kawy i zjadłam kilka herbatników w jadalni wraz z Ewanem, który przez cały czas czytał gazetę. No właśnie, mimo iż tak bardzo starał się zrobić ze mnie matkę, to nadal odwracał się do mnie plecami i czytał gazetę.

Gdy uznałam, że cisza trwa już dostatecznie długo, wstałam i oznajmiłam mu, że idę na zakupy.

- Tak? Po co? - spytał.

Nie chodziło mu o to, dlaczego w ogóle idę, ale co dokładnie zamierzam kupić. Autentycznie chciał się tego dowiedzieć, bo uwielbiał wprost podsuwać mi listy sprawunków i sugestie. Był pod tym względem mężem doskonałym, zainteresowanym prowadzeniem domu zupełnie jak kobieta i kupującym ryby, szynkę, smalec czy łój, gdy tylko przyszło mu to do głowy.

- Och, po to i owo - odparłam. - Kupię trochę bekonu i może jakiejś zieleniny.

- Hmm, zjadłbym też kapustę - stwierdził i sporządził mi całą listę produktów.



- To do zobaczenia - powiedziałam, składając ją ostrożnie.

- Do zobaczenia, moja droga. Z pewnością spotkamy się później. Był jeszcze w podomce. Tego dnia miał jedynie spotkania, nie kroił

ludzi. Czasami chirurdzy zbierali się w jakimś pokoju i radzili, czego powinni teraz nauczyć swoich studentów. A może, jak czasem posępnie podejrzewałam, siedzieli przy wielkim, okrągłym, wyszorowanym karbolem stole i rozdzielali pomiędzy sobą najświeższą partię kończyn, na których mogli eksperymentować.

Sprzątnęłam ze stołu po śniadaniu i zaniósłam wszystko do kuchni dla Verity, która miała zjawić się później. W holu przystanąłam i obróciłam się, gdyż cały dom jakby się nagle rozkołysał, światło stało się stanowczo zbyt jaskrawe i dziwne.

Przez niebieską szybkę w drzwiach wpadało słońce, kładąc się na najlepszym płaszczu Ewana i podnosząc wełniane kłaczki jak sierść na zwierzęcym zadzie. Wstrząsnęło mną na ten widok i poczułam okropne mrowienie w końcach palców.

Założyłam kapelusz i wsiadłam do tramwaju kursującego do miejsca, gdzie budowano bulwar. Stamtąd, nie przystając nawet na dłużej, by się rozejrzeć, przeszłam najdalej, jak się dało, mijając Swan's Yard i hutę stali, i dalej południowym brzegiem, aż znalazłam się w najdalszej, najbardziej bezludnej części nabrzeża, chyba u wylotu Melior Street. Nie było tabliczki z nazwą ulicy, lecz stały przy niej same rudery i znałam tę okolicę ze spacerów w moim dawnym życiu.

W pobliżu nie było nikogo, jeśli nie liczyć paru łobuziaków, chudych jak szczapy, którzy wykapali się właśnie i biegli, żeby się ubrać. Ich drżące, brudne ciała śmigają koło mnie, gdy wypychałam kieszenie puszkami, kamieniami i

wszystkim, co tylko udało mi się znaleźć. Spoglądałam na nich gniewnie, lecz nie zwracali na mnie uwagi, gnając w swoją stronę - z wyjątkiem jednego, który odwrócił się i splunął bardzo niegrzecznie, jak wtedy pomyślałam, chociaż być może musiał tylko pozbyć się z ust cząstki rzeki.

Dwie cegły, pomyślałam, byłyby akurat, ale nie mogłam znaleźć ani jednej. Zadowoliliam się więc puszkami i kamieniami, które wcale nie były takie ciężkie. Wreszcie położyłam jedną ze swoich kul na kamiennych płytach, a drugą pomogłam sobie usiąść na brzegu i zapatrzyłam się w mętłą, cuchnącą, chlupoczącą wodę.

Wpatrując się w jej mroczne głębie, poczułam zawroty głowy, a przede wszystkim zdałam sobie sprawę, jak bardzo chcę być z moim chłopcem. Znowu poczuć, jaki jest miękki i mój, i nie myśleć o niczym innym.

Kiedy się kogoś kocha i się go utraci, to tak naprawdę pragnie się chyba tylko ciszy i spokoju, by móc go opłakiwać, przestrzeni, by o nim myśleć, wolności, by móc tak trwonić czas, jeśli tego nam trzeba.

Tego właśnie pragnęłam. Tak, jedyne, czego naprawdę pragnęłam, to on, on, on - całym umysłem i sercem. Łaknęłam chciwie samej myśli o nim. Czułam, że nie wolno mi było się jej oddać już od bardzo dawna.

Miałam w fartuchu butelczynę. Zazwyczaj nie piłam wiele, lecz małe co nieco zawsze rozpałało iskierki w moim mózgu, zaś teraz miałam nadzieję, że zwyczajnie mnie ogłupi.

Cóż, nie byłam typem męczennicy ani nie cechowała mnie szczególna odwaga. Wiedziałam, że nie chcę tego poczuć - tego, jak zniknę pod wodą, jak będę szła na dno. Prąd był silny, a jednak nie chciałam, by ten moment, gdy musisz wybrać pomiędzy powietrzem a wodą, która wypełni ci płuca, skłonił mnie do paniki. Poddałabym się wtedy, pomyślałam. Byłam biedną kaleką. Nie miałam szans.

A tak strasznie pragnęłam połączyć się z moim synkiem w niebie.

Znalazłam najbardziej bezludne miejsce. Ceglane mury naznaczone śladami zalewania, powybijane okna, kupy śmieci. Martwy kot czy szczur, nieważne, nie przyglądałam się zbyt długo. Zardzewiałe łańcuchy na łodziach.

Ani żywej duszy, tak mi się przynajmniej zdawało, która zobaczyłaby, jak wpadam.

Spotkałam się z Billym w pubie Pod Czerwoną Krową przy Queen Street.

Mijał dokładnie tydzień od dnia, gdy wyciągnął mnie z rzeki, i czułam się już całkiem zadowolona z faktu, że żyję. Ot tak, po prostu, mój los i moje myślenie odwróciły się o sto osiemdziesiąt stopni w ciągu zaledwie siedmiu dni!

I owszem, wszystko to dzięki niemu, dzięki temu nieznanemu młodzieńcowi całemu spowitemu w zapach kopania i cementu. Wystarczyło mi o nim pomyśleć, by ujrzeć, jak moje życie wypełnia się światłem i znaczeniem. Jak w ogóle mogłam chcieć się zabić! Teraz pragnęłam żyć bez końca - i było tak, jakby to rzeka ofiarowała mi tę niesamowitą szansę, niosąc mnie ku niemu.

Ewan odebrał mnie z posterunku policji, gdzie podano mi kubek herbaty i ubranie na zmianę - o cztery rozmiary za duże i okropnie cuchnące potem.

Kiedy o tym wspomniałam, jeden ze stójkowych nie mógł się mnie przeproszać. Nie, żeby mi to w gruncie rzeczy przeszkadzało (brud innych nigdy nie robił na mnie wrażenia), lecz wydało mi się to stosowne, żeby zrobić z tego powodu aferę.

I pomyślałam, czy to nie zabawne, że możesz poskarżyć się na podobny drobiazg, będąc damą, i liczyć, że ci się to przysłuży i poprawi twoją sytuację, podczas gdy naprawdę

ważne skargi ze strony bezdomnych i nędzarzy przynoszą taki sam efekt jak rzucanie grochem o ścianę?

Ewan zaś wcale nie przeprosił, w każdym razie nie mnie. Przybył prosto ze szpitala, wnosząc ze sobą smród parafiny i krwi. Był blady z wściekłości, bo nie rozumiał, co zaszło. I z tego też powodu lękał się i wstydził. Policjanci, jak sobie wyobrażał, mogli pomyśleć, że jego żonie zaczęło odbijać, jako że jemu samemu mocno świtało takie podejrzenie, podsycane jeszcze przez fakt, że wydawałam się tak promiennie szczęśliwa w ogromnej, starej sukni i pożyczonej chuście.

- Co się dzieje? - wypalił. - Miałaś iść na zakupy...
- I wpadłam - powiedziałam z uśmiechem.
- Gdzie? Gdzieś ty, na Boga, była?
- Spacerowałam sobie nabrzeżem...
- Ale... Lauro, ja nic nie rozumiem. Jak to: wpadłaś?

Biedny, poczciwy Ewan. Naprawdę nie mógł tego pojąć. Zaczął się gorączkować i pytać, gdzie moje kule.

- Nie mam pojęcia - powiedziałam mu, zdając sobie sprawę, że odkąd się tu zjawiłam, prawie nie wstawałam, a więc musiałam je zostawić na brzegu.

- Co masz na myśli? Na jakim brzegu?
- Tam, gdzie wpadłam.
- Dlaczego się uśmiechasz? - dopytywał się Ewan, jak gdybym już nigdy w życiu nie miała prawa się uśmiechnąć.
- Uratował mnie taki miły człowiek - wyznałam.

I dotknęłam swego policzka - tego brudnego, naznaczonego rzeką policzka - na wspomnienie jego obleczonego w wełnę uda. Przypomniałam sobie szybki, mocny puls w jego nodze i to uczucie błogości i ulgi.

Teraz musiałam tylko czekać. Przyglądał mi się, dotykał mnie i byłam absolutnie pewna, że mnie odnajdzie. Ale straszne to było, takie czekanie. Pospiesz się - myślałam, gdy

Ewan pakował moje rzeczy do papierowej torby i podawał oskarżycielskim gestem sztywne ramię - bo nie wiem, jak długo dam radę czekać.

No i oczywiście trzy dni później do naszych drzwi zapukał stójkowy, wręczając mi liścik.

- Od życzliwego - oznajmił.

Liścik był zaklejony, a ja podziękowałam mu i przed otwarciem koperty zamknęłam za nim drzwi. W środku znalazłam nabazgrane wskazówki, jak dojść pod Czerwoną Krowę, i podpis „Bill”. Po prostu Bill. Ależ ma tupet chłopisko, pomyślałam, żeby angażować w swe zaloty policjanta.

Znałam pub Pod Czerwoną Krową, nadrzeczną gospodę, wspomnienie z mego życia przed Ewanem. Wcale nie wydało mi się to niezwykle, że tam właśnie chce się ze mną spotkać.

Był chłodny wiosenny zmierzch. Przed wejściem stało jak zwykle kilka lekkich wózków ulicznych rzemieślników i taczek straganiarzy, a na wietrze unosiły się kawałki gazet i inne śmieci. W zaułku obok leżało kilka cuchnących materacy, a na nich zwinięte w kłębek trzy koty. Jedna kotka chyba spodziewała się kociąt, bo była strasznie pękata i cały czas się lizała. Poniżej poziomu ulicy słychać było tęskny chlupot wzbierającej wraz z przyływem wody.

W pubie było ciemno jak w piekle, jeśli nie liczyć ogników kilku papierosów. Spozrzegłam go od razu, gdy wchodził, i zdumiałam się, widząc, że tuż za nim drepce dziecko - pyzaty szkrab z odkrytą głową, trzy, może czteroletni, brudny na buzi i w rozdartej sukience.

Zdjął czapkę i rozejrzał się dokoła, mrużąc oczy, by łatwiej przywykły do ciemności.

- Halo - zawołałam ze swego kąta, a on obrócił się i wbił we mnie wzrok.

Wytrzymałam to jego spojrzenie, zaś Billy poczerwieniał.

- Myślałam, że pan nie przyjdzie - powiedziałam. Skłamałam. Jego przyjscia byłam pewna jak niczego innego na świecie.

- Oczywiście, że przyszedłem - odrzekł i nader lekko dotknął główki dziecka, zwracając je do mnie twarzą. - To jest Lulu. Lulu, przywitaj się z panią.

Dziewczynka się nie odezwała - może jeszcze nie mówiła, bo zdążyłam już zapomnieć, w jakim wieku tę umiejętność nabywają - a tylko spuściła wzrok z dość ponurą miną. Cała była umazana brudem z ulicy, a gdy się zbliżyła - lekko przez niego popchnięta - spostrzegłam, że paznokcie ma obgryzione do żywego. A od łokcia do nadgarstka prowadziło długie, czerwone, wyraźnie widoczne zadrapanie.

- Dzień dobry, Lulu - powiedziałam.

Poruszyła wargami.

- Co ci się stało w rączkę? - spytałam.

Dziewczynka zacisnęła gniewnie usta i wyciągnęła rękę przed siebie, by przyjrzeć się jej z powagą, jak gdyby nie wiedziała, że coś z nią jest w ogóle nie tak.

- To był węgielek - oznajmiła stanowczo.

Spojrzałam na Billy'ego, który popatrzył na nią ze śmiechem. Każdy zauważyłby, jak uczucie do dziecka rozpromienia mu twarz.

- No tak, skaleczyła się - rzekł. - W mydle tkwił węgielek z paleniska, bo Cally szorowała nim wcześniej podłogę, a Lulu...

- Cally?

Popatrzył zmieszany. - Moja żona - wyjaśnił, próbując nie uciekać przede mną wzrokiem, co uznałam za słodkie i uśmiechnęłam się do niego.

Spróbowałam czule dotknąć głowy dziewczynki, lecz ona odsunęła się sprytnie, więc trochę przestała mi się podobać. Mimo wszystko była bystrym dzieckiem. Nie spuszczała ze

mnie oczek jak paciorki, przez cały czas gapiła się niegrzecznie, jak gdyby wyrosła mi na głowie kapusta.

- Czy nie mogłaby pobiec się pobawić? - zwróciłam się do niego, a gdy się wahał, spytałam, czego się tak boi. - Nie jestem groźna - zapewniłam z tak poważną twarzą, na jaką mnie było stać, a on roześmiał się, lecz nie było w tym nic śmiesznego, gdyż skłamałam.

Byłam groźna. Wiele wysiłku kosztowało mnie, by się powstrzymać, by nie wyciągnąć ręki, pragnąc go dotknąć, i to teraz, taki wydawał mi się znajomy i ponętny.

- Przepraszam - rzekł nieprzekonująco.

- Dlaczego? Za co mnie pan przeprasza?

Zaczął coś mówić, lecz Lulu chwyciła go za rękę i przycisnęła się do niego buźką. Delikatnie - tak delikatnie, że dostałam gęsiej skórki - odsunął ją od siebie.

- Idź na podwórko, kochanie - rzekł. - Idź, a ja za chwilę do ciebie przyjdę.

Odeszła powoli, niechętnie. Należała do tych dzieci, które kazały ludziom wokół siebie płacić wysoką cenę za chwilę spokoju.

- To pańskie? - spytałam, gdy dziecko wreszcie się oddaliło. Skinął.

- Ile pan ma?

- Czwórkę, w tym jedno niemowlę - odpowiedział rzeczowo. - Było... hm, hm... mieliśmy jeszcze jedno, lecz już go z nami nie ma.

Powiedziałam, że przykro mi to słyszeć, a on przez chwilę wpatrywał się w swoje buty. Zapadła pomiędzy nami cudowna, nic nieznacząca cisza.

- Nie wiem, co powiedzieć - wyznałam zgodnie z prawdą.

- To znaczy... pan... i wszystkie te dzieci. 1 żona, która do wszystkiego używa jednego mydła. Dlaczego chciał się pan ze mną spotkać? O co chodzi?

Wiedział, co mam na myśli, bo przy słowie żona zmarszczył czoło i ściągnął twarz. A może przy mydle?

- Niech pani mi to powie - rzekł głosem chropawym od emocji.

- Nie wiem, dlaczego w ogóle tu jestem. To pani niech mi powie, o co tu, u diaska, chodzi.

- Proszę posłuchać - zaczęłam, śmiejąc się z niedowierzaniem.

- To pan się ze mną skontaktował. Poprosił mnie pan...

Pokręcił głową. - Wie pani, że to nie tak. Znowu cisza.

- A pani? - rzekł.

- Co "ja"?

- No wie pani - podniósł wzrok - jest pani porządnie ubrana i nosi obrączkę na palcu.

Popatrzyłam. Popatrzyłam na dziwny, sztywny krążek metalu, który Ewan z taką przyjemnością wsunął mi na palec rok wcześniej, i przekręciłam go, pokazując, jaki jest luźny. Zwiesiłam swobodnie rękę, by upadł na podstawioną otwartą dłoń, po czym podałam mu go. Czyste złoto, ogrzane moją krwią.

Nie wiedział, co począć.

- Dlaczego to pani z nią zrobiła? Wzruszyłam ramionami.

- Proszę powiedzieć...

- Bo miałam ochotę - odrzekłam. - I wcale mi na niej nie zależy, jeśli chce pan wiedzieć...

- Niech pani nie będzie taką lafiryndą.

- Nie zależy mi - powtórzyłam. - I nie obchodzi mnie, czy mi pan wierzy, czy nie.

- Proszę ją zabrać - rzekł, podając mi złoty krążek, jakby był skażony. - I niech się pani mną nie zabawia.

- Poślubiłam chirurga, który odjął mi nogę - poinformowałam go rzeczowo i postarałam się zobaczyć wyraz jego twarzy.



Skrzywił się znowu. Jego oczy zaś były tak błyszczące, tak przenikliwe i okrągłe, że gdy raz w nie spojrzałam, z trudem mogłam oderwać wzrok.

- A to dlaczego? - spytał.

- Dlaczego co?

- Cóż, nie wydaje mi się to czymś normalnym, wychodzić za mąż za swojego chirurga.

- A co jest normalne?

Przyglądał mi się tak natarczywie, że poczułam się zmuszona do wyjaśnień.

- Może go kochałam - wydusiłam sztywno.

- Może?

Westchnęłam. - Zaczniemy od nowa, dobrze? - zaproponowałam, stwierdzając nagle, że czerpię z tego spotkania znacznie mniej przyjemności, niż się spodziewałam.

- Kim pan jest? Jak panu na imię?

- Zna pani moje imię.

- Cóż, wobec tego zdradzę swoje.

Kość

Jest okropnie. Jest nawet gorzej, niż się spodziewaliśmy. Ta cisza, świadomość wszystkiego, sama myśl, że on tam jest.

Billy mówi, że zdecydowanie musimy się napić, lecz obawiam się, że chce zwyczajnie posnuć się po domu i skorzystać z bogatych zapasów Ewana. Ani razu wcześniej nie był w środku i wyraźnie jest pod wrażeniem.

- Nigdy bym nie pomyślał, że będzie tak cholernie wielki - mówi, rozglądając się po salonie, którego ze wszystkich pokoi nie znoszę najbardziej. - Ani że wszystko będzie takie nowe i lśniące. No popatrz tylko...

- Meble w większości są stare - mówię, bo wolałabym, żeby nie zachwycał się tak bardzo. - Wiele należało do matki Ewana. Przywiozła je ze sobą z zagranicy, dlatego są takie nadęte i staroświeckie i szczerze ich nienawidzę, jeśli naprawdę chcesz wiedzieć.

- Tyle eleganckich rzeczy - mówi, jakby mnie tam wcale nie było, chodząc w kółko, głaszcząc jedwabną tapicerkę i ciężkie welurowe zasłony, biorąc do rąk i oglądając przedmioty, jakby należały do niego, zapomniawszy najwyraźniej zupełnie, z jakiego to koszmarnego, smutnego powodu tutaj przyszliśmy.

- Billy - rzucam dość ostro. - To brak szacunku. Zapomniałeś już? W tym domu leży zmarły.

- Przepraszam - mówi. - Ale naprawdę muszę się napić. Przynoszę brandy Ewana i nalewam mu trochę. Ręka tak mi się

trzęsie, że ledwo jestem w stanie wyciągnąć szklany korek z karafki, i jestem pewna, że więcej znajdzie się na stole niż w kieliszku.

I siedzimy tak w głuchej ciszy salonu z kieliszkami w dłoniach i ze stopami na osłonie kominka niczym dwóch łobuziaków, którzy wspólnie właśnie coś spocili. Brandy pali

mnie w piersi i to uczucie dodaje mi otuchy - zawsze je lubiłam. Cóż, nie zajrzeliśmy jeszcze do niego, ale za chwilę to zrobimy.

- No to zdrowko - mówi Billy smętnym głosem, podnosząc kieliszek.

Drażni mnie to jego prostackie zachowanie, lecz przychodzi mi do głowy, że jestem po prostu bardzo spięta, podobnie jak on, i że to tak naprawdę nic nie znaczy.

- Muszę się umyć - stwierdzam, kładąc kule ostrożnie przy osłonie kominka i wachając się pod pachami. - Och, co ja bym dała, żeby móc przygotować sobie teraz miłą gorącą kąpiel i moczyć się w niej przez pół godziny.

- Potem - mówi Billy, obejmując mnie i tuląc do siebie. - Potem, po wszystkim kąpiel ci się przyda, dziewczyno.

Oboje patrzymy na siebie, kiedy to mówi.

Po czym? Prawda jest taka, że nie mamy pojęcia, co robić, nie mamy bladego pojęcia. Ewan leży tam gdzieś, a brandy to tylko gra na zwłokę, oboje o tym wiemy, choć nie wspomnieliśmy o niczym na głos.

Wbija we mnie spojrzenie. - Boże Święty, Lauro, wpakowałaś mnie w taką kabałę.

- Gdybyś to ty był na moim miejscu - przypominam mu - trwałabym przy tobie bez żadnych narzekań.

A on nie może zaprzeczyć. Taka jest prawda, o czym wie doskonale, taka jest najprawdziwsza prawda.

- Och, przestań - mówi znużonym głosem. - Jakie to ma znaczenie, co byś zrobiła? Ja to nie ty. Mamy tutaj kolejną twoją cholerną katastrofę. Kolejny sposób na to, by narobić bałaganu w moim życiu, jak sama dobrze wiesz...

No tak, temu nie mogę zaprzeczyć, myślę sobie, więc nie zaprzeczam. Zamiast tego biorę jego dużą, szczupłą dłoń, czuję jej spokój i ciepło i owijam wokół swojej, mniejszej.

- Kocham cię - mówię mu, lecz mój głos drży bardziej, niżbym tego chciała.

On milczy. Nie odzywa się. Billy jest w tym tak samo dobry jak reszta mężczyzn - w uciekaniu od odpowiedzi choćby jednym słowem. Zamiast tego wpatruje się w kominek i stojące na nim bibeloty, w komodę, w niskie stoliki z Indii inkrustowane masą perłową. W srebra, matowe i zaśniedziałe po śmierci Eve. W wypchaną wiewiórkę z wypadającym okiem.

- Te rzeczy warte są sporo pieniędzy - stwierdza w końcu.  
- Czyje to?

- Ewana - odpowiadam automatycznie.

- Nie, czyje są teraz, o to pytam?

Zastanawiam się przez chwilę, lecz nie przychodzi mi do głowy żadna sensowna odpowiedź. - Nie wiem - mówię, uświadamiając to sobie. - Czy należą do mnie?

Billy wstaje. W zamyśleniu odstawia kieliszek. - Musimy się tym zająć.

- Tym?

- No, nim. Jeśli nikt go nie znajdzie, nic nie będą mogli zrobić. Rozumiesz? Będziemy bezpieczni.

- Och, Billy! - wołam, wspominając mimowolnie porządną twarz i dłonie mego ojca, to, jak sprawiał, że świat wydawał się taki łatwy do opanowania. - Tak bardzo chciałabym być bezpieczna.

Podchodzi do mnie. - Wiem - mówi, poklepując mnie po ramieniu, tak jak poklepywał młodą Pinny. - Wiem.

Wstaję, biorę go za rękę. Czuję ból w kikucie, ale to tylko nerwy, i wiem, że najlepiej jest go zwyczajnie zignorować. Billy zaś drży teraz, pełen energii do tego, co musimy zrobić.

W pokoju panuje ponura, natrętna cisza, a ja zdaję sobie sprawę, jak bardzo nienawidzę tego domu - tak, całego domu,

tak pełnego Ewana i jego matki, i ich opartego na wspólnych knowaniach żywota.

- Nigdy bym nie pomyślała, że do tego dojdzie - mówię, żałując, że nie jestem bardziej wstawiona.

- Jasne, że nie.

- Kiedyś tak bardzo pragnęłam śmierci jego matki - wyznałam. - A gdy wreszcie umarła, nie mogłam wyzbyć się myśli, że jakoś się do tego przyczyniłam...

- Nie przyczyniłaś się - odrzekł bez większego zainteresowania.

- Nie - mówię. - Ale widzisz, ta myśl we mnie była... Budziłam się po nocach zлана potem...

Billy przypatruje się własnym dłoniom, rozciera je, po czym znów na mnie spogląda, marszcząc czoło. Muszę powiedzieć, że nie wygląda z tym dobrze - znacznie bardziej wolę go z twarzą gładką i pogodną.

- Lauro, to nad tym teraz powinniśmy się pocić...

- Nad tym?

- Nad nim. Nad tym, co zrobiłaś.

Biorę krótki wdech. - Za chwilę - mówię. - Za chwilę tam pójdziemy.

Widząc, że zjechała mi opaska, Ewan się wściekł. Pod żadnym pozorem nie miałam widzieć leżącej w pojemniku na krew własnej nogi.

Klął i wyzywał trzymających. A ja poczułam, jak ciemność na powrót zasnuwa mi oczy.

Zaraz też zabrał się do pracy przy pomocy szczypców. Chlipałam, lecz ilość bólu mnie otępiła. Nie byłam w stanie myśleć ani krzyknąć. Leżałam tylko i nawet za bardzo się nie wzdrygałam, czując, jak odcina kawałki chrząstki, które pominęła piła.

Raz, jakiś rok później, zapytałam go, jak wygląda w środku kość, gdy się ją przetnie.

- Jest biała jak mleko - odparł po chwili namysłu. - I wcale nie tak sucha, jak mogłoby się wydawać, raczej woskowata...

- Tak jak lilie? - odpowiedziałam, wspominając wielkie białe kielichy z mojego ślubnego bukietu - upojnie pachnące, lecz złośliwe kwiaty, które swym koszmarowym pomarańczowym pyłkiem pobrudziły mi bieliznę, kiedy mnie potem rozbierał.

Ewan parsknął śmiechem. - Lilie? Niezupełnie, moja droga, nie. Hm, jak niby kość może przypominać kwiat albo na odwrót? Naprawdę masz cudownie ekscentryczny umysł.

Może i był ekscentryczny, ale nie tak bardzo jak jego. W łóżku, na przykład, lubił mieć jeden ze swoich noży, nie po to, żeby mnie skrzywdzić, lecz by poudawać, bo tak bardzo podobało mu się, jak wzdrygało mną wewnątrz, kiedy przesuwał twardym zimnem po moim ciele.

Różni ludzie różnie pojmują zło. Dla mnie nie tak powinien wyglądać akt miłosny - wyobrażałam go sobie jako coś bezpiecznego, słodkiego i bardziej zmysłowego. Kość dla mnie oznaczała mocno wytarte rękojeści i ozdoby o bladych, tępych zębach noszone we włosach bogatych kobiet. Miłość zaś, moim zdaniem, nie powinna być łączona ze śmiercią.

- Ze śmiercią? - rzekł Ewan, gdy mu o tym powiedziałam. - To przyjemność, moja droga, nie śmierć. Jeśli chcesz, mogę ci śmierć pokazać i zobaczysz, że nie ma ona nic wspólnego z figlami w łóżku.

Figle czy nie, pomimo tego, co powiedział Ewan, nie mogłam przestać myśleć o tym, jak wygląda w środku coś żywego, gdy się to przełamie - jasny, biały miąższ młodej gałązki czy pączek skubnięty z rośliny, gdy jego blade, kremowe płatki tulą się jeszcze wciąż ciasno.

Ewan mówił, że mnie kocha, lecz nie wydaje mi się, by to było możliwe, bo widział mnie w środku i nie mógł tego zapomnieć.

Może po to właśnie był mu ten nóż - dla przypomnienia, że w każdej chwili znowu może tam zajrzeć, jeśli mu przyjdzie ochota.

Przy pomocy pęsety powyciągał najdrobniejsze odłamki kości. Nie słyszałam, gdy wpadały do naczynia. Następnie przez dłuższą chwilę musiał siedzieć nieruchomo.

- Żebyście czasem nie pomyśleli, nie przyglądam się temu, co pacjentka ma pod spódnicą.

Czy nie tak zwrócił się do zgromadzonych? I czy nie zasłużył tym sobie na wybuch szczerego śmiechu? Po chwili dodał poważniej:

- Kto mi powie, czego szukam?

- Tętnic, sir?

- Aha, i co powinienem z nimi zrobić?

Dłoń Ewana znów błędziła po moim ciele, jego palce na moim nagim biodrze krążyły, gładziły. Byłam półprzytomna i wiedziałam, że moja noga jest czerwona, gorąca i żywa. W malignie widziałam, jak tysiące insektów dają do niej nura, by zaraz wyskoczyć z powrotem.

Jęknęłam lekko, nie mogłam się powstrzymać, a wtedy poczułam nagle słodką wilgoć butelki brandy, którą ktoś przycisnął mi do ust. Zdaje się jednak, że zatraciłam zdolność przełykania, bo alkohol spłynął mi po brodzie i wsiąkł w suknię.

Nikt nie udzielił odpowiedzi na drugie pytanie Ewana. Ja ją jednak poznałam. Wiem, że podwiązał mi żyły, a potem, po zaszyciu zwisającej skóry, opatrzył kikut gorącymi jak ogień szmatami nasączonymi parafiną.

Wiem, bo lubił mi o tym opowiadać - w kółko od nowa, kiedy mnie dotykał i na mnie patrzył. Dopóki nie zaczęłam krzyczeć, żeby przestał.

Gdy tylko poznałam Pinny, tę, jak to mówił Billy, rozkosz jego serca, dziewczucha od razu pokazała mi, co o mnie sądzi.

Wielkie dzięki, Pinny!

Cóż, był to gorący, wietrzny dzień, a ja wybrałam się akurat do krawcowej przy Kentchester Street, jako że Ewan truł bez przerwy, żebym sprawiła sobie coś nowego. Muszę powiedzieć, że rozdrażniła mnie ta wizyta, bo suknie, które skroiła i sfastrygowała kobieta, były jak dla mnie stanowczo zbyt strojne i niewygodne i sama nie wiem kiedy, powiedziałam jej, co może z nimi zrobić.

Nie byłam przy tym zbyt uprzejma, a ona zaraz się obraziła. Wtedy przestałam przebierać w słowach, bo skończyła mi się cierpliwość, a ona, rzecz jasna, kazała mi wyjść.

Na to tylko czekałam.

- I to żona chirurga, myślałby kto! - zawołała za mną, gdy już podciągnęłam spódnicę, chwyciłam za kule i z trudem pokonałam schodki przed wejściem, upstrzone zresztą gęsto zielonkawymi ptasimi kupami.

- Wielkie nieba - odpowiedziałam radośnie - nie wiedziała pani? Przecież właśnie żony medyków są najgorsze!

Zupełnie nic mnie nie obchodziło, co sobie na mój temat pomyśli, lecz byłam zła, że udało jej się wytrącić mnie z równowagi. Mimo iż przez ileś lat żyłam przyzwoicie i w dostatku z moim ojcem, to tyle czasu spędziłam wśród nędzarzy, że straciłam rozeznanie, co jest dopuszczalnym w towarzystwie zachowaniem, a co w najmniejszej mierze damie nie przystoi.

I miałam szczerze dość stania na jednej nodze w tym jej zatęchłym salonie, podczas gdy ona wpinała i wypinała



szpilki, a jej rozkapryszona latorośl siedziała w oknie i głośno ssła palce.

Na dworze, przez rzadkie firanki, widziałam niewyraźnie drzewa kiwające na mnie z parku i niesamowicie kremowy błękit letniego nieba, który zdawał się obiecywać nieustające światło i ciepło. Światło i ciepło. Dusza mi się uradowała, a serce zapłonęło chęcią wydostania się stąd, zaś moja jedyna noga zrobiła wszystko, co w jej mocy, by się dostosować.

Nie, pomimo dobrego wychowania nie byłam zadowolająco potulną damą. Szczerze mówiąc, po dziurki w nosie miałam beznadziei związanej z przesiadywaniem w dusznych, wysprzątanych domach, przyjmowaniem poczęstunków złożonych z herbaty i ciastek i udawaniem, że jestem tym czy owym zainteresowana.

Ewan nie był w stanie tego zrozumieć - że nigdy nie prosiłam o łatwe życie, absolutnie nigdy go nie łaknęłam. Niezależnie od tego, co zaszło i jak wiele pięknych rzeczy posiadałam, wciąż strasznie tęskniłam do tego, do czego przywykłam - do nędznych sklepików, do ostrego jak igielki, skrzącego świeżego powietrza, do brązowego brudu rzeki.

Wyszłam więc od niej i miałam już wsiąść do tramwaju, by pojechać prosto do domu, gdy nagle wpadł mi do głowy genialny pomysł, żeby go odszukać. Pokuśtykałam ulicą do miejsca, gdzie zaczęła opadać w dół i widać było początek Millchamp's. Ogromny ruch i mnóstwo pokrzykujących ludzi. Nadgarstki bolały mnie od wysiłku związanego z chodzeniem, lecz serce przez cały czas rosło. Powietrze czuć było moim chłopcem, Billym. Wiedziałam, że gdzieś tutaj musi być.

Snułam się po płachetku spalonej wiatrem trawy koło Fitch Cottages z tą jedną nadzieją, że się na niego natknę. Nikt nie zwracał na mnie najmniejszej uwagi, zaś on się nie pojawiał.

Po jakichś dwudziestu minutach jednakże, kiedy miałam już się poddać i wrócić do domu, ukazał mi się, wychodząc zwawym krokiem z za rogu - tak niespodziewanie, że nie bardzo mogłam uwierzyć, zupełnie jak wyśniona przeze mnie wizja.

- Witaj - rzuciłam.

- Witaj, Lauro!

Zrobił się czerwony jak burak, jak to się zwykle zdarza ludziom, którzy natykają się niespodziewanie na znajomych w najmniej odpowiednich miejscach.

Byłam zasapana i zarumieniona z wysiłku, z czym, jak wiedziałam, całkiem mi do twarzy. Cieszyłam się, że zadałam sobie nieco trudu, układając włosy, że założyłam porządną zakiet z zielonej wełny, że musnęłam twarz pudrem, który rozjaśnił nieco moje piegi.

Opierałam się o kule i obleczoną w rękawiczkę dłonią bawiłam się nieśmiało kosmykiem włosów, który wymknął się z upięcia i wisiał luźno za uchem. Widziałam, jak mi się przygląda, gdy to robiłam, i byłam zadowolona. Zadowolona, że wydaje się tak zuroczony moją obecnością, że nie jest w stanie oderwać oczu od tego, co robię, choćby nie wiem jak to było zwyczajne.

- Skąd się tutaj wzięłaś? - spytał, wciąż zaskoczony, lecz uśmiechając się cały czas.

- A jak sądzisz? - odrzekłam słodko.

- Jakim sposobem zawsze udaje ci się mnie znaleźć?

Zadał to pytanie całkiem poważnie i zastanawiałam się właśnie, jaka mogłaby być idealna odpowiedź, gdy zauważyłam stojącą obok niego osobkę.

Była to strasznie ponura dziewczynka, chuda, o pociągłej twarzy, w brudnym, połatanym ubraniu i bez butów na nogach. Miała mały, perkaty nosek i cienkie warkoczyki, lecz niebieskie oczy były absolutnie oszałamiające; tak, dosłownie

zwalają z nóg. Nie było w nich nic z dziecka. Wiedziały o rzeczach, o jakich niewielu ludzi miało pojęcie.

Przyjrzałam się jej i nieco wystraszyłam. Z takimi oczami wiedziałam, że nie mogę jej lekceważyć.

- Pinny - rzekłam.

- Skąd mnie pani zna? - spytała ostro, a mnie nie spodobał się jej ton, podejrzliwy i krytyczny.

Roześmiałam się. - Cóż, taka jesteś ładna - skłamałam. - Billy mi o tobie opowiadał. Rozpoznałam cię.

Nie dała się nabrać. Wpatrywała się w moje kule, a po chwili spojrzała wprost na swego ojca, który z kolei ze skrzepowaniem popatrzył na mnie.

- Laura to moja stara znajoma - powiedział jej dzielnie i Pinny natychmiast się wycofała.

- Bardzo się cieszę, że mogłam cię poznać - zwróciłam się do niej. - Tak wiele o tobie słyszałam, i to same dobre rzeczy...

Wyciągnęłam rękę, lecz ją zignorowała, jak gdyby nic nie widziała. Billy tymczasem zdawał się niczego nie zauważać, cały czas tylko tak ciepło na mnie patrzył...

- Byłam u krawcowej - oznajmiłam mu pogodnie. - Ale mam jej tak serdecznie dość, że dałam jej to odczuć, niestety. Teraz będę miała przeprowadę z Ewanem.

Próbowałam pochylić się poufale nad dzieckiem, lecz dziewczynka już szybko się od nas oddalała. Obejrzałam się za nią, ale Billy rzekł:

- W porządku, niech idzie.

- O co chodzi? - spytałam go, udając, że się przejmuję. - Czy to przez moje kule? Przestraszyła się ich? Czy przez nogę? Wiem, że powinnam nosić protezę, ale tak strasznie mnie obciera, że nie mogę...

- W ogóle się nie przejmuj - odrzekł. - Wcale nie chodzi o ciebie, tylko o nią, taki już z niej jest ponuraczek.

- Nie chciałam jej wystraszyć - powiedziałam znowu. Billy dotknął mego ramienia, a moje serce podskoczyło.

- Proszę, nie przejmuj się nią.

- No dobrze - odrzekłam. - Nie będę.

Milczał przez chwilę, jakby się wahał, przez cały czas patrząc na mnie z uśmiechem.

- Miło cię widzieć.

- Chcę zapalić - oznajmiłam mu. - Masz przy sobie tytoń? Nie miałbyś ochoty posiedzieć chwilę?

Przy domkach stała ławka, na której zwykle przesiadywały roztrajkotane matki z dziećmi. Teraz na szczęście była pusta, więc Billy pomógł mi do niej dojść i usiadłam, czując wielką ulgę.

- Nie mogę cię dziś dotykać - powiedział Billy. - Choć bardzo bym chciał. Och, Lauro, wiesz dlaczego...

Milczałam. Pinny siedziała na płocie kawałek dalej, przy domkach, i machała długimi, chudymi nogami, nadąsana. Billy zawołał ją i po krótkiej sprzeczce podeszła i usiadła na ławce, ale tak daleko, jak się tylko dało, zupełnie się od nas odcinając.

Billy skręcił mi papierosa i zapalił go dla mnie, gdy zdjęłam rękawiczki. Pinny siedziała obrażona. Wytknęłam jej język, a potem udałam, że wydmuchuję dym prosto w jej buzię, ona jednak uparła się nie reagować na tę żartobliwą zaczepkę i ostentacyjnie odwróciła głowę.

- Dlaczego mnie nie lubisz? - spytałam otwarcie, ponieważ moim zdaniem z dziećmi najlepiej nie owijać w bawełnę.

- Ależ lubi cię - natychmiast odpowiedział Billy, po czym dość ostrym tonem kazał jej przestać się dąsać. - Chyba nic ci się straszego nie stanie, jeśli zachowasz się grzecznie, co?

Próbowałam nawiązać jakąś rozmowę, mimo iż widok tego dziecka sprawiał, że serce mi przyspieszało i galopowało ku końcu świata.

- Wygląda zupełnie jak ty, Bill - powiedziałam mu, strzepując popiół na zeschniętą ziemię.

Zmarszczył brwi. - Jak to możliwe? Mówiłem ci przecież, że nawet nie jest moja...

- Nie wiem, jak to jest - odrzekłam wesoło. - Widzę tylko, że jesteście jak dwie krople wody.

I była to prawda, wyglądali, jakby się dobrali w korcu maku - jedno ponure, a drugie żwawe, lecz oboje karmieni tą samą strawą, mogłabym przysiąc. Cokolwiek między nimi było, śmiertelnie mnie to przerażało.

Billy jakby się rozluźnił, po czym parsknął śmiechem i spojrzał na Pinny, mnie zaś to spojrzenie ukłuło prosto w serce.

- Może to miłość tak was do siebie upodobniła - zasugerowałam spokojnie, mimo że powiedzenie tego sporo mnie kosztowało.

- Tak sądzisz? Może się tak zdarzyć? - spytał mnie Billy, jako że w tych sprawach wydawał się rozczulająco nierozgarnięty.

- Nie wiem - odrzekłam, nawet nie mrugnawszy. - A może? W tym momencie ni stąd, ni zowąd Pinny się rozplakała. Teraz już

Billy się zirytował.

- Na litość boską, Pin, co się z tobą dzieje? O co chodzi? Szlochając ciągle, podniosła rękę, jakby chciała zasłonić oczy.

- Jak mi nie powiesz, to ci spiorę tyłek.

- Nie wiem - wyszeptało dziecko przez łyzy. - Ja tylko... ja bym tylko chciała...

- Czego byś chciała? - spytał. Pinny jednak nie mogła tego wydusić.

Spojrzałam na Billa. - Och, daj jej spokój - powiedziałam, bo wolałam nie słyszeć tego, co miała do powiedzenia.

Dziewczynka jednak nagle podniosła głowę i wbiła we mnie wzrok.

- Ta pani jest niedobra - oznajmiła swemu ojcu. - Ona... ona jest zła.

- Pinny!

- Czuję to - upierała się Pinny. - O, tutaj. - I dotknęła swego mostka, gdzie nędzna, tania tkanina sukienki wisiała, postrzępiona.

Billy wyciągnął rękę i ją uderzył. Celował w twarz, ale zrobiła unik i chyba trafił ją w kark. Nie użył wielkiej siły, wystarczającej jednak, by ją uciszyć.

- To ty jesteś niedobra - powiedział. - Słuchasz mnie, dziecko? Taki tupet, zupełnie nie rozumiem. Ciekawe, co by twoja matka powiedziała...

- Nic jej nie powiesz - ostrzegła go mała, całkiem zresztą słusznie, a ja zobaczyłam na jej karku czerwoną pręgę.

Roześmiałam się, choć wiedziałam, że nie powinnam, lecz Bill się przestraszył.

- Jeśli piśniesz o tym matce choćby słówko, zatłukę cię na śmierć, rozumiesz?

Dziecko wbijało w niego swe niebieskie oczy. Były niczym broń, jak gdyby ich światło mogło pokroić mu twarz.

- Rozumiesz? - powtórzył Billy.

- Rozumiem - odrzekła, lecz gdy to mówiła, patrzyła nie na niego, a na mnie.

Pinny, rzecz jasna, oznaczała kłopoty. Wiedziała więcej, niż powinna. Umiałam jednak radzić sobie z jej zachowaniem. To, co wiedziała, wcale nie musiało jej wyjść na dobre.

Nazywał ją marzycielką, Billy znaczy się. Marzycielką i swoim kochaniem. Mówił, że jest mała jak na swój wiek, ale silna i bystra jak górski potok.

- Masz do niej słabość - zarzuciłam mu, a on się roześmiał. Potem zastanowił się przez chwilę i stwierdził, że owszem, może i ma słabość, ale nie ma pojęcia dlaczego.

- A co z resztą dzieci? - spytałam.

- Och, je też kocham - zapewnił mnie. - Ale Pinny jest, do diaska, taka wyjątkowa.

Z dumą oznajmił, że chętnie sam by głodował, żeby tylko nakarmić Pinny, i często dzielił się z nią swoją jedyną kiełbasą. Mówił, że połowa ich dobytku była zastawiona, a po zapłaceniu za wszystko, to jest za opał, mieszkanie, ubrania, po opłaceniu składki na zasiłek pogrzebowy Cally często nie zdołała wskrobać dość grosza na jedzenie.

- Wtedy głodujemy na zmianę - rzekł. - Ona, ja i Pinny, bo maluchy, rzecz jasna, muszą być nakarmione.

- Jak malucha nie nakarmisz, to nie pośpisz - zauważyłam cierpko, ponieważ znałam to równanie dobrze jak nikt inny.

To najważniejsza zasada piastunki. Napchać w buzię dziecka, którym się opiekujesz, tyle jedzenia, ile się tylko da, zwłaszcza jeśli dziecko jest małe, nawet gdyby miało to oznaczać, że nic nie zostanie dla ciebie.

Gdy w brzuchu pusto, zapadasz w letarg - ale przynajmniej gdy kulisz się na stopniach przytułku, dzieciak cię nie obudzi. Piastunki zawsze drzemią - to jedyny sposób na to, by nie wchodzić w drogę reszcie świata. Przeważnie jednak drzemią, łypiąc jednym okiem, wypatrując kłopotów.

- Jednego w tobie nie rozumiem - powiedział Billy. - Jak mogłaś opiekować się tyloma dziećmi? No nie mogę tego pojąć...

Wzruszyłam ramionami. - Miałam do wyboru to albo przytułek z pracą przymusową... A byłam tym lepszą piastunką, że ich nie kochałam. Widzisz, Billy, nie miałam słabości. Żadne dziecko nigdy mnie nie przerażało.

Spojrzał mi prosto w oczy.

- Może poza moim własnym - powiedziałam.

Zapadła między nami cisza. Zaczynała to być nasza naturalna cisza zawierająca w sobie wszystko, o czym nigdy nie mówiliśmy.

- Tak czy owak - dodał, powracając do tematu swojej ukochanej córki - Pin nigdy nie narzeka, nawet jeśli dostanie tylko chleb ze smalcem, co zdarza się całkiem często. I jest całkiem zadowolona, mogąc nosić stare, rozlatujące się buty Cally, chociaż noga tak jej rośnie od czasu, gdy skończyła pięć lat, że już są za ciasne.

- Och, jest ideałem - zauważyłam skwaszona. - Prawdziwy anioł!

- A jaka do tego uczynna - ciągnął. - Stale jest czymś zajęta, a to nosi na rękach nasze najmłodsze, a to trochę starsze, a to znów przynosi mi do pracy obiad i nigdzie po drodze się nie wałęsa ani nie marudzi.

- Musicie z żoną być z niej bardzo dumni - rzekłam, lecz on nadal nie wyczuł złośliwości.

- O tak - ciągnął - matka ma z niej prawdziwą pociechę, a jakże, ja zresztą też. I jaka jest mądra, to najmądrzejsza dziewczynka na świecie. Chociaż nie stać nas, żeby posłać ją do szkoły, to całymi godzinami sama siedzi cierpliwie przy świeczce i ćwiczy pisanie.

- Dość! - zawołałam i pocałowałam go namiętnie w usta, by zamilkł. Dałam mu pokosztować czubek swojego języka, chcąc pokazać, że jest na świecie coś jeszcze poza Pinny, i żeby nie miał much w nosie.

Mimo wszystko nie potrafiłam przestać myśleć o nim i jego córeczce, o tym, że pójdą zaraz na Saffron Hill, a ona sprytnie naciągnie go na loda malinowego od Włocha.

- Oczywiście nie ma tam śladu maliny - powiedział wesoło. - Dodają koszenilę, żeby zabarwić na różowo.



Wszyscy o tym wiedzą. Jednak Pinny zarzeka się, że czuje smak prawdziwych malin, choć w życiu żadnej nie zjadła....

- Gdy wychodziłam za Ewana - przerwałam mu - mieliśmy tort, zwykły biszkopt waniliowy i krem, który podawano z malinami na srebrnych talerzykach wypożyczonych specjalnie na tę okazję.

- Ach tak - rzekł Billy, a twarz mu posmutniała, jakbym opowiadała o jakiejś tragedii.

- Posypane były cukrem pudrem i okraszone prawdziwą śmietaną.

Pomyślał chwilę i nagle wydał się całkiem załamany.

- Dlaczego, Lauro? - spytał. - Dlaczego za niego wyszłaś? Nie rozumiem tego. Dlaczego, na Boga, on chciał się z tobą ożenić?

- No dzięki, Billy.

- Nie, ty wiesz, co mam na myśli.

- Dzięki temu stałam się damą - odpowiedziałam mu spokojnie. - Spójrz na mnie, stałam się zamożną kobietą...

- Kochał cię? Kiedy się z tobą żenił?

- Cóż, chyba mnie lubił - odrzekłam po prostu. - Nadal trochę mnie lubi. A dlaczego ty poślubiłeś swoją żonę?

- To było zupełnie coś innego - odparł trzeźwo. - Od dawna byliśmy razem... los nas ze sobą zetknął już na samym początku.

- Otóż to - powiedziałam, bo spodobało mi się to, co usłyszałam. - Tak samo było ze mną i z Ewanem. Zetknął nas los, rozumiesz, przypadek.

Billy nie uśmiechnął się. - Ale ty? - drążył. - Dlaczego ty?

- Bo rzuciłam na niego urok - odparłam. - To bałwan, a ja wiedziałam, co robię. Tak naprawdę to bardzo proste, jeśli się wie, co i jak. Zobaczył mnie i pach!

- Zobaczył cię i co?

- Zaplanowałam to sobie, Billy, kobiety tak mają. Także twoja Pinny już to robi. Popatrz tylko na nią. Rzuca uroki. O tak, jest delikatna, a ty to czujesz. Ale oplotła się ciasno wokół twego serca i nie puści, masz na to moje słowo.

Odebrali mi nogę - powiedziałam potem Billy'emu. - Zabrali mi ją.

- Wiem, najdroższa - rzekł delikatnie. - Wiem o tym. Leżeliśmy w łóżku. Jego twarz była tuż przy mojej, a jego skóra i włosy prawie na moich oczach, przesłaniały mi cały świat. Był rozluźniony i szczęśliwy, ścierając sobie z piersi mlecznobiałą maź.

- Nie, nie rozumiesz - nie dawałam spokoju. - Dosłownie mi ją zabrali. Nie dali mi jej zobaczyć. Po wszystkim.

- A dlaczego niby chciałaś ją oglądać? - spytał mnie sennie i spróbował przytulić mocniej i poprawić luźne kosmyki lepiące mi się do czoła. Odsunęłam się.

- Bo była moja - odparłam. - Nie rozumiesz, Billy? To była moja własność, ta noga... należała do mnie...

Billy roześmiał się nieco niepewnie. - I co byś z nią zrobiła, Lauro?

- Pochowałabym ją - odrzekłam. - Zakopałabym ją w ziemi. A co niby robi się z czymś, co umarło?

Leżałam na oddziale z kikutem, z którego sączyło się coś do miski. Nie miałam odwagi spojrzeć ani na niego, ani na przykrywające mnie prześcieradło, które tuż za nim tak się koszmarnie spłaszczalo. Zapytałam pielęgniarkę, gdzie ona jest.

- Ona?

- Moja noga.

Nie chciała mi powiedzieć. Zaraz jednak narobiłam takiego rabanu, że sprowadziła Ewana, który najwyraźniej spał, bo przyszedł, pocierając nieprzytomnie jedną połowę twarzy, w pomiętej koszuli i z rozpiętymi mankietami.

- To moja własność - oświadczyłam mu stanowczo, gdy zapytał, w czym problem.

Ziewnął. Podrapał się po karku.

- Właściwie - rzekł - wcale nie jestem tego taki pewien. Prawdę mówiąc, należy teraz chyba do szpitala.

Gapiałam się na niego jak sroka w gnat. - Co?! - krzyknęłam.

- Lauro - rzekł, budząc się wreszcie na dobre. - Powinnaś odpoczywać, a nie wszczynać taki raban. Co ty wyprawiasz?

- Chcę moją nogę - powiedziałam, płacząc teraz gorzko. - Gdzie ona jest? Gdzieś przecież musi być. Chcę ją dostać, natychmiast.

Ewan długo mi się przyglądał. Myślałam, że podejdzie i weźmie mnie za rękę, lecz tego nie zrobił. Stał tylko z zamyśleniem na twarzy, jak gdyby znalazł się na krawędzi przed podjęciem ważnej decyzji.

- W porządku - rzekł. - Chcesz znać prawdę?

- Oczywiście, że tak! - wyszlochałam.

- To znaczy, że jeśli powiem ci prawdę, to się uspokoisz?

- A skąd mam to wiedzieć?

- Cóż, wydaje mi się, że zabrał ją jeden z chłopców - powiedział. - Ktoś ze studentów. Widzisz, biorę za to pełną odpowiedzialność. Przykro mi, Lauro. To był dobry model...

- Dobry model!

- Tyle kończyn idzie na straty, są zbyt przegniłe albo zniekształcone, kiedy je odejmiemy...

- Ale... - zaczęłam.

- Zabrali ją, żeby się przyjrzeć - tłumaczył. - Jeśli nie będą mogli zajrzeć do środka, to jak się niby nauczą?

Spojrzałam na niego. Po policzkach spływały mi łzy.

- Już w porządku? - spytał mnie tak, jakby go nagle ogarnęło znużenie.

- To cząstka mnie - powiedziałam, zawodząc. - Moja noga. Wydawał się nad tym chwilę zastanawiać. - Oczywiście, że tak - odparł. - Masz rację. Jest twoja.

- A teraz ją straciłam. Nic nie odpowiedział.

- Ciągle tylko coś tracę - mówiłam. - Przynajmniej tak to wygląda.

Uśmiechnął się. - Lauro...

- Nie - przerwałam mu - mówię poważnie. - Straciłam już bardzo wiele. A człowiek w swoim życiu jest w stanie przyjąć tylko określoną ilość strat.

- Wydajesz się znosić to zaskakująco dzielnie.

- Przestań - nakazałam.

- Co mam przestać?

- Próbujesz prawić mi komplementy. A mnie się to nie podoba.... wcale a wcale...

Uśmiechnął się i jakbym go zachęciła, usiadł na łóżku i położył mi dłoń na kolanie. - Nieprawda.

- Prawda. Przestań albo zawołam pielęgniarkę.

- Sam ją zawołam, jeśli chcesz - powiedział, lecz nadal trzymał dłoń na moim kolanie.

Zamilkłam i wczuwałam się w ciepło jego palców. - Nie - rzekłam.

- Co nie?

- Nie wołaj jej. Co przedtem robiłeś?

- Spałem - odparł i się nie zaczerwienił.

- Jak się miewa twoja matka? - spytałam, a on cofnął rękę tak samo swobodnym gestem, jak wcześniej ją położył.

Roześmiał się. - Jak zwykle - odrzekł. - Dlaczego pytasz?

- I jak się z tym czujesz?

Zastanowił się. - Niedobrze.

- Dlaczego?

Tym razem podniósł rękę i dotknął mojego policzka. Bardzo delikatnie, jak gdyby mógł rozpaść się pod jego palcami.

- Wielkie nieba - mruknął. - Tyle pytań...

- Dlaczego? - powtórzyłam.

- Cóż... - zawahał się na moment. - Ona nie uważa, żebym był grzecznym chłopcem.

- A jesteś?

Uśmiechnął się. - Grzecznym chłopcem? Niezupełnie. Westchnęłam. Pod dotykiem jego rąk ścisnęło mi się gardło, jakby wzbierały mi łzy. Uśmiechnął się znowu.

- Ciekawa z ciebie dziewczyna - stwierdził głosem wysokim i spiętym jak u małego dziecka. - Jesteś bezczelna i porywcza jak jakaś ulicznica, a jednak...

- Co?

- A jednak jestem skołowany...

- Tak? - Siorbnęłam nosem.

- Zachowujesz się chwilami jak wykształcona dama...

- Bo nią jestem - odparłam z uśmiechem. - Jestem wykształcona, jak mówisz...

- Ale...

- To znaczy, chodziłam do szkoły. Czytałam książki. Uczyłam się muzyki i francuskiego, i... comment ca va?

Roześmiałam się, lecz on patrzył z powagą i zdumieniem.

- To było dawno temu - wyjaśniłam.

- A popatrz tylko teraz...

Wzruszyłam ramionami. Wiedziałam, że ma na myśli nie tylko moje ubranie.

- Tak - rzekłam - popatrz tylko teraz...

Ujął moją dłoń i podniósł do ust. To już był trzeci z tego rodzaju gestów, jakimi mnie uraczył. Patrzył na mnie, kiedy to robił, a mnie się to uczucie nawet podobało.

- Sprawiasz, że mam ochotę cię ocalić - rzekł.  
Odwróciłam się od niego. Nie chciałam ocalenia. Nie  
chciałam niczego. Nie chciałam tak naprawdę nawet swojej  
nogi.

## Łóżko

Po tamtym pierwszym spotkaniu pod Czerwoną Krową Billy i ja uzgodniliśmy, że koniecznie musimy spotkać się znowu, i to szybko. W rzeczy samej, tak szybko, jak tylko uda nam się coś wykombinować.

- Ale bez małej - powiedziałam mu bez ogródek. - Myślisz, że zdołasz wyrwać się bez niej?

Początkowo myślałam, że mnie nie usłyszał, bo nie odpowiadał, a tylko usiadł wygodniej, wyciągnął sakiewkę z tytoniem i powoli skręcił sobie papierosa. Dopiero wtedy podniósł na mnie leniwy wzrok.

- Pewnie zdołam - odrzekł. - Ale po co? Poczułam, jak się czerwienię. - Jak to, po co?

- Pytam, moja droga, co ci chodzi po głowie? Co będziemy robić? Chcesz się ze mną napić czy co?

- Spokojnie - odparłam zdumiona, że takie z niego niewiniątko. - Czy nie możemy posuwać się krok po kroku? Czekać, co los przyniesie?

Uśmiechnął się, lecz bardziej sam do siebie niż do mnie. - Łatwo powiedzieć - rzekł, liżąc bibułkę.

Miał rację. Łatwo było powiedzieć. Choć przeważnie pilnowaliśmy się raczej, by wiele nie mówić.

Sprawa była trudna. Oczywiście nie mogliśmy spotykać się u mnie w domu ani, naturalnie, u niego. Ale znałam pewną kobietę przy Dacca Street, szwaczkę, która przez większość dnia przebywała poza domem i chętnie za parę pensów wynajmowała swoje łóżko, byleby tylko zostawić je czyste i schludne i wymienić świece, gdyby było trzeba.

- Oj, świece nie będą nam potrzebne - powiedziałam jej całkiem otwarcie, gdyż nie robiłam ze swoich zamiarów żadnej tajemnicy.

- Kim on jest? - spytała mnie. - Ten mężczyzna, który zasługuje na takie misterne knowania i rozgorączkowanie?

Musi być wyjątkowy, skoro dajesz z siebie zrobić taki kłębek nerwów.

- Czy ja wyglądam jak kłębek nerwów? - spytałam ją, zdziwiona, że nie potrafię lepiej skrywać emocji.

- Cóż, normalnie jest z ciebie spokojna dama, nieprawdaż? - zauważyła, po czym poszperała w kieszeniach fartucha i podniosła lusterko, w którym zobaczyłam, jakie mam wypieki i jak bardzo błyszczą mi oczy.

Miała rację. Wyglądałam jak osoba trawiona gorączką, spięta, rozpalona.

- Zwolnij trochę, dziewczyno - powiedziała - bo inaczej dojdiesz, zanim jeszcze wyruszysz - i roześmiała się z własnego sprośnego żartu.

Kobiety utrzymujące się z szycia to najgorszy gatunek bab. Zupełnie jakby wymagana od nich dokładność i precyzja doprowadzały je do szału, tak iż musiały jakoś odreagować i czyniły to, parząc się z mężczyznami, całymi stadami mężczyzn.

- Pamiętaj tylko, żeby przynieść ze sobą koc - powiedziała Elsie, kiedy się rozstawałyśmy. - Nie mam zamiaru zastać po powrocie za - - paskudzonej pościeli.

Sama nie wiem, jak wraz z Billym pokonałam za tamtym pierwszy razem schody. Przypuszczam, że jego serce waliło dokładnie tak samo jak moje.

Jako kobieta szłam przodem, lecz on, rzecz jasna, musiał mi pomagać. Miałam na sobie wełnianą spódnicę, tę brązową w ciemne paski, i zielony żakiet, a on oplatał mnie ramieniem, dźwigając mój ciężar na każdy kolejny stopień.

Na samym początku zaproponował, że mnie wniesie, lecz to ja uparłam się, że mogę wejść sama, opierając się co najwyżej na jego ramieniu. Schody jednak były znacznie bardziej strome niż te w domu moim i Ewana i już w połowie drogi Billy spostrzegł, jaka jestem spocona, a wtedy



powiedział, że i tak mnie wniesie bez mojej zgody, czy mi się to podoba, czy nie.

- Nie jestem ciężka? - spytałam, gdy jedną ręką zagarnął mi spódnice i podniósł mnie z determinacją, a jego oddech zadrżał na moim policzku.

- Co ty, głuptasko - powiedział. - Przecież ty nic nie ważysz. Jesteś lekka jak piórko, jak puch, co unosi się i tańczy na wietrze.

- Akurat - roześmiałam się. - Dostyc już tego bajdurzenia.

Na górze postawił mnie, a ja podałam mu klucz i oparłam się na kulach, by złapać oddech. Zabrakło mi go nie przez wspinaczkę, lecz przez tego mężczyznę, jego dotyk i bezpośrednią bliskość.

Przez szparę pod drzwiami sączyło się światło, lecz klatka schodowa tonęła w ciemności i cuchnęła moczem.

- Wszystko dobrze? - spytał.

- Doskonale - skłamałam.

Nasze twarze dzieliło najwyżej parę centymetrów. To było moje marzenie. Dla takiej chwili żyłam i gotowa byłam umrzeć. Chciało mi się płakać, tak bardzo dławiło mnie własne szczęście.

Gdy zamknął drzwi, pokój się zatrzęsł. Był czysty, pobielony i bardzo skromnie urządzone, tak by jak najlepiej wykorzystał skąpą ilość miejsca. Elsie była osobą dosyć schludną i oszczędną, dlatego nie zaskoczyło mnie to, co zastałam.

Pod ścianą stało wąskie żelazne łóżko przykryte dwiema kołdrami, a za nim fotel z dziurawym ratanowym oparciem. Na wieszaku przy drzwiach wisiała poplamiona halka. (Po co zostawiać takie coś, żeby wszyscy widzieli?) Podłogi nie zdobił żaden dywan, zaś okno przesłaniał brudny, dziurawy koc.

Billy od razu podszedł, żeby go zdjąć.

- Nie rób - powiedziałam.
- Przecież się nie widzimy.
- A co tu oglądać?
- Ale ja chcę ciebie widzieć - uparł się.

I pomimo moich sprzeciwów podpiął koc, a pokój zalało światło, niszcząc przytulną ciemność.

Żegnając się z moim dzieckiem, myślałam, że to dla mnie koniec, że wyczerpałam cały swój przydział miłości. Kochałam je, a on kochało mnie i miała to być najlepsza miłość, jakiej bym kiedykolwiek zaznała. Wszystko, co przyszło później, musiało być w porównaniu z nią bezbarwne i bezduszne.

Miałam piętnaście lat, kiedy je straciłam. Zarabiałam pensa na godzinę, robiąc serpentyny, gdy nadarzyła się okazja. Siedziałam w pustym pokoju i wykonywałam swą pracę jak najlepiej, starając się nie zwracać uwagi na wzbierające i wyciekające mleko. Z każdym dniem było go coraz mniej, wystarczająco jednak, bym wieczorem nie mogła podnieść rąk, bo piersi takie miałam ciężkie i obolałe.

W poniedziałki pomiędzy dziesiątą a dwunastą mogłam pójść i o niego zapytać. Przez pierwsze tygodnie samo stanie pod tymi wielkimi, dębowymi drzwiami wystarczyło, by przesiąkł mi stanik sukni, choćbym nie wiem ile szmat tam sobie włożyła.

Już sama świadomość, że gdzieś tam jest - mój maleńki skarb - że posapuje tam i grucha w tym koszmarnym miejscu, już sama ta świadomość wystarczyła, by wytrysnęło mleko. Całe szczęście miałam ze sobą chustę, w którą mogłam się owinać, by ukryć plamy, bo niekiedy musiałam czekać nawet godzinę, zanim ktoś się mną zajął.

Dziecko Z, tak go nazywali, szukając w wielkiej księdze. Przewracali strony tak powoli, że chciało mi się krzyczeć. No ileż mogło tam być dzieci?

- Dziecko Z ma się świetnie - mówili w końcu. Po czym wielkie drzwi znowu się otwierały, a ja wychodziłam.

Praca przy serpentynach kiedyś się skończyła, a mnie wyrzucono z mieszkania i znalazłam się w zapleśniałej suterenie na tyłach domków przy Conro Street. Tam od pewnego starucha, który mieszkał po drugiej stronie podwórza i ślinił się na mój widok, zdołałam się nauczyć naprawy parasoli.

Niegrzeczna Laura, tak na mnie mówił. Nie lubiłam go. Zawsze przychodził i napierał na mnie swoim starczym ciałem i cuchnącym oddechem. Mówiłam, żeby dał mi spokój - mówiłam poważnie - ale któregoś dnia przyszedł i łaskawie podarował mi dwa ze swoich zdobytych popsutych parasoli. Powiedział, że pokaże mi, jak z tych paru względnie dobrych drutów, które im zostały, zrobić niemal idealne schronienie przed deszczem.

Kiedy pracowaliśmy, opowiedział mi historię swego życia, długą i smutną, dokładnie taką, jakiej się można spodziewać, i niewiele różniącą się od innych, jakie tu można było usłyszeć.

- O rany, ależ jesteś niezwykły - skłamałam. - To znaczy, tak wiele przeżyłeś.

- Kocham cię, Lauro - wyznał wtedy, ocierając z zamglonego, starczego oka łzę. - Mam zupełnego bzika na twoim punkcie.

- Duby smalone - odpowiedziałam mu. - Stary piernik z ciebie i w głowie ci się poprzestawiało.

- Zgadza się - przyznał, chichocząc radośnie. - Oj, zgadza. Uwielbiał te moje przytyki, uwielbiał być rugany. Przez całe życie był samotny, tak samotny, że nikt go nawet nigdy nie zbeształ. Żaden bliski przyjaciel nigdy nie podśmiewał się z jego nadziei i marzeń, nigdy nie zaznał radości i smutków rodzinnego życia.

We mnie tymczasem rosły emocje. Przez cały czas myślałam: to łatwe, mogę być w tym naprawdę dobra, mogę ciężko pracować i zarobić na porządne życie. A potem z tego pomysłu zrodził się inny, ważniejszy. Że jak tylko uzbieram trochę pieniędzy i uporządkuję swoje życie, pójdę i odbiorę swoje dzieciątko.

Przyszłam po Dziecko Z, powiem im, wyciągając szerokim gestem batystową koszulkę, którą przez cały czas dla niego chowałam. (Och, wiem, że urósł. W moich myślach jednak skurczył się i był jeszcze mniejszy i delikatniejszy niż tamtego dnia, kiedy go oddałam.)

A oni zaraz mi go przyniosą i usłyszę radosny krzyk: „Mamusia!”, i dotknę jego buźki, i wezmę go w ramiona, przycisnę usta i nos do najśłodszej, najmiększej, najbardziej pachnącej części jego maleńkiej główki.

I będę szeptała, że tak bardzo go kocham, że nawet na moment przez cały ten czas nie przestałam, że już nigdy go nie opuszczę - i przeżywać będę cudowne katusze, mając go znowu przy sobie i doświadczając na nowo wszystkich tych uczuć, których jak mi się zdawało, wyrzekłam się raz na zawsze.

Kuchnia tonie w ciemności, nasycona cieniami. Świeczka, którą trzyma Billy, okropnie kopci. Ilekroć zamigocze, wraz z płomieniem wydają się poruszać ściany. Chcę zapalić lampę i mówię o tym Billy'emu, lecz on powstrzymuje mnie, mówiąc, że świeczka wystarczy.

- Lepiej, żeby nikt nie zobaczył światła w oknie - mówi, a ja wewnętrznie buntuję się wobec jego tonu - tak jakbym była małym dzieckiem, które chce się rozebrać do rosołu na środku ulicy.

- Przecież są okiennice.

- Mimo wszystko... Proszę, Lauro, wiem, co mówię.

Stawia świeczkę na długiej ławie i oboje wpatrujemy się w podłogę pośrodku pomieszczenia, gdzie oczywiście leży ciało.

Leży tam, gdzie je zostawiłam. Tam właśnie został. W tym samym miejscu, tak, to pewne - nie, nie poruszył się. Nie żebym się tego spodziewała, jestem pewna, że skończyłam z nim, wbijając pogrzebacz, ale od chwili gdy w pośpiechu opuściłam dom, zdaje mi się, że w ciągu tych kilku godzin minęło milion lat. Milion. Tyle łez i czekania. Wydaje się to zdumiewające, że wszystko jest tak samo, zdumiewające, że może to być tak prawdziwe - podłoga, a na niej ciało.

- Która godzina? - pytam Billy'ego.

- Nie mam pojęcia. Późna. A co?

- Nie mogę na niego patrzeć.

- Musisz, Lauro - mówi Billy. - Musimy go przenieść.

Tak więc kieruję swe oczy na Ewana i sycę je tym widokiem. Jest realny. Bardziej realny ode mnie, to pewne.

- O co chodzi? - pyta Billy.

- A o co pytasz?

- Tak dziwnie czasami wyglądasz, tak...

- To jasne, że wyglądam dziwnie, Billy, jestem bardzo zdenerwowana.

- Nie - mówi. - Wyglądałaś... przez moment wyglądałaś...

- Wpatruje się we mnie ze stężałą twarzą.

- Jak? - pytam. - No jak, Billy? Powiedz mi. Przestań mnie straszyć.

- Wyglądałaś, jakby cię tutaj tak naprawdę nie było... jakbyś była gdzieś indziej...

- Co też ty wygadujesz. Daj spokój, przestań się wygłupiać.

- Nie - mówi. - Widywałem to już wcześniej, wiesz, to znaczy... czasem wydajesz się taka...

- Jaka? - niecierpliwie się. - No jaka, na Boga, się wydaję?

- Nierealna - mówi, jakby wreszcie ostatecznie się zdecydował. A gdy to mówi, wargi ma takie obwisłe, brzydkie...

Parskam śmiechem. - Nie, mój drogi. To tutaj jest nierealne... to... jego widok tu, na podłodze... jak tak leży...

- Nie mogę uwierzyć, że to zrobiłaś - powtarza znów to, co mówi teraz przez cały czas. - Spójrz na niego.

Dopiero teraz pomimo mroku widać, ile krwi ma na twarzy, na szyi, na ramionach, tak że nie widać, co mu się właściwie stało i gdzie są umiejscowione rany. Zbyt wiele krwi zalewa mu oczy, by można było zobaczyć ich wyraz.

W powietrzu unosi się zapach - zapach krwi i czegoś jeszcze, ohydny, drażniący smród.

- Jezu Chryste - mówi Billy i odsuwa się nieco, zaś ja postępuję krok naprzód, bo już się nie boję.

Leży przekreślony lekko na bok z jedną ręką pod sobą, a drugą wyciągniętą, jakby po coś sięgał. Jest coś dziwnego w tej wyciągniętej ręce i teraz widzę nawet co. Jest za długa. Jakimś sposobem wyrwała się ze stawu. Czy to moje dzieło? Także jeden but leży tuż przy nodze, zaś drugi znalazł się aż obok stołu. Jakim cudem?

- Szarpaliśmy się - mówię, a dźwięk wdzierający się w zastygłą ciszę sprawia, że podskakuję.

- Co ty nie powiesz - odpowiada Billy, zaś jego głos w tej chwili brzmi tak rozczulająco delikatnie, że chciałoby się na nim złożyć głowę.

Każdy dźwięk wydaje się dziwny, nawet nasze oddechy, oddechy nas dwojga, gdy na niego patrzymy, zdają się pochodzić od kogoś innego.

Nagle nie mogę sobie przypomnieć, od jak dawna tu jesteśmy, i wpadam w popłoch.

- Czy my zakończyliśmy właśnie rozmowę? - pytam go.

- Słucham?

- Czy rozmawialiśmy, dosłownie przed chwilą, o tym, że jakby mnie tu naprawdę nie było. Powiedziałeś to?

- Nie - mówi Billy.

- Billy? - odzywam się głosem ściśniętym ze strachu, a on na mnie patrzy.

- Lauro, przestań. Nie rób tego.

- Ale rozmawialiśmy? - szepczę. - Pytam poważnie. Nie próbuję się tobą bawić. To znaczy... przed chwilą w głowie miałam taką naszą rozmowę.

- Zamilcz - mówi. - Nie mów mi nic o swojej głowie, nic nie chcę wiedzieć... Zobacz, czego narobiłaś. Ten koszmar mi wystarczy. Nic nie...

- A która godzina? - pytam.

- Późna. Już prawie świta. Mówiłem ci. Dlatego musimy coś wymyślić.

Czas mija, aż wreszcie:

- Popatrz na jego włosy - mówi Billy. - Ten kolor...

- Przecież wiedziałeś - przypomniałam mu. - Wiedziałeś, że ma rude włosy.

- Nie wiedziałem.

- Ależ jestem pewna, że mówiłam ci z milion razy.

- Nie, Lauro, nie wydaje mi się - obstaje przy swoim i cofa się znów o krok od Ewana i ode mnie.

Próbuję go dotknąć, chwycić za mankiet marynarki, ale odsuwa się i staje tak, by popatrzeć na ciało Ewana z innej strony.

- Wasze dzieci też miałyby takie włosy - zauważa, jakby wcale nie zamierzał przestać mówić o tym, co zobaczył. - Mielibyście drużynę rudzielców...

- Posłuchaj, Billy - mówię kategorycznie - Ewan i ja nie mamy żadnych dzieci. Czy możesz to sobie wreszcie wbić do tego durnego łba? Na litość boską, nie jestem nawet...

- Jaka? - pyta mnie ostrym tonem, gdy urwałam.

- Nie jestem typem matki.

- Nie - potwierdza z nagle obudzoną namiętnością. -  
Wiem o tym, Lauro.

- No więc co zrobimy? - zmieniam temat, bo nie mam zamiaru, nie chcę być przez niego straszona.

Pytam też dlatego, że chcę, by powiedział mi, jak się zachować. Szczerze mówiąc, gdybym mogła, zapytałabym o to Ewana. On zawsze wiedział, co robić.

- Dlaczego się uśmiechasz? - pyta mnie Billy z wyrzutem.

- Nie uśmiecham się.

- Uśmiechałaś... przed chwilą. Szczerzyłaś zęby jak jakaś dzdżira.

- To nerwy - mówię mu. - Nerwy. Nigdy nie widziałeś, żeby ktoś uśmiechał się nerwowo?

Zapada milczenie, a potem:

- Jak mogłaś to zrobić? - mówi cicho. - Nie wiem, co sobie myślałaś.

- Wydawało się, że nie mam innego wyjścia.

- Ale... to znaczy... nie mogę w to uwierzyć. Co ci przyszło do głowy? Jezu, Lauro, co z ciebie za człowiek?

- Taki, który jest w stanie znieść tylko ograniczoną ilość cierpienia - odrzekłam mu smutno. - Jestem zwyczajną kobietą, która została doprowadzona do takiego, nie innego stanu. A zresztą nie pytaj mnie, co ze mnie za człowiek, jeśli nie będziesz mógł znieść odpowiedzi.

Billy się trzęsie. Czuję to, chociaż wolałabym nie czuć.

- To niesprawiedliwe - stwierdza. - Popatrz, w co mnie wciągnęłaś. Czasami naprawdę wolałbym cię nie kochać, Lauro, mówię poważnie.

- To smutne.

- Wiem o tym. I ty to sprawiłaś. To, co zrobiłaś, jest smutne.

- Przykro mi. Naprawdę bardzo mi przykro, kochanie.



Bo to prawda. Jest mi szczerze przykro. Bo choć może się wydawać, iż świat jest bezdenne i nieskończony, to w rzeczywistości jest w stanie pomieścić tylko określoną liczbę ludzi.

I możesz sobie uciekać, ile chcesz, mogą cię zamknąć w ciemności. Ale kiedy już pomyślisz, że udało ci się złu wymknąć, ktoś kapitalnie się bawi, burząc wszystko - patrząc na zgryzotę i cierpienie, gdy pył osiadzie, i my, zbłąkane dusze, znajdujemy się wszystkie nawzajem na nowo.

Pierwsza parasolka, jaką zrobiłam, miała maleńkie, wąskie dziurki w batyście, ale dziadek pochwalił owoc mojego starania i powiedział, że to nie ma najmniejszego znaczenia.

- Posłuchaj - rzekł - w deszczowy dzień idź skoro świt, stań na Londyńskim Moście i pokaż parasol pierwszemu lepszemu dżentelmenowi spieszącemu do pracy w banku przy Threadneedle Street...

Tak mi marudził, bym to zrobiła, że w końcu poddałam się i któregoś ranka poszłam, tak jak mi poradził.

- Podaj jak najwyższą cenę! - podpowiedział, a ja posłuchałam i sprzedałam parasol bez trudu.

Świetnie! Zaczynała mi się podobać ta robota.

Poszłam więc do niego, by kupić kolejny szkielec, lecz tym razem nie chciał wziąć ode mnie pieniędzy i powiedział, że rozstanie się z nim tylko za całusa.

Ech, pomyślałam ze smutkiem, zawsze to samo.

- Wolę, być pomacał mi cycuszki - odpowiedziałam wesoło, ponieważ wargi jakoś tak wciąż były moje, zaś odkąd oddałam me dzieciątko, piersi zmieniły się w dwa smutne, bezużyteczne worki, przypominające mi tylko o bólu i stracie. Co mnie to obchodziło, co tam kto z nimi wyprawiał?

Dziadek obszedł się z nimi, jakby grał na jakimś instrumencie - ostrożnie, w skupieniu, zamykając zamglone starcze oczy, wodził po nich drżącymi palcami w górę i w dół,

i dookoła. Nazywał je swoimi koteczkami, swoimi najdroższymi, swymi kochaneczkami.

A ja prawie nic nie czułam. Był nad wyraz delikatny i nieśmiały, bo nie mógł uwierzyć we własne szczęście, że ktoś pozwolił mu na coś takiego. Po jakichś trzech minutach powiedziałam, że wystarczy, a on poszedł po parasol.

- Skąd je bierzesz?

- Ha! - odpowiedział, bo rzecz jasna nie zamierzał mi tego zdradzić.

Podniosłam i sprawdziłam mechanizm. Był to dosyć sfatygowany egzemplarz, ale kilka drutów pozostało nienaruszonych, no i miał całkiem przyzwoitą rączkę.

Problem polegał na tym, że dziadek zaczął dostrzegać, iż jestem lepsza w naprawie parasoli od niego. Miałam zręczniejsze palce no i znacznie lepsze warunki, gdy przyszło do sprzedaży. Gdy zaproponował, byśmy połączyli siły, powiedziałam „nie, wielkie dzięki” i choć nazwał mnie niewdzięczną i próbował odebrać narzędzia, miałam to w nosie. Bo zdążyłam już wtedy znaleźć sposób na to, jak ten interes rozkręcić.

Wzdłuż rzeki, jeśli szło się dostatecznie długo i dostatecznie uważnie patrzyło, pośród sprężyn z łóżek i potłuczonych butelek można było wypatrzyć części parasoli - druty i mechanizmy porzucone przez tych, których stać było na pozbywanie się dobytku.

Niekiedy pokonywałam wiele kilometrów błotnistego brzegu, aż zabudowa rzedła, podobnie jak nieprzyjemne zapachy, i miałam przed sobą tylko purpurowe pola i przyprawiające o zawrót głowy bezkresne, szare niebo. Latem w gorącym, suchym wietrze zbierałam, dopóki nie zaczęły piec mnie policzki. Zimą zmuszałam się do powrotu, zanim spowił mnie lodowaty zmierzch.

A czasami, gdy nie padał deszcz i parasolowy interes się nie kręcił, brałam się za robienie piwa korzennego. Nie mając własnego rondla, musiałam improwizować, i tak oto wpadłam na genialny pomysł, by zamiast w rondlu, prażyć imbir, goździki, cukier i cytryny w miedzianym kociołku, w którym dziadek i pani Blebs gotowali swe brudne ubrania.

Jeśli odczekało się, aż brudy wypłyną na powierzchnię, można je było odcedzić, a zresztą kto by to zauważył, gdyby na dnie znalazło się trochę paprochów i piachu? A kiedy już piwo zostało przelane do butelek i schłodzone, w upalną pogodę byłam w stanie wyciągnąć nawet osiemnaście szylingów na dzień.

Billy przez cały czas miał coś do powiedzenia, więc spytałam go, co chce najpierw - ściągnąć ciuchy czy gadać?

- Słucham? - rzekł.

- Wiesz, Elsie wraca o czwartej. Więc kwadrans przed musimy być gotowi, żeby chwilę potem wyjść.

- Ach tak. No to chyba ściągaj ciuchy.

- Twój głos nie brzmi zbyt pewnie.

- Ściągaj ciuchy - powtórzył.

- Ty, ojciec rodziny - droczyłam się z nim, siadając na mizernym łóżku Elsie i rozpinając guziki - zaskakujesz mnie.

- Sam siebie zaskakuję - przyznał dosyć trzeźwo, dodając:

- Ale po to tutaj przyszliśmy, nieprawdaż?

- Po co? - spytałam. - Po zaskoczenie?

- Nie - odrzekł. - Żeby... żeby się zobaczyć i być razem.

- No nie wiem - powiedziałam, gdyż nie zadawałam sobie tego pytania ani, szczerze mówiąc, żadnych innych.

Rozpinając bluzkę, myślałam jedynie o tym, jaki jest drobny i jak zaraz będziemy się kochać, choć zupełnie nie mogłam sobie tego wyobrazić.

Siedziałam i zabierałam się właśnie za dolną część swego stroju, za guziki, haftki i co tam jeszcze. To była żmudna

praca. Nosilaam teraz ubrania prawdziwej damy z caaym mnóstwem zapięć, chociaa wydawało mi się, że tak niewiele czasu minęło, odkąd snulaam się błotnistym brzegiem rzeki, bosa, bez pończoch, w jedynej parze łopoczających mi na udach tanich majtek.

- Co takiego? - rzekł nagle, a ja podniosłaam wzrok.

- Nic nie mówiłaam...

- Ale o czym myślałaś?

- Cóż, myślałaam o tym, że dopiero od niedawna noszę takie ubrania, takie porządne, wiesz? I jakie to dziwne, że tak bardzo się do nich przyzwyczaiłaam. Chyba nie mogłabym powrócić do nędznego odzienia, już nie, po prostu bym nie mogła.

- A kiedy byłaś dzieckiem? - spytał.

- Och - uśmiechnęłaam się. - Wtedy miałaam najlepsze ubrania z możliwych. Mój ojciec już o to zadbał. Byłaam najlepiej ubraną dziewczynką i dosyć chyba zepsuta, z pogardą patrzącą na biedniejsze dzieci na ulicy...

Spojrzał na mnie w tej chwili, a ja zrozumiałaam swój nietakt.

- Nie, żeby twoje ubranie było takie złe - dodałaam, przyglądając się jego poplamionej kamizelce i połatanej wełnianej marynarce kupionej pewnie od ulicznego handlarza.

- Przepraszam, Billy, pewnie myślisz, że strasznie jestem nadęta. Naprawdę nie chciałaam się wywyższać...

Roześmiał się, lecz po chwili jego twarz spoważniała.

- Przecież i tak prawie zawsze chodzisz w tym samym - zauważył.

Spojrzałaam na niego.

- Bo tak jest, nieprawdaż? - stwierdził rzeczowo. - Nie wątpię, że posiadasz mnóstwo pięknych strojów. Ale zawsze, gdy cię widzę, masz na sobie to samo.

- Nieprawda! - zawołałaam.

- Lauro - uśmiechnął się. - W porządku. Nie obraż się, ale sama wiesz, że tak jest...

Próbowałam wzruszyć ramionami. - Przecież są czyste, prawda? - powiedziałam, bo bez wątpienia takie były.

- To nie ma znaczenia - rzekł. - Spójrz... ten zielony żakiet, na przykład. Ten sam miałaś na sobie, kiedy wyciągnąłem cię z rzeki...

Policzki mi zapłonęły. - Jak to możliwe? Policjanci włożyli moje rzeczy do papierowej torby, ale Ewan chyba wszystko wyrzucił i bardzo słusznie, bo tak cuchnęły...

- Może masz takich więcej?

- Może - odrzekłam niepewnie.

- Już dobrze, to nie ma żadnego znaczenia - zapewnił mnie z uśmiechem.

Widząc zaś, że też rozpina guziki, zdałam sobie sprawę, jak bardzo pragnę zobaczyć go takim, jak go Pan Bóg stworzył.

Kiedy wyswobodziłam się częściowo z halek, spytałam, czy się nie boi.

- Co masz na myśli? - spytał.

- Każdy się boi. Więc ty pewnie też.

Zwiesił ręce wzdłuż boków. - Nie wiem, o czym mówisz.

- Billy - rzekłam, śmiejąc się nieco wbrew powadze sytuacji. - Nie boisz się mojej... tego, co zobaczysz?

Uśmiechnął się wtedy i podszedł do mnie. - Hmm - mruknął. - A co zobaczę?

Zdjął marynarkę i koszulę, a jego sutki były jak małe ciemne plamki na piersi prawie wcale nie porośniętej, z paroma dosłownie kłaczkami, które w zasadzie się nie liczyły.

Myślałam, że będzie bardziej owłosiony, lecz zapomniałam chyba, jaki jest młody, dziecko jeszcze, tak idealnie ukształtowane, tak słodkie i kochane. Chciałam tylko

wziąć go w ramiona i przytulić, gładzić go i nie wypuszczać. W tej chwili pragnęłam tego jak niczego innego na świecie.

- Dlaczego miałbym się bać? - spytał, a twarz miał tak szczerą i otwartą, że chciało się go z miejsca pocałować. - Co to za powód do strachu, Lauro?

- Twoja mama musi być z ciebie bardzo dumna - wypaliłam, bo nie mogłam się powstrzymać, zalała mnie taka fala czułości.

- Dlaczego ty to zrobiłaś? - odezwał się nagle tak szorstko, że pożałowałam, iż nie trzymałam buzi na kłódkę.

- Niby co?

- Wspomniałaś o mojej mamie.

- Cóż... - zwątpiłam - pomyślałam...

- Nigdy jej nie miałem - oznajmił stanowczym głosem.

- Słucham? - zapatrzyłam się w niego. - Ależ to nieprawda...

- Skąd wiesz? - spytał. - Wychowałem się w ochronce. Chwyciłam się prawą dłonią za lewą i ciągnęłam za palce, próbując ukryć szok.

- I co? Wiesz, jak tam jest? - dodał.

- Owszem, słyszałam.

Odwrócił wzrok ku połatanemu i odrapanemu oknu Elsie, przez które nieśmiało usiłowało zajrzeć popołudniowe słońce.

- Przykro mi - powiedziałam.

Uśmiechnął się. - Niepotrzebnie. Było całkiem w porządku, starają się tam, jak mogą, i nigdy mi niczego nie brakowało. Trzeba mieć szczęście, żeby się tam znaleźć, bo każdy chce tam oddać swoje dziecko. To sprawnie zarządzane miejsce, byłem nawet karmiony piersią...

Przygryzłam wargę. - Nie!

Roześmiał się. - Nie patrz z takim przerażeniem. Wszystko jest bardzo dobrze zorganizowane. Takie dziecko jest wysyłane na wieś - byłem tam do ukończenia trzech lat.

Nie mogę jej sobie dobrze przypomnieć, tej miłej, wiecznie zasapanej kobiety o dużej twarzy. Wydawała się stara, choć naprawdę wcale stara być nie mogła. Zawsze chodziła wstawiona. I otoczona przez zgraję psów.

- Gdzie to było? - spytałam.

- Oj, nie wiem. Nigdy tak naprawdę się nad tym nie zastanawiałem. Może w Essex, gdzieś tam...

- A czy wiesz, kim była twoja mama? Zmarszczył brwi. - Niby skąd?

- Nigdy po ciebie nie przyszła?

Pokręcił głową. - Po co miałyby przyjść? Zazwyczaj nie przychodzą... przeważnie nie chcą, no wiesz...

Płakałam. Nie miałam takiego zamiaru, lecz płakałam. Billy wydawał się bardzo zaskoczony, jak gdyby nigdy nie pomyślał, że jego opowieść może wywołać łzy. Zdjął jedną z mojego policzka i patrzył, jak wisi na czubku palca.

- Tak mi przykro - wyszeptałam. - Nigdy bym tak nie pomyślała...

- Ech - powiedział, patrząc, jak moja łza ginie pomiędzy jego palcem wskazującym a kciukiem. - W porządku, nie było tak źle, jak ci się wydaje... Naprawdę? Nie pomyślałabyś? Dlaczego?

- Nie wiem. Ale tak bym nie pomyślała. Wydajesz się taki... no wiesz...

Czekał.

- Tak dobrze wychowany - powiedziałam w końcu. Odrzucił w tył głowę i zaśmiał się, lecz zauważyłam, że kąciuki ust wciąż mu opadają. Tak bardzo chciałam jakoś go rozweselić.

- Za dużo gadamy - orzekł. - Myślałem, że mamy ściągać ciuchy?

- No tak.

- Jesteś za bardzo zdenerwowana? Żeby to teraz zrobić?

Rozpromieniłam się. - Odsłonię ją - powiedziałam mu, pamiętając, że wszystkie haftki i troczki mam poluzowane. - Nie uważasz, że tak będzie najlepiej? Będziesz mógł popatrzeć tak długo, jak sam będziesz chciał. W porządku... ostatecznie to tylko ciało... I nie musisz dotykać, jeśli nie chcesz.

Billy przerwał wszystko i spojrzał na mnie. Wydawał się niemal zrozpaczony. - Lauro... - zaczął.

- Żeby mieć to z głowy - wyjaśniłam, starając się, by mój głos brzmiał spokojnie i pogodnie.

- Lauro - powtórzył, po raz pierwszy w życiu obejmując mnie ramionami. - Proszę. Już dobrze, proszę, przestań...

Przestałam. Zamknęłam oczy i chłonełam jego bliskość. Usłyszałam walące tuż przy moim uchu jego serce. Pomyślałam, że jeśli teraz umrę, jeśli okaże się to punktem kulminacyjnym mego życia, to będę szczęśliwa.

Wtedy się odezwał. - Nie musisz tego robić. Nie musisz wszystkiego z siebie ściągać - powiedział delikatnie i poczułam jego dłoń na swoich włosach, poczułam, jak tuli moją głowę.

- Ale...

- Uspokój się, dobrze? Próbujesz wszystko przyspieszyć. Możemy tylko na siebie popatrzeć, czyż nie? Nieważne, że mamy mało czasu... umówimy się na następny raz. Teraz chcę jedynie z tobą pobyc. Naprawdę, tylko po to przyszedłem.

- To niewiele jak na mężczyznę - stwierdziłam nie bez złości, choć wciąż oplatały mnie jego ramiona.

Roześmiał się. - Bo i ty nie do końca przypominasz kobietę.

- Słucham? - W ogóle go nie zrozumiałam.

- Mam na myśli to, że nie czuję się tak jak zazwyczaj.

- Zazwyczaj?

- Z innymi kobietami.



- Ach tak - rzekłam zawiedziona. - Zatem są inne kobiety? To znaczy, poza twoją żoną?

Puścił moją głowę i odsunął się, dłonie zatrzymując na moich ramionach. Wydawał się zakłopotany, lecz nie spuszczał ze mnie wzroku.

- Czasami - odrzekł - z jakąś się spotkałem. Od czasu do czasu mi się to zdarza. Nie za często, jeśli chcesz znać prawdę.

- Oczywiście, że chcę - krzyknęłam. - Chcę znać prawdę, Billy!

- A ja ci ją daję, czyż nie? - powiedział spokojnie, a nasze palce odnalazły się i splotły mocno. - Nie okłamałbym cię, Lauro.

- Jestem dla ciebie za stara - stwierdziłam. - O to chodzi. Nie musisz w tej sprawie kłamać, wiesz...

- Nie - zaprzeczył Billy. - Nie, nie, nie! Wszystko przeinaczyłaś. To jest... cóż... tym razem to coś innego...

Puścił mnie, po czym odszedł na bok i wziął sfatygowane krzesło, usiadł na nim, szeroko rozstawiając nogi, i wyciągnął tytoń. Miał specyficzny sposób skręcania papierosów, zawsze ze zwieszoną głową. Nagle odłożył woreczek z tytoniem i wcisnął w oczy ręce u nasady dłoni, jakby ze wszystkich sił starał się powstrzymać od płaczu.

Po chwili spojrzął na mnie. - Nie chodzi o ciebie - odezwał się wreszcie.

Siedziałam na łóżku i przyglądałam mu się. Moje palce już za nim tęskniły, zdawały mi się jak nie moje, smutne i zimne.

- Żywię wobec ciebie niezwykle uczucia - wyznałam, po czym zrobiłam głośny i długi wydech. Miałam wrażenie, że to pierwsze prawdziwe słowa, jakie wypowiedziałam, co dziwne, gdyż bardzo mi zależało i naprawdę bardzo się starałam.

Uśmiechnął się. - Ja też... to samo czuję wobec ciebie.

Roześmiałam się. Nie wiedziałam, co powiedzieć. Popatrzył na mnie, a ja na niego, po czym roześmiałam się znowu, zaś on spuścił wzrok. Po chwili już oboje śmialiśmy się, lecz ja pilnowałam się, by wzroku nie spuszczać. Czułam się pewnie, gotowa byłam rzucić wyzwanie. Po chwili on rzekł:

- No to ją obejrzymy.
- Przecież nie chcesz.
- Owszem, chcę.

W milczeniu zadarłam halkę, rozwiązałam gorset i długie majtki. Palce tak bardzo mi drżały, że zaplątałam tasiemkę w supeł i musiałam szarpać paznokciami, by ją rozwiązać.

Wreszcie zsunęłam bieliznę po udach i obnażyłam jedną długą nogę i jedną skróconą do kikuta, zdeformowaną i bezwładną. Ciało było pomarszczone i grudkowate w miejscu, gdzie Ewan założył szew, a tam, gdzie skóra napinała się najmocniej, widać było śmieszne, błyszczące zygzaki.

- Widzisz? - rzekłam, wyciągając ku niemu swą zdrową i zgrabną nogę - kiedyś szczyciłam się parą całkiem niezłych kończyn...

Billy patrzył, lecz nie ruszył się z miejsca. Zapalił zapalną, od niej papierosa, przez cały czas nie spuszczał ze mnie oka.

- Dlaczego mi to pokazujesz? - spytał w końcu. Próbowałam znaleźć odpowiedź. - Nie chcę, żeby to nas dzieliło - odrzekłam, lecz gdy słowa wybrzmiały, od razu wiedziałam, że to kłamstwo.

Prawdziwa odpowiedź była znacznie bardziej nieuchwytna. Żyłam z tym sama tak długo - czyżby chodziło o to? Czy potrzebowałam towarzysza w swoim poczuciu straty?

- Czy to boli? - spytał.

- Nie, dopóki nie założę protezy. Wtedy, możesz mi wierzyć, boli jak diabli.

Popatrzył zaskoczony. - Myślałem, że nie masz protezy?  
Nigdy cię z nią nie widziałem.

- Och, Ewan zmusza mnie, żebym próbowała ją nosić. Twierdzi, że da mi to więcej swobody i takie tam. Ale ja tego nie lubię, przynajmniej nie za często. Jest taka nieporęczna i strasznie obciera.

- Nie dziwię się - rzekł B., zapatrzony.

- Mam z nią chodzić po ogrodzie. Gdzie nikt mnie nie zobaczy, nawet nasza służąca, wyobrażasz sobie? Ale mnie się nie chce. Może wcale nie chcę czuć się swobodniej. Może wolę sobie kuśtykać...

- A wolisz?

Zastanowiłam się. - W jakimś sensie chyba tak.

Patrząc na mnie, pokręcił głową. Wypuścił dym. Już od samego patrzenia na niego robiło mi się ciepło w trzewiach i zdałam sobie sprawę, że chcę, aby mnie dotknął.

- Dotknij - powiedziałam.

A gdy zrozumiał, że mówię poważnie, podszedł, klęknął przede mną i przesunął swą dużą, brązową dłoń po pofałdowanej gładkości, po tej części mnie, którą Ewan odpiłował i zaszył. Po tym moim kikucie, którego nikt nigdy nie oglądał.

Z uwagą przyglądałam się jego twarzy.

- W dotyku całkiem przyjemna - orzekł, po czym wziął papieros w zęby i położył na niej obie dłonie, obie dłonie na mnie. - Jakbym macał...

Czekałam, a on się uśmiechnął.

- Jakbym macał pupę - powiedział. Parsknęłam śmiechem.

- Nie - rzekł. - No naprawdę.

- Nie chciałbyś teraz pomacać tej drugiej? - spytałam, bo tak bardzo podobał mi się dotyk jego rąk na moim ciele.

- Wszystko w swoim czasie - odparł. - Na razie rozkoszuję się tą tutaj.

I cały czas z jedną dłonią na moim kikutie podniósł się i usiadł na łóżku koło mnie, drugą ręką gładząc mój policzek, nos, moje zmęczone, spieczone usta.

Wreszcie zbliżył do siebie mą twarz i pocałował mnie, bardzo delikatnie, tak delikatnie, że nie byłam pewna, czy w ogóle to zrobił, a jednocześnie czułam ów pocałunek całą sobą, każdą najdrobniejszą, nieodkrytą jeszcze cząstką mojego jestestwa.

- Jesteś taka ładna - powiedział.

- Ty też.

- Nie, ty jesteś ładniejsza...

- Nie, bo ty...

- Nie, bo ty...

I tak to szło, kiedy siedzieliśmy i całowaliśmy się bez końca, aż wargi straciły czucie i ogarnęło mnie wrażenie, jakby wszystko zamarzło, zatrzymało się, znieruchomiło. Myśl ta wysłała mi powietrze z płuc, tak że musiałam przestać. Westchnęłam głośno.

- Co się stało? - spytał, gdy oderwałam wargi od jego ust i zaczęłam rozglądać się w popłochu.

- Nic - odparłam z dreszczem.

I natychmiast zbliżyłam z powrotem twarz do jego twarzy.

Krew

Billy snuje tyle planów i ma tyle pomysłów, że twarz mu promienieje. Ale jest też przy tym dosyć wstawiony, dlatego zaczynają zakradać się cienie i mieszać w głowach nam obojgu.

Mówi, że musimy wynieść ciało z domu.

Mówi, że powinniśmy nawet pomyśleć, czy nie wyjść w środku nocy i nie zostawić Ewana w takim stanie, z rozbitą głową i zakrwawionego, w jakimś rynsztoku czy zaułku w innej części miasta. Znamienity chirurg napadnięty o zmroku. Ciosy, krzyki, opróżnione kieszenie. Sprawcy nieznani - cóż, brzmi to prawdopodobnie i kusząco.

- Tylko jak go tam przeniesiemy? - chcę wiedzieć. - Wpakujemy zakrwawione zwłoki do tramwaju czy co? Na Boga, Billy, myśl realnie...

- Jeśli go tutaj zostawimy - mówi powoli Billy, zapragnąwszy nagle odegrać wielkiego detektywa - będą chcieli się dowiedzieć, co robiłaś, Lauro. Wiesz przecież. Będziesz pierwszą osobą, jakiej się dokładnie przyjrzą.

- Ale... przecież każdy mógł wejść...

Wzdycha. - Nie ma śladów włamania. Zastanów się, Lauro. Poza nim jesteś jedyną osobą, która posiada klucz.

- Moglibyśmy sprawić, żeby drzwi wyglądały na wyłamane. Moglibyśmy rozwalić zamek.

Billy kręci głową. - Nigdy nie zrobilibyśmy tego dostatecznie dobrze. Uwierz mi, Lauro, już oni się znają na tych sakramenckich zamkach, zaraz by do nas dotarli.

- Ale popatrz na te urazy - mówię mu. - Kości czoła w zasadzie nie ma, a to, co było wypukłe, jest całkiem płaskie...

- To czaszka - wtrąca się Billy znużonym tonem, jakby myślał, że ja, żona chirurga, nie znam tej nazwy. - Ma roztrzaskaną czaszkę.

- Tak, wiem, że to czaszka, Billy, bardzo ci dziękuję. Chodzi mi o to, że na pewno nikomu nie przyjdzie do głowy, by mogła to zrobić kobieta... nie mam racji? Czaszkę ma pękniętą co najmniej w dwóch miejscach, a to jasne coś - jestem pewna, że to mózg - całkiem mu wypłynęło. Spójrz na mnie, czy kaleka taka jak ja byłaby w stanie zrobić coś podobnego?

Billy zdaje się nad tym zastanawiać. - Lepiej by było, gdybyś tego nie zrobiła - stwierdza mało pomocnie.

- Billy - mówię, zgrzytając zębami, bo zaczyna mnie już doprowadzać do ostateczności. - Stało się, zrobiłam to i już. Zechcesz, proszę, przyjąć to wreszcie do wiadomości?

- Tygrysica z ciebie - ciągnie Billy bardzo niskim głosem, jak w transie. - Popatrz tylko...

Całuje mnie, lecz jest dosyć pijany i w pocałunku tym jest tęsknota i przerażenie.

Od moich warg próbuje przenieść się wprost do butelki z dżinem Ewana, ale mu nie daje.

- Masz już dość - mówię, mocno zdenerwowana i zła.

Góra mojego gorsetu tonie w pocie. Jesteśmy z powrotem w salonie, a nie ośmieliliśmy się jeszcze choćby dotknąć ciała.

- Bardzo trudno będzie go przenieść - mówię. - Pomyśl tylko. Nie jest przecież... kompletny...

Billy wybuchają śmiechem. - Podoba mi się! Kompletny. Nie, no bardzo ładnie to ujęłaś. - Taka jest prawda.

- Kompletny! Ha!

- Billy, daj spokój. Pomyśl logicznie.

- To żaden problem, Lauro. Można go w coś zawinąć. Jakoś go...

- Milknie.

- Och! - wykrzykuję zniecierpliwiona. - Według mnie najlepiej byłoby zostawić nieszczęśnika tutaj i uciec, jak mówiłam, Bill, tylko nas dwoje, do Francji. Zastanów się, co

za ulga... Nie wierzę, że wyruszyliby tam za nami, a poza tym...

Billy milczy i nie pala takim entuzjazmem, jaki chciałabym u niego widzieć.

- No, dlaczego nie możemy zwyczajnie wyjechać - upieram się.

- Pociągiem do Folkestone, a stamtąd pierwszym statkiem...

- Moje dzieci - odzywa się Billy niemrawo. - Zapominasz o moich dzieciach.

Prycham tylko rozdrażniona i zdesperowana i patrzę na niego.

- Nie mogę tak po prostu ich zostawić - mówi.

- Te twoje nieszczęsne dzieci.

- Tak, moje nieszczęsne dzieci, a te twoje? - wykrzykuje.

Spoglądam na jego zgorzkniałą twarz i aż mnie w środku skręca.

Wydaje jakiś odgłos bóleści i podchodzi do mnie, a ja biorę go w ramiona, tulę do siebie jego głowę i zatapiam twarz we włosach, które pachną wcale nie rzeką, ale świeżym powietrzem i błękitnym niebem.

W moich objęciach płacze.

Płacze, a mimo to stara się usilnie sięgnąć w dół i zadrzeć mi spódnice - taki jest pijany. Daję mu w twarz.

- Na litość boską, Billy - mówię i wtedy mi się przypomina. - Puść mnie... proszę... muszę do łazienki...

- To ty - szepcze za mną, gdy wychodzę z pokoju. - To wszystko przez ciebie, ty zakłóciłaś mój spokój...

Chyba słyszę, jak szlocha, lecz może to być dźwięk, który rozbrzmiewa mi teraz w uszach bez przerwy - ciągły płacz, jakby ktoś zostawił gdzieś malutkie dziecko.

Opuszczam pokój i przechodzę przez hol, gdzie kapelusz i płaszcz Ewana wciąż wiszą na Wieszaku zupełnie nierealne -

łupina człowieka, który ni to jest, ni to go już nie ma. W małej garderobie przy korytarzu sprawdzam bieliznę. Krwawienie, które wystąpiło, gdy go zabijałam, teraz ustało, pozostawiając po sobie tylko małą, suchą, brązową plamkę. Próbuję obliczyć, który to dzień, ale jestem w takim stanie, że gubię się w rachunkach. Tak czy owak jestem pewna, że to ten czas, więc zostawiam podkładkę, tak na wszelki wypadek.

Z powrotem w salonie zastaję Billy'ego z papierosem, z nogami na osłonie przed kominkiem, całkiem nieźle udającego osobę pogrążoną w poważnych rozmyślaniach.

- W porządku? - pyta, a ja z ulgą stwierdzam, że się pozbierał. A zatem szloch nie pochodził od niego.

Kiwam głową, biorę go za wolną rękę i ściskam w mojej. Czuję, jak w tym moim uścisku nieco się rozluźnia.

- Jest pewien szkopuł w naszym planie z porzuceniem na ulicy - wyjaśniam. - Poważny szkopuł, który właśnie sobie uświadomiłam. Co z jego płaszczem i kapeluszem? Miałyby je przecież na sobie, na pewno by bez nich nie wyszedł, a teraz, w obecnym stanie nie zdołamy mu ich założyć.

- Z powodu jego niekompletności? - mówi Billy i wybucha śmiechem.

Kiwam głową, lecz wcale mi nie do śmiechu. - Dlatego musimy uciekać. - Serce mi przyspiesza, znowu popadam w panikę. - Musimy wydostać się z kraju, zanim zdążą przyjść i go znaleźć

- Nie - mówi Billy powoli, a ja tak się cieszę, widząc, że do jego oczu powraca światło. - Przestań, Lauro. Przestań mnie poganiać. Zaczekaj. Mam plan. Jak się tak zastanowić, to jedyny plan - tak oczywisty, jakby go opisali w którejś z tych twoich skubanych książek... No, posłuchaj tylko...

- To może podpowiedz mi coś - mówię uradowana, że wreszcie wczuł się w sytuację. - Z czym się ten twój plan wiąże?



- Hm, wiąże się z rzeką.
- Wszystko wiąże się z rzeką...
- Cóż...
- Koniec końców, mój drogi, wszystko prowadzi do rzeki.
- Ćśś, bądź cicho, Lauro. Posłuchaj wreszcie.

I obejmuje mnie ramieniem, i całuje moje ucho, dopóki nie zmrozi mi rąk, na których stają mi dęba wszystkie włoski. I dysząc tak blisko, że zaczynam drzeć na całym ciele, zaczyna mówić, na czym polega jego plan.

Ewan dogonił mnie, pojawiając się po drugiej stronie ulicy, gdy nie bez wysiłku oddalałam się od szpitala.

Lało jak z cebra, a ja po raz pierwszy szłam o kulach, które mi dali, odkrywając, jakie są koszmarnie nieporęczne, trudne w obsłudze i denerwujące. Szczerze mówiąc, trudno mi było w ogóle utrzymać na nich równowagę, a świat wydawał się na niewłaściwym poziomie, tak jakbym to ja cała została odcięta w jakimś istotnym dla życia miejscu, a nie tylko moja noga.

Robiłam kilka kroków w lejącym deszczu, przystawałam i szłam znowu. Korciło mnie, żeby rzucić kule, bo miałam wrażenie, że łatwiej byłoby po prostu się poddać i skakać na jednej nodze jak dziecko. Jednak w ten sposób też za daleko bym nie dotarła, a poza tym odczuwałam dziwne zmęczenie i ból całego ciała wywołane długim leżeniem w szpitalnym łóżku.

Przez wilgoć we włosach i ubraniu było mi zimno, a okryć się mogłam jedynie cienką chustą, którą miałam ze sobą, gdy zostałam przejechana.

Wszystko, co działo się wokół mnie, miało związek z pogodą. Z jakiegoś wozu spadła bela słomy, której kępki płynęły teraz rynsztokami, zatykając je. Część ulicy tonęła po kostki w wodzie. Ludzie krzyczeli, a jakiś człowiek próbował przetkać odpływ rączką patelni czy czymś takim.

Żałowałam, że nie mogę po prostu rozpuścić się w tym rynsztoku, że nie mogę zniknąć, niesiona przez bystrą wodę jak ta cieniutka słomka.

Ewan miał duży, czarny, męski parasol, który trzymał wysoko nad głową. Musiał iść bardzo szybko albo nawet podbiec, bo choć sama posuwałam się wprawdzie bardzo powoli, to zdawało się, że w jednej chwili ulica była pusta, a już w następnej on tam stał, czerwony na twarzy bardziej, niż przy tej barwie włosów mu wypadało, jedną ręką otulając się płaszczem, a drugą usiłując zapanować nad parasolem.

Wpatrywałam się w niego w takim szoku i poczuciu winy, jakbym zwabiła go, by wyszedł za mną, co oczywiście wcale nie miało miejsca. Niezależnie od wszystkiego, co wydarzyło się później, nie polowałam na niego ani też w tamtym czasie - i przez długi czas później - źle mu nie życzyłam.

Nie pomyślałam nawet, że jeszcze go kiedyś zobaczę, i wcale mi na tym nie zależało. Niczego od niego nie chciałam, a już z pewnością nie czułam się do niego w żaden sposób uprzedzona. I owszem, przykro mi było, że odjął mi nogę, lecz postrzegałam to tylko jako jego pracę, nie chowałam urazy i absolutnie nie winiałam go za żadną z poniesionych przeze mnie strat.

Jeśli jednak byłam poruszona tym, że go zobaczyłam, to jeszcze bardziej poruszony był on faktem, że mnie znalazł. Czekał niespokojnie, aż przejedzie dorożka, po czym nie zauważając nawet zamieszania i potopu po drugiej stronie ulicy, przeszedł przez jezdnię i podszedł do mnie, ani na moment nie odrywając oczu od miejsca, gdzie stałam.

- Wszystko w porządku, nie patrz tak lękliwie - powiedział, łapiąc mnie za rękę. - To tylko ja... spójrz, jak przemokłaś... chciałem jedynie...

- Co takiego? - rzekłam, a on tak się we mnie zapatrzył, że nie miałam pojęcia, co powiedzieć. Nie umiałam znaleźć

słów, które pasowałyby do jego przepełnionej emocjami, poruszonej twarzy. - Nie przeszkadza mi deszcz - powiedziałam cicho, bo wcale nie podobał mi się ten wielki, ciemny grzyb, który koniecznie próbował nade mną zawiesić.

- Nie pożegnałem się - rzekł niepewnie. - Nie przyszłaś się ze mną zobaczyć, a obiecałaś. Mówiłaś, że przyjdiesz, a ja tak chciałem... Nie jest ci zimno, Lauro? Spójrz tylko na siebie...

- Kazali mi odejść - powiedziałam.

- Cóż, nie powinni byli, prawda? Nie w taką ulewę.

- Cóż - przedrzeźniłam go - jednak to zrobili, jak widzisz. Powiedzieli, że zostałam wypisana. Szczerze mówiąc, nie wydaje mi się, by szczególnie przejmowali się pogodą...

Zdawało mu się, że to żart, który skwitował uśmiechem.

- Zresztą deszcz mi nie przeszkadza - powtórzyłam.

Przez dłuższą chwilę nie odzywaliśmy się, tylko stroiliśmy miny, gdy uszy wypełniał nam dźwięk lejącego deszczu. Aż wreszcie:

- I jak sobie radzisz? - spytał mnie, pokazując kule.

- Fatalnie.

- W nic cię nie zaopatrzyli?

- A co masz na myśli?

- Protezę. Powinnaś zacząć ją nosić. Prędzej czy później, choć im wcześniej, tym lepiej.

- Co, drewniana noga? - prychnęłam pogardliwie. - O nie, wielkie dzięki. Mowy nie ma, nie będę z czymś takim chodzić...

Ewan uśmiechnął się wtedy do mnie całkiem przyjaźnie, a ja, rozdrażniona, próbowałam odwrócić wzrok, lecz nie byłam w stanie. Jego oczy były takie błękitne i zapatrzone.

- O co chodzi? - spytałam. - Dlaczego przez cały czas tak się we mnie wpatrujesz?

- Jesteś niezwykle bezpośrednia - zauważył - jak na tak miłą kobietę. Skąd bierzesz do tego odwagę?

- Nie mam nic do stracenia - odrzekłam zgodnie z prawdą. I ziewnęłam.

- Jesteś znudzona?

- Niezupełnie.

- Zmęczona?

- Może.

- A zatem chodź ze mną - powiedział, biorąc mnie pod rękę z wyraźną troską. - Pójdziemy do najlepszej, najprzyjemniejszej gospody, jaką uda nam się znaleźć, i czegoś się napijemy. Piwa czy czego tylko będziesz chciała. Pozwolisz? Pójdiesz ze mną?

- Skoro tego chcesz.

- Nie wydajesz się przekonana.

- Nie mam nic do stracenia - powiedziałam znowu.

- Lauro - rzekł i dotknął mego ramienia, prowadząc mnie w sobie znanym kierunku - chcę sprawić, byś poczuła się lepiej, nie gorzej.

- Ach tak, to dobrze.

A więc rzecz wyglądała tak. Miałam czternaście lat. Było ciemno i późno. Oczywiście nie powinnam była z nim jechać. Sama jestem sobie winna.

Nie zadał mi żadnych ran. Myślę, że i tak mi się upiekło. Był ubrany jak dżentelmen, dlatego gdy chwycił mnie za łokieć i zaproponował podwiezienie jednokonką, rzecz jasna się zgodziłam.

Cóż, to oczywiste. Było późno, zimno, a ja musiałam dotrzeć do Dalston, gdzie moja ciocia umierała z powodu guza na piersi.

- Jaka ciocia? - spytał mnie Ewan, gdy opowiadałam mu o tym drugiego dnia naszego małżeństwa. - Nie wiedziałem, że miałaś jakąś ciotkę?

- Owszem, wiedziałeś. To ta bogata. No, przynajmniej względnie bogata. Pożyczała mojemu ojcu pieniądze na prowadzenie sklepu, gdy interesy zaczęły kiepsko iść.

- A potem umarła i...

- Tak. Zostawiła wszystko katolikom.

- Ach - rzekł Ewan. - Więc to ta. Siostra twojego ojca, czy tak?

- Zgadza się... a guza miała w lewej piersi, gdybyś chciał wiedzieć.

- Czyli że była umierająca?

- Tak. Jak już ci powiedziałam, ciocia umierała i czekała na mnie, więc wydawało się, iż to niezła decyzja, żeby skorzystać z propozycji podwiezienia przez tamtego mężczyznę, z życzliwej propozycji złożonej pod wpływem chwili, którą przyjęłaby każda rozsądna osoba.

Ale gdy tylko znalazłam się w tym dusznym, stęchłym powozie, dżentelmen ów sięgnął po mnie, posadził sobie na kolanach przodem do siebie i brutalnie zaczął zadzierać mi spódnice. Krzyknęłam, gdy włożył mi tam palce, bo nigdy wcześniej niczego takiego nie czułam a bolało okropnie...

Ewan, słysząc to, sapnął, lecz chyba raczej z przyjemności niż ze współczucia. Splótł swoje palce z moimi.

- Opierałaś się? - spytał mnie podekscytowanym głosem.

- Czy się opierałam? Żartujesz? Oczywiście, że tak: krzyczałam, kopałam i szamotałam się, jak tylko mogłam.

Ewan przysunął się do mnie na kanapie i zaczął lizać moje ucho. Uczucie wilgoci przyprawiło mnie o dreszcz na całym ciele, bardzo nieprzyjemny.

- Płakałam, aż rozbolała mnie głowa, a serce omal nie wyskoczyło mi ze strachu, że jak długo żyć będę, on nie przestanie. Ale palce zatrzymały się tam w środku, a gdy je wyciągnął, powiedział...

- Hmm - mruknął Ewan, szybko ciągnąc moją rękę do swoich spodni. - Zdradź mi, kochana, co powiedział...

- Powiedział: Jutro nie będziesz nawet wiedziała, że to się stało.

- Tak powiedział? - Ewan znieruchomiał, zapominając nagle o palącej go potrzebie, jakby musiał zadać sobie nadludzki trud i pomyśleć.

- Tak.

- Dziwne - rozważał, znowu prowadząc moją rękę poniżej swojego pasa. - Jak myślisz, dlaczego to powiedział?

- Wiem tyle co i ty.

- I...? - Ewan dyszał tuż przy mnie.

- I wtedy włożył swojego... wiesz co... w szparę pomiędzy moimi udami. A jego głos stał się niski i dziwny, jak to zwykle u mężczyzn, kiedy odfruną do tego swojego świata...

Ewan wziął mnie teraz w ramiona i całował soczyście, mimo że mówiłam. W końcu się na mnie położył.

- Powóz jechał, siedzenie było przepocone i wbijało mi się w tył nóg... i choć czułam, jak napiera na mnie jego końcówka, cały czas wrzeszczałam wniebogłosy i starałam się zaciskać...

- O, moja droga - szeptał Ewan w swoim własnym rytmie i pełnym skupieniu. - O, moja cudna, moja kochana...

- Ale nie udało mi się i po chwili poczułam wszędzie wilgoć i maź, także na siedzeniu. „Czy już koniec?“, wyszeptałam do niego. „Zrobił pan to?“. A on na to: „Oczywiście, że tak, ty durna suko“. I kazał mi się zamknąć, po czym podał dużą jedwabną chusteczkę, żebym się wytarła.

- Ale... zaczekaj chwilę - rzekł Ewan, nieruchomiejąc, mimo że jego dłoń tkwiła akurat w tym momencie pod moją spódnicą. - To znaczy, że nie wiedziałaś?

- Czego?

- Nie potrafiłaś powiedzieć, czy on... no wiesz...

- Och, Ewanie - zniecierpliwiałam się. - Nigdy nie miałam w sobie niczego większego niż mój mały palec, więc skąd niby miałam wiedzieć, jakie to uczucie?

- Ale Lauro...

- Już chyba wiem, o co pytasz, nie wydaje mi się, żeby mi go włożył, z pewnością nie tak do końca. Ale dostatecznie głęboko, żeby...

Ewan leżał teraz na mnie, wpychając we mnie swojego, co do tego akurat nie miałam wątpliwości. - Żeby wpakować cię w kłopoty?

- Tak, Ewanie, żeby obarczyć mnie dzieckiem. Ewan wsuwał się i wysuwał.

- Cóż - ciągnęłam - wytarłam się jego drogą, wypraną i wyprasowaną chusteczką i chociaż cała się trzęsłam, szczękałam zębami, powiedział: „Zobacz, dziewczyno, jesteśmy prawie w Dalston”.

- Wystarczy - mamrocze Ewan, który skupił się tymczasem wyłącznie na sobie i rznął mnie jak opętany, przeniesiony do innego świata, który składał się wyłącznie z naszych ciał od pasa w dół. - Reszty nam nie potrzeba...

- Ale ja naprawdę - ciągnęłam swoje - nie mogłam mówić, po policzkach tak szybko spływały mi łzy, zalewały mi usta i mogłam myśleć tylko o tym, żeby wydostać się z tego powozu, a kiedy mnie wysadził, biegłam i biegłam, omal nie wpadłam pod końskie kopyta, gdy przebiegałam przez drogę...

- Ćśś. - Ewan zakrył mi usta swą dłonią męża - chirurga, poruszając się we mnie coraz szybciej i mocniej. - Dość już... mmm.

- Ciotka strasznie majaczyła, gdy tam dotarłam - szeptałam, gdyż bardzo zależało mi na dociągnięciu tej historii do końca, choćby tylko w ciszy i spokoju mojej własnej głowy. - To te majaki sprawiły, że zostawiła majątek

kościółowi, a mnie posłała na ulicę, bo ojciec był jej dłużny wszystko, co miał. W każdym razie ledwo żyła, gdy się zjawiłam, i bardzo szybko zapadła w...

- To mózg - mruknął Ewan, bo jako medyk nie mógł się oprzeć interpretacji porządnego symptomu. - Choroba zaatakowała jej mózg...

- A ja głaskałam ją po ręce i siedziałam przy niej, przez cały czas myśląc tylko o tym, jak bardzo bym chciała, żeby kiecki mi się tak nie lepiły...

- Lepiły! - jęknął Ewan.

- A gdy po kilku dniach umarła, złożyli ją w wymyślnym katolickim grobowcu w Dalston i na tym się skończyło. Nawet się za nią nie pomodlili, gdy tylko dobrali się do jej majątku. I nikt nigdy nie zaniósł kwiatów na grób. Nawet ja.

Ewan już jednak dawno przestał słuchać.

- Achch! - wykrzyknął, gdy z zamkniętymi oczami i wykrzywioną twarzą katapultował się do swego prywatnego nieba.

Ewan spojrzał w dół i zdawało się, że spostrzegł (co ja zauważyłam już wcześniej), że brzegi mankietów ma zakrwawione - brązowawe, w kropki - i nieco ciemniejsze w miejscach, gdzie tkanina znosiła się i wystrzępiła.

Zdawało się, że zaraz za nie przeprosi, lecz zamiast tego westchnął i wyciągnął swe wielkie, odziane w trzewiki stopy do osłony kominka, gdzie strzelał w górę i trzaskał ogień. Unosiła się z nich para.

- Twoje są suche? - spytał, po czym zdał sobie sprawę z popełnionej gafy i przeprosił, chcąc się spalić ze wstydu.

Wysunęłam przed siebie swój jedyny czarny trzewiczek z taką gracją, na jaką mnie tylko było stać, rozkoszując się szumem w głowie wywołanym przez mocne imbirowe wino, które mi kupił, bo nie bez irytacji zaczęłam zdawać sobie sprawę, że naprawdę się przy nim denerwuję.



- No tak... - odezwał się, gdy milczałam.

- Dlaczego? - spytałam go. - Dlaczego wybiegłeś za mną w takim pośpiechu?

Tak jak się spodziewałam, nie chciał spojrzeć mi w oczy. - Bo cię lubię - odparł. - Bo nie wiedziałem, dokąd pójdziesz. Bo inaczej mogłem już cię więcej nie zobaczyć...

Uśmiechnęłam się, słysząc tak zwyczajne powody. - Ale dlaczego ja? - spytałam, przypominając sobie w ostatniej chwili, by zgiąć mały palec przy podnoszeniu kieliszka.

- Nie chodzi o... cóż, trudno powiedzieć, ale... posłuchaj, Lauro, zazwyczaj nie poznaję się bliżej z pacjentami...

Ewan był bardzo wytrącony z równowagi, naprawdę. Co mnie nawet cieszyło. Widziałam, że sporo go to kosztowało, żeby wyjść za mną na ulicę.

- I mnie też nie poznałeś bliżej - powiedziałam mu, pławiąc się w jego dyskomforcie.

- Nie - odrzekł z wahaniem. - Oczywiście, że nie, ale...

- Chciałbyś mnie poznać?

Obciągnął na brudne mankiety rękawy płaszcza i przyjrzał się swoim butom. Widziałam, że to tylko pretekst, by na mnie nie patrzeć.

- Doskonale to ujęłaś.

Uśmiechnął się. Ja również. A ciężkie wino spłynęło mi do żołądka i rozgrzało myśli - do tego stopnia, że przez moment zdawały się zlewać szaleńczo jedna z drugą. Przez chwilę albo dwie czułam się okropnie szczęśliwa, i to zupełnie bez powodu.

- Doprawdy, miły doktorze... - zaczęłam.

- Wolę Ewanie - poprawił szybko.

- Ewanie - powtórzyłam. - Zdumiewasz mnie. To znaczy, bardzo jesteś miły, ale nie wiem, co cię do tego wszystkiego skłania...

Ewan nie zdążył odpowiedzieć, bo w gospodzie zaczął coś wykrzykiwać jakiś mężczyzna, a mały biały piesek, który chodził i zlizywał z podłogi okruchy, zbliżył się do mnie i wyczuł chyba świeżą ranę na moim kikucie, gdyż strasznie się zaciekawiał i zaczął mi obwąchiwać i lizać spódnicę.

Próbowałam go odgonić, a Ewan wstał szybko i pociągnął zwierzaka za sierść na karku, lecz psiak w ogóle się tym nie przejął i rzucał mi się na spódnicę z coraz większym zapalem. W chwili gdy Ewan postanowił schwytać go w obie ręce, mnie wpadł do głowy genialny pomysł, by posłużyć się kulą. Nieszczęsne stworzenie tak nią ode mnie zarobiło, że pojechało po podłodze, porządnie zranione i oszołomione.

Byłam z siebie całkiem zadowolona. Przyciągnęłam kulę bliżej do ciała. Gdyby był to pistolet, zapewne zdmuchnęłabym dymek jak ten człowiek na ilustracji w książce z obrazkami.

Myślałam, że Ewan też będzie pod wrażeniem, lecz zamiast tego zachwiał się i rozejrzał dokoła, jakby obawiał się konsekwencji. Muszę powiedzieć, że wydawał się wstrząśnięty i zaskoczony.

- O dobry Boże - wymamrotał. - Tak mi przykro, naprawdę...

- To nie twoja wina - odparłam.

On jednak udawał przez chwilę, że rozgląda się za kimś, kogo mógłby zbesztać, aż wreszcie dał spokój, niby zawiedziony.

- Lauro - rzekł. - Moja droga. Mogłaś go zabić. - I wbił wzrok w moją twarz.

- Cóż, masz rację - odrzekłam spokojnie - chyba tak. Ale widzisz, nie mam szczególnej słabości do zwierząt.

Nic nie odpowiedział. Próbował się uśmiechnąć, choć wyraźnie przychodziło mu to z wielkim trudem, po prostu nie mógł.

- Poza tym mylisz się - podjęłam wcześniejszy temat. -  
Co do mnie.

Zwrócił się w moją stronę.

- Wcale byś mnie nie lubił - powiedziałam mu szczerze. -  
Gdybyś mnie lepiej poznał...

- Posłuchaj, to akurat mogę osądzić tylko ja sam.

I choć słowa te mogłyby się wydać śmiało, to wypowiedział je z tak niebywałą niepewnością i zakłopotaniem, że gdybym nie wiedziała już, iż mam do czynienia ze słynnym obrzynaczem kończyn i tak dalej, zaczęłabym podejrzewać, że oto siedzi przede mną jakiś nieudacznik nieposiadający najmniejszego doświadczenia z kobietami.

- Jaka więc twoim zdaniem jestem? - obstawałam przy swoim, zerkając ukradkiem, czy pies nie wraca.

- No cóż, Lauro - zaczął z pewną dozą pasji świadczącą o tym, że zaczyna się rozgrzewać. - Jesteś zabawna. Czasem mówisz zabawne rzeczy - nie głupie i śmieszne, ale wręcz przeciwnie, mądre, tak, mądre rzeczy. Podoba mi się twój rozum. Podoba mi się, jak przedzierasz się bez wahania przez pokłady bzdur, by dotrzeć do istoty rzeczy, do samej prawdy...

- Do samej prawdy? Tak sądzisz?

Było to nader interesujące, ta myśl, świadomość, że Ewan postrzega mnie jako z gruntu prawdomówną osobę.

- W pewnym sensie - rzekł - tak, uważam, że tak właśnie jest. Intryguje mnie to, jak siebie stworzyłaś, czy może raczej stworzyłaś na nowo, poprzez zmagania z wielkimi przeciwnościami, jak mi się wydaje. Wyczuwam w tobie osobę, którą dotknęło cierpienie - i nie mam tu na myśli nogi, lecz coś, co stało się wcześniej - i która się jednak podniosła. Dlatego teraz, niezależnie od tego, kim byłaś przedtem, postanowiłaś stać się tą urzekającą Laurą...

Zapłonęły mi policzki. - Ja wcale niczego nie stworzyłam ani nic w tym stylu! - krzyknęłam mocno urażona i porządnie wystraszona tym, że tak świetnie mnie rozgryzł.

- Nie, nie - zaczął się tłumaczyć, nie zdając sobie sprawy, jak był blisko - to nie tak... źle mnie zrozumiałaś...

- Zresztą - weszłam mu w słowo, próbując w ten sposób odwrócić jego uwagę - teraz jestem zmuszona być kimś innym, prawda? Teraz jestem Laurą z jedną nogą.

- Ależ to nie ma znaczenia.

- Co?

- To, jaka teraz jesteś. Ten twój nowy stan. Moim zdaniem niczego ci on nie ujmuje.

- Cóż, dziękuję.

- Mówię szczerze.

- Mówić jest łatwo - odparowałam szybko.

- Może i tak. Mimo wszystko ja naprawdę tak myślę. Naprawdę, wiesz?

- Powiedz mi zatem - rzekłam - jak o kulach i z kikutem zamiast nogi... jak ktoś taki jak ja ma sobie znaleźć męża? Odpowiedz mi?

Wzdrygnął się, ale ledwo widocznie, tak bardzo starał się zachować spokój i opanowanie. Z twarzą bez wyrazu dopił resztkę piwa.

- W tym stanie - ciągnęłam - kto mnie zechce? No kto? Nawet ten tam pies mnie nie zechce, tak, nawet on...

- Lauro... - zaczął, lecz urwał.

- Kto zechce ze mną być? Przełknął.

- Nigdy nie byłaś zameżna? - spytał w końcu. Wiedziałam, że chciał mnie o to zapytać już od dawna. Westchnęłam.

- To długa historia.

- Chciałbym ją usłyszeć - powiedział. - Jeśli zechcesz mi opowiedzieć.

- Nie, wcale byś nie chciał jej usłyszeć, a ja nie mam zamiaru opowiadać. To historia pełna okropnych, niespójnych detali, które wcale by ci się nie spodobały i od których ludzi medycyny najlepiej trzymać z daleka.

Zaczął się śmiać. Spodziewałam się tego.

- Jesteś taka niezwykła - rzekł. - Taka zabawna. Nigdy jeszcze nie spotkałem zabawnej kobiety.

Zmarszczyłam brwi.

- Chciałem powiedzieć - dodał szybko, jak gdyby pomyślał, że mogę się obrazić - że mnie zaskakujesz. Nie ma w tobie potulności. Wszystkie znane mi dzisiejsze kobiety są dosyć potulne i zupełnie mało inteligentne...

- A ty? - spytałam, ignorując tę jego ostatnią uwagę. - Jesteś żonaty?

- Mieszkam z matką - odparł z miną nieszczęśnika, a twarz zasnuły mu chmury, jakby właśnie przypomniano mu o jakimś ciężkim brzemieniu. - Wiesz przecież.

- Ach, racja - rzekłam, udając, że sobie przypominam. - Tak, wiem, wybacz mi.

Wydawał się tak zakłopotany, że dosłownie zrobiło mi się go żal i zmieniłam temat. Zapytałam, dlaczego choć odciął mi nogę, a ja na własne oczy widziałam, jak leży ona w pojemniku, wciąż czuję się tak, jakbym ją miała.

Czasem wstając z łóżka, zaczęłam od niewłaściwej nogi, tej, której nie mam, i budziłam się, lądując z hukiem pupą na podłodze. Czasami ból kończyny, którą straciłam, był tak wielki, że zaczynałam masować jak w opętaniu powietrze, żeby go ukoić.

Twarc Ewana na powrót pojaśniała i patrzył z wielkim zainteresowaniem, kiedy mu o tym opowiadałam.

- Nie jesteś zaskoczony? - spytałam.

- Cóż - odrzekł - jeszcze się z tym nie spotkałem, bo pacjenci z zasady o niczym mi nie opowiadają. Ale czytałem i słyszałem, że to dosyć typowe zjawisko.

- Tere - fere.

Ewan zdawał się nad czymś myśleć. - Czujesz to teraz? - spytał nieśmiało. Skinęłam.

- Co? - zdziwił się lekko. - W tej chwili... to znaczy, masz wrażenie, jakbyś... jakbyś miała obie nogi?

Zamknęłam na moment oczy, żeby sprawdzić. Poruszyłam palcami obu stóp.

- O tak - rzekłam. - Zdecydowanie. Dwie nogi.

- Nie otwieraj oczu - poprosił, po czym spytał: - To czujesz?

Nie poczułam. Otworzyłam jednak oczy i... parsknęłam śmiechem, bo położył dłoń na mojej sukni tam, gdzie byłoby kolano.

- Oczywiście, że nie - odpowiedziałam.

- A zatem absolutnie nic nie stoi na przeszkodzie, żebym pottrzymał tam rękę, prawda? - rzekł.

Na jego twarzy malował się triumf - zadowolenie, a przy tym lęk i pewna dzikość, wszystko naraz. Niestety, przyznać muszę, że mu to pasowało - pasowała mu ta nowa, dzika twarz.

Nie odezwałam się, próbowałam poddać się tej niezwyklej formie flirtu. Poczułam lekki nacisk jego ręki pozostającej wciąż na mojej spódnicy. Było to wszystko i nic zarazem, lecz nie sposób było to zignorować.

I tak zaczęły się nasze dziwne zaloty.

Miałam kiedyś dziecko - powiedziałam Billy'emu.

Popatrzył na mnie, nie dowierzając. - Lauro, przecież ty nawet nie lubisz dzieci.

- Straciłam swą dziecinę. I okropnie tę stratę przeżyłam. Ale mylisz się, w zasadzie lubię dzieci... no cóż, lubię i nie lubię... czy możesz mnie za to winić?

Nie powiedziałam mu wtedy nic więcej. Nie chciałam. Znałam jego historię, wiedziałam, jak niesamowicie zazębiała się z moją, ale bałam się, jak mógłby to przyjąć, tę myśl, że jestem jedną z takich matek, których przedstawicielka zafundowała mu tyle samotności i cierpienia.

Prawdę mówiąc, zamierzałam być delikatna i rozsądna i nigdy nie poruszać trudnego tematu mojego dziecka, jednak miłość wyciska z nas prawdę w najdziwniejszych momentach i na najdziwniejsze sposoby, czy tego chcemy, czy nie. Dobry, życzliwy człowiek wyciąga nas z siebie samych z równą łatwością, z jaką sam w nas wnika.

Cóż, tę część mieliśmy już za sobą, miłość na łóżku Elsie, a ja stałam przy oknie i próbowałam zapalić mocno wilgotnego (wilgotnego, jako że znalazłam go w kieszeni kombinezonu Billa) skręta. Nie miałam na sobie nic poza cienką, znoszoną koszulą, bo uwielbiałam zakładać jego ubrania. Uwielbiałam, kiedy tania tkanina z wolna wydzielala jego zapach, ogrzewana powoli przez moją skórę.

On leżał na łóżku i przyglądał mi się. Zdaje się, że też palił. Oboje namiętnie oddawaliśmy się tej przyjemności, tak, oboje.

„Dziecinko”, zawołał chwilę wcześniej i dlatego o tym powiedziałam. Słowa zwyczajnie wypłynęły mi z ust, układając się w żalosne:

- Miałam kiedyś dziecko.
- Straciłaś to dziecko?
- Mhm - mruknęłam i wyjrzałam przez okno na ulicę, wciąż jasną i słoneczną, a jednak cuchnącą, wilgotną i przytłaczającą potężną mocą rzeki.
- Biedulka. Na co umarło?

- Nie wiem.

- Chodź tutaj - rzekł, lecz nie ruszyłam się z miejsca. - Widzę twoją pupę. Koszula wcale jej nie zakrywa, wystaje ci...

Nadał się nie odzywałam, lecz spróbowałam lepiej się okryć.

- Taka słodka... cała biała i pulchna... I widzę włoski pomiędzy twoimi nogami...

- Przestań - powiedziałam. - Nie drażnij się ze mną.

- Chodź tutaj - powtórzył. - Chcę poczuć je w palcach, na ich widok mam ochotę cię dotykać, najdroższa, och, pozwól...

- Nie - odrzekłam, bo na myśl o moim maleństwie zrobiło mi się strasznie smutno.

Milczeliśmy, oboje pogrążeni w zadumie - przynajmniej ja byłam w niej pogrążona. Po chwili Billy rzekł:

- Moje wszystkie żyją poza jednym. A jego obecność jest tak silna, że czasami muszę się uszczypnąć, żeby sprawdzić, czy naprawdę... czy naprawdę odszedł.

- Czy to Jack? - spytałam, bo wspominał mi już o nim jakiś czas wcześniej.

- Tak - potwierdził Billy. - Mały Jack. - I wydał z siebie krótki, nerwowy śmiech. - Wiesz, że mam tu gdzieś jego ząb? - rzekł, rzucając się na drugą stronę łóżka, gdzie na zakurzonej podłodze Elsie leżały na kupce jego rzeczy. - Chcesz zobaczyć? Spójrz, Lauro.

I podniósł w górę coś tak małego, bezbarwnego i przezroczystego, że z miejsca, gdzie stałam, nie mogłam poznać, co to jest.

- Jego ząbek? - rzekłam.

- Tak, popatrz... w środku wciąż jest plamka krwi.

- Wierzę ci, Billy. Ale wolałabym nie oglądać z bliska, jeśli pozwolisz.



- Był jego... - ciągnął Billy, nie zważając na mnie ani na nic. - Wyrwałem mu go. Kiedy leżał... po... no wiesz, już i tak ledwo mu wisiał, za dzień lub dwa sam by wypadł... a Jack dostałby za niego monetę. Uważasz, że to podłe z mojej strony, że tak mu go wyrwałem?

- Nie mam pojęcia, Bill. Niby skąd mam to wiedzieć?

- Nie wyglądał wcale na umarłego. Nie miałem wrażenia, jakbym robił to nieboszczykowi.

- A więc nic wielkiego się nie stało - powiedziałam, mając nadzieję, że w końcu zamilknie.

- Na dziąśle pojawiła się kropelka krwi - ciągnął. - Maleńka. No wiesz, tam gdzie tkwił ząbek... choć jego serduszko przestało już bić...

Chciałam mu powiedzieć, by przestał, ale nie mogłam.

- Obejrzyj go - mówił. - Z bliska. Mam go przynieść?

- Wiem, jak wygląda dziecięcy ząb, dziękuję ci, Bill.

- Taki maleńki pieniek, ledwo go widać... przeźroczysty, kiedy się go weźmie pod światło, patrz. Jest zawsze ze mną. Mam go przy sobie cały czas, wiesz...

Nie odzywałam się.

- Przez cały czas - powtórzył, a po chwili rzekł: - Hej, Lauro, skarbie, ty płaczesz...

- Nie płaczę.

- Nie powinnaś płakać, kochana, wszystkie łzy po Jacku już zostały wylane i nie chciałem...

Zaczął wstawać z łóżka, żeby do mnie podejść, ale się odwróciłam.

- Nie o to chodzi, Billy. Nie płaczę ze współczucia, więc nie schlebiaj sobie ani mnie. Płaczę nad sobą, i tyle. Zdenerwowałam się z powodu rzeczy, których nie mogę sobie wybaczyć, tamtego...

Czekał, a gdy się nie odzywałam, spytał: - Czego? Coś zrobiłaś?

- Tak - odrzekłam. - Zgadza się. Coś zrobiłam.

- Nie wierzę, że zrobiłaś coś złego. Nie świadomie, nie ty. Przestań się obwiniać.

Miał dobre intencje. Chciał być miły. Poznałam jednak po jego głosie, że boi się potraktować me słowa poważnie. Poznałam, że nie wierzy, iż cokolwiek się stało, zapomniał już o moim nieżyjącym dziecku i chciał powrócić do tematu swojego.

Nic nie odpowiedziałam, odwróciłam się i wpatrzyłam w tę głupią ulicę. Przez cały czas biegały po niej dzieci. Wiele z nich było w łachmanach i bez czapek, i zapewne pokrytych ranami. Niektóre miały długie włosy i pochylone ciała, jak ta jego Pinny. Mała grupka bawiła się przy wozie, a na pobliskim rogu stała handlarka jabłek, przestępując z nogi na nogę i krzycząc na dzieci, gdy za bardzo się do niej zbliżyły.

- Jestem złą osobą - powiedziałam cicho, tak cicho, że mógł nie usłyszeć.

- Jak umarło twoje dziecko? - spytał mnie bardzo ostrożnie.

- To była moja wina...

- Nieprawda! To niemożliwe...

- Nie wiesz tego, Billy, nic na ten temat nie wiesz. Jestem za to odpowiedzialna. Podjęłam... pewne kroki...

- Ale... pewnie chciałaś jak najlepiej? - zasugerował Billy, który zawsze własną dobroć przenosił na czyny innych.

- Cóż, muszę przyznać, że wcale nie miałam ochoty tego robić.

Billy westchnął. Przestał patrzeć na moje plecy. Przestał patrzeć na mnie w ogóle i wbił spojrzenie w zaplamioną, odchodzącą od ściany tapetę przy łóżku Elsie.

- I przykro mi - dodałam. - Z powodu małego Jacka.

Ręce Billy'ego natychmiast powędrowały do krocza, jak to miały w zwyczaju, kiedy czymś się smucił lub nad czymś

rozmyślał. Z nieobecnyim spojrzeniem ciągnął swojego małego, poruszał nim w tę i z powrotem.

- Czasami - rzekł - idę na cmentarz, wiesz? Prawie o zmierzchu, gdy światło zaczyna gasnąć...

- Żeby odwiedzić grób?

- Nie - odparł ze śmiechem. - Gorzej. Szukam tam towarzystwa.

Śmiał się, kiedy wypowiadał te słowa, lecz po nieruchomych oczach poznałam, że mówi poważnie.

- Czyjego? - spytałam, czując ciarki grozy na plecach. - Żywych?

- Nie - odrzekł cicho i ostrożnie. - Nie, Lauro, umarłych.

Uśmiechnął się, a moje serce ścisnęła pewna świadomość. Chciało mi się płakać, ale się powstrzymałam.

- Ciekawe towarzystwo - stwierdziłam.

- Nie - rzekł ponownie. - Naprawdę. Idziesz tam. Stajesz pomiędzy grobami i rozglądasz się dokoła...

- Może i tak. Może już to robiłam - szepnęłam, lecz on nie usłyszał.

- Całe szeregi kamiennych nagrobków - mówił dalej. - Całe skubane tłumy umarłych.

- A Jack? - spytałam go. - Czy ma nagrobek?

- O tak - odparł. - Oczywiście, że tak... Chociaż musieliśmy zorganizować zbiórkę na ulicy, bo nie opłacaliśmy za niego ubezpieczenia pogrzebowego. Ale nie pozwoliłbym pochować go w bezimiennym grobie... Ani ja, ani Cally.

Milczałam.

- A chociaż miał cztery latka - ciągnął Billy - to zmieścił się pod siedzenie woźnicy i nie musieliśmy brać osobnego karawanu. Tak więc widzisz, pozwolił nam zaoszczędzić przez to, że pozostał taki malutki, biedny pędraczek...

- Niech spoczywa w pokoju - zapłakałam, nim zdołałam się powstrzymać.

- Tak - rzekł Billy, patrząc mi prosto w oczy, jak gdyby próbował coś tam znaleźć, choć sam nie wiedział co. - Tak, niech spoczywa w pokoju.

Ze złością wbił sobie pięści w oczy, by powstrzymać łzy.

- Bardzo długo o tym nie rozmawiałem. Musisz to zrozumieć, Lauro... to dla mnie takie dziwne, słyszeć, jak wymawiasz jego imię i...

I wtedy poczułam, że muszę mu powiedzieć.

- Billy - zaczęłam cicho - ci umarli... myliłeś się, gdy o tym rozmawialiśmy... oni powracają, wiesz...

Zdawało się, że nie słyszy.

- Chciałbym, żeby to był różowy granit - mówił. - Jego nagrobek, wiesz? Różowy i lśniący...

- Powracają - ciągnęłam swoje. - I nie poddają się. Szukają tak długo, aż znajdą swoich...

- No cóż - powiedział Billy. - Ciekawy pomysł. Jeśli Bóg uzna...

- To nie ma nic wspólnego z Bogiem - zaprzeczyłam szybko.

- Ale któregoś dnia - rzekł Billy, który nigdy nie umiał skupić się na jednym zbyt długo - sprawię mu piękny nagrobek. Spokojne miejsce odpoczynku dla mego synka. Obiecałem to sobie, Lauro... obiecałem tamtego dnia, kiedy umarł.

Mówił o tym i mówił, lecz przestałam słuchać. Podniosłam jedną ze swoich kul i podeszłam do niego. Sunąc w posępnej aurze tego pokoju do miejsca, gdzie leżał, płakał i rozprawiał o zmarłych, łatwo byłoby go zaskoczyć. Doszłam jednak do wniosku, że wie, iż nadchodzę, słysząc stuk - puk o drewnianą podłogę.

Siadając na wąskim łóżku, wyciągnęłam rękę i ujęłam to, co w nim najśłodsze - takie delikatne, smutne i wilgotne - i uniosłam, czując jego małość i lekkość.

Przesunęłam kciukiem po lepkiej główce, ucisnęłam przez moment sączącą szczelinę i patrzyłam, jak zamyka oczy i drży. Chyba powiedziałam mu, że go kocham, ale nie wiem, czy usłyszał. W każdym razie gdy to zrobiłam, ucałowałam mój skarb i odłożyłam ostrożnie na ciepłe, miękkie miejsce, gdzie przynależał.

Kocyk

To był taki słoneczny dzień...

Kończył się maj. Miałam prawie siedemnaście lat. Ptaki wyśpiewywały swoje pieśni, niosąc je ku niebu, które pyszniło się najkrzykliwszym błękitem, a drzewa pęczniały biało - różowym puchem. W taki dzień serce człowiekowi rosło tak, że nie mieściło się w piersi i chciało z niej wyskoczyć.

Szłam w górę Oareboro Road, a potem Sail Street, gdzie pod wiaduktem kolejowym utworzono prowizoryczne stajnie dla dorożek, gdzie czuć było zapach końskiego nawozu i słyszeć leniwe przeżuwanie wielkich zwierząt. Zwolniłam kroku, bo zawsze bardzo lubiłam tędy przechodzić - lubiłam bijącą od tego miejsca energię tłumioną nieco przez spokój i nasycenie.

Tego dnia wszystko zdawało się tak wyraźne, tak niesamowicie odczuwalne i słodkie. Pamiętam, pamiętam mnóstwo rzeczy z tego tylko powodu, że były częścią owego dnia. Później stwierdziłam, że to nienormalne, iż tak wiele zapamiętałam - jakbym przez cały czas wiedziała, co się stanie. Jak gdyby nie mogło zaskoczyć mnie to, co powiedzieli mi owego dnia tamci ludzie.

Ale wiem, że byłam w tamtym momencie szczęśliwa, oszołomiona otaczającą mnie jasnością i przejrzystością. Wiem, że nad drzwiami jednego z domów ktoś umieścił ceramiczną, biało - niebieską figurkę Dziewicy Maryi, która tak dziwnie wyglądała na tle brudnej cegły i ciemnego łupku dachówki. I jestem pewna, że w wielu najbiedniejszych nawet tutejszych domach ludzie dbali o roślinki w doniczkach i mieli zawsze uprane firanki. Była to miła okolica, gdzie mieszkańcy wciąż dbali o siebie nawzajem i gdzie panował wszechogarniający spokój. Budziła moją zazdrość.

Później, w bocznej uliczce zauważyłam inne rzeczy - jakiś mężczyzna układał na wozie długie, ceramiczne rury,

krzyczała jakaś kobieta, płakało dziecko. Mała dziewczynka zanosila się gorzkim szlochem, wciskając w oczy piąstki bez żadnego powodu, który mógłby dostrzec przypadkowy przechodzień. Przekadkowy przekadzień, czyli nie kto inny jak ja sama w drodze do ochranli. Z tą nieziemską lekkością w głowie, która zawsze mi towarzyszyła, ilekroć szłam zapytać o moje dzieciatko.

Wiedziałam, że coś jest nie tak, gdy nie zajrzeli od razu do księgi. Wiedziałam, gdy mężczyzna wyciągnął jakieś papiery i poszedł po kogoś, prosząc, żebym łaskawie zaczekała.

Wiedziałam, bo taki był dla mnie uprzejmy, a jednak nie patrzył mi w oczy; wiedziałam, bo z pokoju w głębi dochodziły odgłosy otwieranych i zamykanych szuflad - a drzwi pomiędzy pomieszczeniami otworzyły się kilka razy, jakby ktoś już wychodził, lecz zaraz się cofał, zmieniawszy nagle zdanie.

Gdybym się tak nie bała, gdybym nie kąpała się we własnym zimnym pocie, to miałabym tego dość. Może wstałabym i poprosiła, żeby się pospieszyli. Albo wyszłabym i powiedziała, że wrócę później. A jednak tego nie zrobiłam. Czekałam, aż z tych nerwów rozboliła mnie głowa. Wreszcie wrócił tamten pierwszy mężczyzna, wyłaniając się z nieoświetlonego przyległego pokoju z jeszcze jednym za swoimi plecami, starszym, jakby obaj mieli się nawzajem ochraniać.

- Proszę pani - rzekł, nadal nie patrząc mi w twarz - czy to pani jest matką dziecka Z?

Skinęłam.

- Muszę zatem pani powiedzieć, że jego... tego dziecka... już z nami nie ma.

Patrzyłam na niego bez mrugnięcia okiem. Żołądek jakby mi się zapadł, a serce pochłonęła fala gorąca.

Dygocząc na całym ciele, chciałam zapytać, co to ma znaczyć, gdzie, do diabła, jest moje dziecko, lecz nim słowa zdążyły wydobyć się z moich ust, drugi z mężczyzn podszedł i dotknął zimną dłonią mego nadgarstka. Wyjaśnił, że jego kolega chciał powiedzieć, iż moje dziecko niestety umarło.

- Słucham?

Uśmiechnęłam się, bo nie mogłam zrozumieć, i wydawało mi się, że to jedynie mogę zrobić. Uśmiechnęłam się, lecz uśmiech zaraz znikł, a pojawiła się wielka czerń w mojej głowie i posmak wymiotów w gardle.

- Słucham? - rozplakałam się. - Znaczy, że źle z nim...!

- Proszę pani - powiedzieli obaj. - Bardzo nam przykro, ale chłopczyk odszedł. Umarł...

Zawahałam się, usiłując tę myśl przyswoić. Okazało się jednak, że w to nie wierzę, nie mogę. Mój synek już od tak dawna jawił mi się tak niewyraźnie - ot, słodkie, mgliste ciepłko we wspomnieniach - że jego śmierć wydała mi się kompletnie nieuchwytna, nie bardziej realna niż jego narodziny czy życie.

- Gorączka pojawiła się bardzo nagle - mówił mężczyzna, choć nie poprosiłam dotąd o szczegóły. - W poniedziałek jeszcze miewał się doskonale, a we wtorek już było z nim bardzo źle i w nocy... cóż... przykro mi...

Zakaszłał.

- Czy będzie pani chciała odebrać jego rzeczy?

- Co za rzeczy?

- No, coś tu jest - mały wełniany kocyk, który mu pozostawiono, kiedy...

- Kocyk? - powiedziałam. - Kocyk?

W głowie kołowało mi się tak, że słowo to nie miało dla mnie najmniejszego sensu, należało do innego świata. Kocyk. Trzymałam je w ustach, jakby przez pomyłkę podano mi kęs jedzenia z czyjegoś talerza.



- Ten, w który był zawinięty, gdy do nas trafił. Wprowadziliśmy go do ewidencji wraz z dzieckiem. Pewnie należał do pani?

Stałam tam i słuchałam, a jemu w ustach zaschło ze zdenerwowania tak, że aż chrobotać. Trzęsły mi się nogi. A więc taki był koniec, moje dziecko... umarło. Nie miałam już nic. Żadnej przyszłości. Nie miałam mojego synka.

I nagle poczułam okropny skurcz w brzuchu, straszny, rozpierający ból, jak gdyby rodził się na nowo.

- O Boże! - krzyknęłam. - O mój Boże!

Przysunięto krzesło i ktoś pomógł mi usiąść. Przyszło mi do głowy, że przez wszystkie te miesiące, w żaden z tych poniedziałków ani razu jeszcze w tym pokoju nie siedziałam, zawsze stałam, a z tak niskiej pozycji pomieszczenie wyglądało zupełnie inaczej, nieoświetlone, pełne zalegających w kątach cieni.

- Czy on...? - zaczęłam.

Obaj mężczyźni byli uprzejmi, muszę im to oddać. Stali i cierpliwie czekali na moje pytanie, mimo że w pokoju pojawili się już inni ludzie, którymi należało się zająć - ludzie, których dzieci żyły i którzy mogli o nie zapytać.

- Czy może mi pan powiedzieć... czy umierał sam?

Jeden z nich - wiem, że ten, który stał po mojej lewej stronie - uśmiechnął się lekko, jakby poczuł ulgę, że usłyszał pytanie, na które dość łatwo mu będzie odpowiedzieć.

- Pani chłopiec otoczony był najlepszą opieką - rzekł.

- Żadna maleńka duszyczka nie bywa tutaj zapomniana - dodał ten drugi.

Usiłowałam myśleć. Aż się od tego wysiłku zasapałam.

- A proszę pana... niech mi pan powie, gdzie leży pochowany?

- W zbiorowej mogile na Goad's Place.

- Czy... czy to dobre miejsce?

- Najlepiej, żeby pani poszła i sama się o tym przekonała - powiedział któryś z nich, jeden albo drugi.

Odpowiedziałam, że tak zrobię.

Zapytali, czy dobrze się czuję. Poprosili, żebym się podpisała na jakimś kwitku potwierdzającym, że zostałam poinformowana. Wreszcie oznajmili, że przyniosą mi kocyk.

I po jeszcze kilku minutach czekania w moje ręce trafił strzep czesankowej wełny ledwo mogący pomieścić maleńkie dzieciątko. Brzegi miał postrzępione i sztywne, w wielu miejscach był poplamiony i brudny. Wyblakł zupełnie, choć jeszcze kilka lat wcześniej miał odcień różu. Pamiętałam to bardzo dobrze.

Przyłożyłam go do twarzy. Pachniał. Chciałam w tej chwili umrzeć.

No, zmierzamy w kierunku rzeki i niesiemy go ze sobą.

Nie świta jeszcze, chociaż na horyzoncie niebo od dwudziestu minut straszy takim brudnym różem. Niedługo zrobi się jasno i nie mamy wiele czasu.

Niełatwo daje się nieść, tak więc dobrze, że podzieliliśmy go na trzy osobne części. Billy taszczy dwie najbardziej nieporęczne i stara się nie zataczać pod ciężarem tej największej, wpakowanej do skórzanego worka, który zarzucił sobie na plecy. Ja niosę głowę i choć jest ze wszystkiego najmniejsza, zdumiona jestem, ile waży.

- Co właściwie tyle waży? - pytam Billy'ego. - Czaszka czy mózg? Pewnie mózg...

- Och, proszę cię, Lauro...

- Tak się tylko zastanawiałam, najdroższy...

- Proszę - powtarza - cicho bądź. Czy nie możemy po prostu dojść na miejsce i zostawić takich rozmyślań na później...

- Na później! Później to myślę, że będziemy wolni - wolni od tego strasznego epizodu, okropnego ciężaru, od tego, co zrobiliśmy.

Jako że jedno jest pewne. Teraz to już „my”. On też się do tego przyłożył. Jesteśmy związani na zawsze, on i ja, niech sobie mówi, co chce. I chociaż dzieje się to wbrew mojej woli, myśl ta - myśl, że mam niezawodnego współnika - wielce mnie raduje.

Spoglądam na niego, na tę jego drogą, nachmurzoną twarz. Na malujący się na niej niepokój i świadomość harówki, jaka go jeszcze dzisiaj czeka. Tak, myślę, że jesteśmy współnikami, on i ja.

- Nie przeszkadzało ci moje gadanie tam, w domu - przypominam mu delikatnie. - Wręcz przeciwnie, powiedziałabym, że bardzo ci było potrzebne, bo bez niego padłbyś chyba jak kłoda zemdlony na podłogę.

- To było w domu - odburknął B.

- Aha, rozumiem.

- Nie, Lauro, wątpię, abyś naprawdę rozumiała. Ale i tak proszę cię, żebyś była cicho.

- No, ty uważaj, jak się do mnie odzywasz - łaję go, bo zaczynam mieć już dość tej protekcyjności. - Nie jestem twoją żoną ani żadnym z twoich dzieci, żebyś tak na mnie krzyczał i wyrzekał.

- O nie - mówi. - Jesteś damą, nieprawdaż?

Nie podoba mi się jednak jego ton ani to, jak postępuje i wywraca oczy ku niebu.

Na rogu Fair Street jakiś mężczyzna stoi w ciemnych drzwiach w rozpiętej koszuli, boso, z papierosem w zębach, nie wiem dlaczego. Twarz ma brudną i nieogoloną, nie kiwa głową na powitanie, lecz gapi się prosto na nas, pewnie z powodu moich kul. Chyba właśnie się załatwił, bo u jego stóp

paruje kałuża, która dopiero co zaczęła rozlewać się strumyczkami pomiędzy kocie łby.

Mijamy go pospiesznie. Żadne z nas nawet nie drgnie.

Próbuję nucić coś pod nosem, bo ważne jest, abyśmy wyglądali zwyczajnie. Problem w tym, że nie mogę sobie przypomnieć żadnych piosenek, zwłaszcza tych wesołych. Boję się, że przeżycia mijającej nocy wymazały mi je z pamięci i mój mózg opustoszał, nie ma w nim żadnej muzyki, w ogóle nic.

- Nie wydaje mi się, bym jeszcze kiedyś mogła śpiewać - mówię do Billy'ego, lecz on nic nie odpowiada. - Nie, żeby kiedykolwiek była ze mnie wybitna śpiewaczka - dodaję, odpowiadając sobie, skoro nikt inny zrobić tego nie zamierza. - Ale kiedyś mnie to rozweselało, mały refrenik to tu, to tam...

Billy śmieje się mimo woli.

- Bardzo dobrze - mówię.

- Co?

- Tak już lepiej. Cieszę się, że się rozpogodzasz. Wzdycha i nic nie mówi.

Tak, myślę sobie, ważne jest, żebyśmy wyglądali normalnie. Oto zmęczony mężczyzna i zmęczona kobieta w zgrzebnych ubraniach, o posępnych twarzach zdążający do swych ciężkich porannych obowiązków.

Na ulicy pojawiają się już ludzie. Sprzątaczkę w chustach na głowach. Poganiacze bydła w drodze do Smithfield i, rzecz jasna, robotnicy portowi, choć ci na szczęście rzadko odrywają wzrok od błota pod nogami.

Mimo wszystko cieszę się, że wyglądamy tak zwyczajnie. Cieszę się, że Billy zdobywa się na to, by ziewnąć lub westchnąć od czasu do czasu. Cieszę się, że żaden z naszych trzech worków absolutnie nie mógłby zawierać niczego równie dużego i nieporęcznego jak ciało chirurga.

- Chryste, Lauro! - wykrzykuje Billy jakoś tak poirytowany czy co.

- Słucham?

- Co znowu? Z czego się śmiejesz?

- Z niczego. Tylko... różne rzeczy przychodzą mi do głowy, i tyle.

- Niby co?

- Och, jakby... to... no wiesz. Wszystko to, co robimy.

- Uważasz, że to zabawne? Śmiejesz się?

- Ach. No cóż, hm... niezupełnie.

- No to o co chodzi, Lauro?

- O nic. Nic takiego. Nie umiem tego wyjaśnić. Billy dyszy lekko, przerzucając ciężar na drugie ramię.

- O Boże - mówię wtedy.

- Co jest?

- Krew. Masz odrobinę krwi na ramieniu. Pewnie... pewnie worek trochę przecieka.

- Szlag by to!

Billy przystaje, stawia worek na ziemi i ciągnie za tkaninę znoszonej marynarki, by obejrzeć i pomacać plamę.

- To moja jedyna marynarka - mówi.

- Mogę to wywabić - pocieszam go. - Albo mogę ci coś pożyczyć, potem, znaczy się.

Patrzy na mnie. - Coś z jego rzeczy? O tak, genialny pomysł, to w ogóle nie będzie wyglądać podejrzanie, co?

- To tylko plamka - mówię.

- Jasny szlag by to...

Wpakowaliśmy do worka mnóstwo gazet, a sam worek, duży, jeden z tych Ewana, zrobiony jest z miękkiej skóry.

- Przecieka pewnie tylko ociupinkę - mówię. - Nie widać, żeby kapało. Nie ma się czym przejmować, najdroższy, naprawdę, nie ma czym.

- Chodźmy. Chodźmy i miejmy to już w cholere za sobą. Pokazuję mu, żeby podniósł worek, i ruszamy dalej. Sama niosę przewieszony przez ramię kosz, tak by móc opierać się i balansować na kulach. Dzięki temu jest mi nieco lżej, choć i tak ciężar wpija mi się w bark i hamuje krążenie. Od czasu do czasu muszę zmienić ramię - och, Ewanie, że też musiałeś mieć taką wielką, mądrą głowę!

- No dobrze - mówię mu, czując znowu, jak klucha mdłości podchodzi mi do gardła - powiem ci. Cholernie się boję, jeśli koniecznie chcesz wiedzieć. Cholernie się boję, tak samo jak ty, aż mnie mdli, kiedy o tym myślę... i obawiam się, że tak już mi zostanie.

Czekam, by przekonać się, czy mi uwierzył.

- Lauro... - mówi.

- Przez cały czas kołacze mi się to po głowie - ciągnę - myśl o tym...

Kiedy to mówię, półmrok rozdziera krzyk. Billy podskakuje, a ja słyszę, jak szczękają mu zęby.

- ...o tym, co zrobiliśmy.

- Co to tam było? - szepcze Billy.

- Nie wiem.

- Chryste!

- To nic. To po drugiej stronie, za rzeką, bliżej City...

Stawia worki i rozgląda się, wyężając wzrok w szarości przedświt.

- Billy - mówię mu - uspokój się. Strasznie jesteś nerwowy, a to nikomu z nas nie służy. Nic się nie dzieje. W pobliżu nikogo nie ma. To było daleko...

Patrzy na mnie, jakby powoli docierało do niego, co powiedziałam. - Muszę chwilę odpocząć.

Cóż, tak mówi, lecz gdy spoglądam w jego oczy, są czarne i przełknięte. Robi mi się smutno, kiedy to widzę, naprawdę smutno i przykro. Myślę, że to się już nie zmieni. Myślę, że

minione mroczne godziny go odmieniły... zwłaszcza zaś ta ostatnia...

Podzielenie go zajęło nam więcej czasu, niż się spodziewaliśmy, mimo że i tak mieliśmy niesamowite szczęście, posiadając kompletny zestaw jego własnych narzędzi chirurgicznych.

Ja zaś wiedziałam co nieco, i to od niego samego. Wiedziałam, że to zakrzywione ostrze o francusko brzmiącej nazwie służy do szybkiego rąbania kości - choć musi to być trudniejsze, niż się wydaje, bo zamachnęłam się z całej siły, a ono utknęło niemal natychmiast, klinując się w gnacie, zaś ja stałam, nie mogąc go wyciągnąć i patrząc na lejącą się krew.

- Przestań! - krzyknął Bill, podtykając pod strumień czerwieni szmaty i co się tylko dało. - Na litość boską, Lauro, przestań!

- Daj mi spokój! - wycedziłam przez zęby, starając się ze wszystkich sił odepchnąć go łokciem. - Nie mogę teraz przestać... co ty, na Boga, wygadujesz?

- Ale... Lauro! Ty nie wiesz, co robisz.

- Wiem, wszystko jest pod kontrolą. Poradzę sobie! - odrzekłam mu stanowczo.

I dalej szarpałam się z tym głupim nożem, bo z doświadczenia wiem, że jak już się wstąpi na jakąś wyjątkowo koszmarną drogę, to lepiej iść dalej i dotrzeć do końca, niż utknąć w połowie, tak jak ja utknęłam teraz w twardej kości szyi Ewana.

Dobrze, że B. pomyślał, by przynieść ze schowka wielką płachtę brezentu i rozesłać ją na podłodze salonu, gdzie jeden z dywanów - ten, na którym go zatłukłam - i tak musiał już zostać spalony.

Dobrze też, że sama byłam na tyle zapobiegliwa, by założyć fartuch chirurgiczny, który Ewan zostawił na wieszaku na drzwiach garderoby. Założyłam go tyłem naprzód

jak fartuch rzeźnika. Był ciężki i cuchnął, a waga zaschniętej ropy zdawała się ciągnąć mnie w dół. Pocieszyłam się myślą, że potem go spalę razem z dywanem i wszystkim innym, na czym znalazła się krew.

A Billy? Cóż, Billy płakał. Płakał i powtarzał w kółko: „Przepraszam, przepraszam, przepraszam...” - nie wiadomo kogo i za co.

- Proszę cię - sapnęłam, ciągnąc za nóż. - Proszę cię, przestań to powtarzać...

- Ale ja się do tego nie nadaję - zawodził. - Nie mogę, nie mogę...

- Na miłość boską - przemówił przeze mnie rozsądek, gdy - uff! - nóż uwolnił się wreszcie ze ssącym dźwiękiem. - Nikt się do tego nie nadaje, nie ma na świecie osoby, która lubiłaby krew. Założę się, że nawet Ewanowi, który spędził siedem lat, ucząc się fachu w Królewskim Kolegium Chirurgicznym, trudno było się z tym oswoić...

Przemawiałam z takim przekonaniem i taką szczerością, jakbym odbyła te studia sama. Może nawet zaczynałam wierzyć, że tak było, bo przyznać muszę, że w przeciwieństwie do Billy'ego czułam się całą tą sprawą całkiem podekscytowana. Serce mi waliło, ciało miałam spięte i pobudzone - dosłownie trzeszczało od nagromadzonej energii. Zupełnie jakby ktoś rzucił na mnie czar. Nie mogłam uwierzyć, że to robię. Och, może to zabrzmieć dziwnie, ale bardzo bym chciała, żeby zobaczył mnie w tej chwili Ewan. Już sama myśl o jego zdumieniu i - być może - pochwalę z jego ust wywoływała na mojej twarzy rumieniec.

Żadna taka pochwała jednak paść nie mogła. Jego ciało było zimne, a ja przecież o tym wiedziałam. Zimne i skulone, pozbawione gibkości i sprężystości, które posiadało wcześniej. Poza tym chociaż wciąż zdawało się, że jest jej mnóstwo, to leciało już znacznie mniej krwi. Sączyła się



raczej, niż tryskała, przypominała dżem pojawiający się na brzegach ściśniętego ciasta.

Radziłam sobie jakoś z ciałem, ale nie mogłam spokojnie patrzeć na zmasakrowaną twarz. Nie mogłam patrzeć na miejsce, gdzie wszedł pogrzebacz, przerywając jakąś żyłkę w kącie oka. Ani na czarne jak smoła grudki, które wyszły mu z nosa.

I nawet ja, fachura od cięcia i rżnięcia, odwróciłam wzrok, gdy nóż wszedł w delikatne kostki pod brodą i przeciął je jak twardy cukierek.

A jednak robiłam to. Oto ja, Laura, robiłam to, czym zwykle parali się mężczyźni.

- Powinnam była zostać chirurgiem - zwróciłam się do Billy'ego, gdy nie mając się już zbyt na czym trzymać, głowa Ewana zaczęła gwałtownie lecieć na bok.

Nie odpowiedział. Wydał tylko zdławiony, chlipiący dźwięk.

- Dobrze się czujesz? - spytałam z oczami wbitymi w krwawą dziurę ziejącą z szyi Ewana. - Przynieś więcej szmat - rzuciłam nagłaco, bo czułam, że trzeba mu przez cały czas dawać zajęcie. - Zobacz w spiżarni, druga szuflada od lewej...

Poszedł, a ja się uśmiechnęłam. Objechałam nożem najgrubszą kość, po czym wstałam i szybko, jakby ukradkiem dźgnęłam w udo, bo tam właśnie zamierzałam uderzyć w następnej kolejności.

- Co ty wyprawiasz? - krzyknął Billy, który wrócił z paroma szmatami i gapił się na mnie w przerażeniu.

- Zaczynam następny etap - wyjaśniłam. - Zamierzam zabrać się za nogi, jak tylko skończę z głową. Ojej! Daj tu szmatę, szybko!

Zachęcona tym, z jaką łatwością ostrze weszło w ciało, wykonałam jeszcze kilka cięć. Wreszcie trafiłam na kość udową. Ale i tak przez ubranie cięło się znacznie łatwiej - o

niebo lepiej, kiedy nie widziało się tego w środku. Trzeba było zarzucić mu na twarz jakąś płachtę, pomyślałam. A przede wszystkim nie trzeba było mu jej tak masakrować.

- Założę się, że Ewan nigdy tego nie robił, no wiesz... - powiedziałam do Billy'ego, wracając do głowy. - Założę się, że nigdy nie kroił szyi. Bo niby po co? Przecież głowy nikomu w szpitalu nie obcinają. Dlatego ten nóż nie bardzo się tu sprawdza, nie uważasz?

- O Boże, Lauro, nie wiem, proszę cię... rób już, co masz robić...

Głowa była prawie odcięta, ale trzeba by chyba drwała, żeby pokonać tę największą kość. Cała zalałam się potem, miałam mokre włosy i majtki, wszystko - ślizgała mi się od niego caluska skóra.

Otarłam czoło rękawem Ewanowego fartucha i natychmiast tego pożałowałam, bo zapach - znacznie gorszy od tego, jaki wydierał sam Ewan - sprawił, że żołądek ścisnął mi się i wywrócił na drugą stronę.

Usłyszałam, jak zegar w holu wybija czwartą, i próbowałam zachować spokój.

Poprosiłam mego asystenta, by podał mi piłę, lecz kiedy się odwrócił i zobaczył postęp, jaki dokonał się w ciągu minionych kilku minut cięcia, złapał się za brzuch, gotów wymiotować.

- Nie na dywan! - zdążyłam krzyknąć. - Ten jest jeszcze czysty... weź doniczkę... możesz wywalić kwiat...

Wyciągnął palmę i szczęśliwie umieścił zawartość żołądka w ohydnej sinawej donicy, która należała do Eve. Z ponurą, acz ogromną satysfakcją stwierdziłam, że znalazła wreszcie adekwatne zastosowanie. Skulił się, zwymiotował znowu i wreszcie podał mi piłę.

- Otwórz oczy - powiedziałam. - Bo się o coś potkniesz i przewrócisz.

Przyłożyłam ostrze i przęcąc mięśnie, zaczęłam przesuwać je w przód i w tył, wrzynając się w najtwardszą część mego męża. To właśnie, pomyślałam, to właśnie mi zrobił. Byłam bardzo podekscytowana, a jednocześnie było mi Ewana żal. Wystarczyło na ten jeden krótki moment wejrzeć w jego życie zawodowe, by ujrzeć świat z jego perspektywy, a była to perspektywa bardzo dziwna, bez dwóch zdań.

- Co dzień, przychodząc do domu, miał na sobie krew - westchnęłam w stronę Billy'ego. - Mimo że mył się w szpitalu, szorował się mydłem karbolowym, to zawsze trochę zostało...

Specjalnie starałam się zachować pogodny nastrój, by podtrzymać na duchu Billy'ego, ale szczerze mówiąc, zaczynałam przegrywać sama z sobą. Do otwartych ust Ewana kapłała krew i poczułam jego surowy, bezwładny ciężar na swoich kolanach, bo instynktownie rozłożyłam nogi, żeby go złapać, kiedy się wyślizgnął.

Za każdym razem, gdy pokój zaczynał się kołysać - a zaczynał co rusz - spuszczałam głowę i opierałam się na rękach i jednym kolanie o podłogę jak kot. Dokładnie tak urodziłam swoje dziecko. Jak chudy dziki kot kurczowo czepiający się świata. Teraz było trudniej, bez jednej nogi musiałam bardziej się starać, by utrzymać równowagę. Ale mogłam dzięki temu złapać oddech, odsapnąć chwilę i działać dalej.

Co ciekawe teraz, gdy przyszło do najgorszego, Billy uspokoił się i nawet mi pomagał. Kiedy głowa odpadła od ciała, a piła szurnęła o leżący pod spodem brezent, krzyknęłam, nie zdołałam się powstrzymać.

- Jezu, nie mogę w to uwierzyć - zawołał Billy, a ja udałam, że nie słyszę.

- Podaj kosz - syknęłam, jako że już wcześniej przygotowaliśmy kosz, z którym Verity chodziła na targ po zakupy.

Przyniósł mi go, a ja chciałam podnieść odciętą głowę, lecz okazało się, że nie mogę.

Billy znów zaczął płakać.

- Przestań - powiedziałam.

Skłonna byłam spróbować podnieść ją za włosy, ale gdy tylko chwyciłam za kosmyk cienkich, jaskraworudych loków Ewana, zrozumiałam, że nie utrzymają takiego ciężaru. Nie chciałam, żeby grzmotnęła o podłogę, żeby jeszcze Bóg wie co z niej wypłynęło.

Ujęłam ją więc w obie drżące dłonie i ułożyłam w koszu jak świeżo upieczone ciasto, wciąż jeszcze delikatne i kruche. Dopiero gdy zabrałam ręce, wpadłam w popłoch.

Szybko naciągnęłam na wierzch płachtę.

I wtedy zwymiotowałam.

Kiedy skończyłam z głową, kiedy znikła mi z oczu jego twarz, z całą resztą poszło znacznie łatwiej.

Prawie o wpół do piątej wysłałam Billy'ego na górę, żeby przyniósł skórzane worki Ewana - jeden duży na tułów i drugi mniejszy, trzymany chyba w jego garderobie, w którym zamierzałam ukryć nogi. Był oczywiście za krótki - ha, czy istniał gdzieś dostatecznie długi? - dlatego postanowiłam przeciąć je w kilku miejscach.

- I więcej szmat - dodałam, wyjaśniając, gdzie jakieś znajdzie. Nie mogliśmy nastarczyć szmat, żeby zatamować krew i obwiązać powstałe rany, na które nie chcieliśmy patrzeć.

Zniknął na górze na dosyć długo, a ja szybko zaczęłam się niepokoić, co też tam może wyprawiać. Zrobił sobie krzywdę? Zasnął? Pomyślałam, że chyba go zabiję, jeśli zapomniał, po co poszedł.

Miałam już odłożyć narzędzia i ruszyć za nim, gdy usłyszałam powolne kroki zstępujące po schodach i zobaczyłam, jak idzie.

- Gdzie się...? - zaczęłam, lecz zaniemówiłam z wybałuszonymi oczami.

Ponieważ w jednej ręce trzymał worki - jeden nie taki, o który mi chodziło, ale mógł być - zaś w drugiej kilka ścierek do kurzu, tak jak mu kazałam.

I mój bezcenny kocyk.

Zatkało mnie.

- Co ty wyprawiasz? - krzyknęłam. - Skąd to wzięłeś? Oddawaj...!

- Że co? - rzekł, spoglądając na to, co przyniósł. Wyciągnęłam rękę, by mu go odebrać, lecz w porę zdałam sobie sprawę, że obie dłonie mam usmarowane zasychającą krwią.

B. był blady jak ściana, włosy miał w nieładzie. Zauważyłam, że płakał, po czym przypomniałam sobie kiedy i dlaczego. Zdawało mi się, że ostatni raz widziałam go w tym pokoju dziesięć lat temu.

- O co chodzi? - zapytał z przesadnym spokojem. - Kazałaś przynieść szmaty, więc...

- Nie to - krzyczałam. - To jest...

Spojrzał na kocyk. Czekał, co powiem dalej. Nie powiedziałam nic.

- To? - spytał, wyciągając rękę.

- Odłóż go - powiedziałam, trzymając ręce przed sobą jak lunatyk, bo tak bardzo chciałam go dotknąć, a nie mogłam.

- Dlaczego? - dopytywał się chłodnym głosem. - O co chodzi?

- To moje - odparłam. - Odłóż to. Naprawdę, Billy, proszę... Jak Boga kocham, nikt go nie może dotykać...

Bill trzymał go cały czas.

- Obyś tylko miał czyste ręce - powiedziałam. Nie odezwał się.

Nie zwracając dłużej na niego uwagi - a przynajmniej próbując - zaczęłam owijać golenie i stopy Ewana w gazety, podwijając pod spód palce, żeby zajmowały mniej miejsca. Stopy miał wąskie jak dziewczyna, naznaczone wyraźnymi żyłkami i z wysokim podbiciem. Buty nosił robione na specjalne zamówienie przez szewca z Pimlico. Zrobiłam z obu dolnych części nóg zgrabną paczuszkę i wpakowałam do mniejszego worka, gdzie pasowały idealnie.

- Potrzebny będzie jeszcze jeden worek - powiedziałam.

- Mamy przecież dwa...

- Nie - odparłam. - Na uda. Są znacznie większe, niż mi się wydawały. Za nic się tu nie zmieszczą.

Billy zdawał się niezbyt zainteresowany tym, co się gdzie zmieści. Wciąż trzymał kocyk. Teraz, gdy zwróciłam nań jego uwagę, wydawał się zafascynowany.

- Odłóż go - powiedziałam.

- Nie rozumiem, co jest w nim takiego szczególnego - rzekł powoli, jak gdyby zapomniał zupełnie o Ewanie. - Ale wiem, że kiedyś miał inny kolor. Mam rację?

Popatrzyłam na niego zarumieniona. - Jest stary, to oczywiste. Wypłowiwał.

- Nie - odparł. - Kiedyś był bardziej fioletoworóżowy. Jakim cudem się tak spraw?

Patrzyliśmy na siebie, a mnie zalewały fale uczuć, których nie umiałam odczytać. Miałam wrażenie, jakby ktoś ciągnął mnie za włoski na karku i puszczał, ciągnął i puszczał.

- Skąd o tym wiesz?

- Nie wiem.

- Widziałeś kiedyś podobny? Jest bardzo stary, był jeszcze w domu mego ojca. Tato miał tylko najlepsze...

- Tak - rzekł. - Zdecydowanie był fioletowy.

- Nie chcę o tym rozmawiać.

- Właśnie widzę.

- To moje - powtórzyłam. Powiedziałam to zdecydowanie, nawet ze złością. Gdy jednak napotkałam jego spojrzenie, czułam jedynie niepewność i niepokój. - Dlaczego to robisz? - spytałam.

Upuścił go na podłogę. Kocyk wpadł w pył przy wiadrze z węglem.

- Popatrz tylko - rzekł. - To wypłowiała szmata, przynajmniej tak wygląda. Nawet kolor ma już zupełnie nie ten. Chciałbym wiedzieć, dlaczego trzymasz taką szmatę, Lauro? Dlaczego, mając tyle porządnych ubrań i pięknych rzeczy?

Nie odpowiedziałam.

- To dziwne, bzikować na punkcie czegoś takiego, nie uważasz? Spojrzałam na niego, lecz powstrzymałam się od płaczu, którego po mnie oczekiwał.

- Pomóż mi może, co? - powiedziałam. - Musimy wyjść z domu jeszcze przed świtem.

Zaklaskał energicznie. Razem owinęliśmy tułów w gazety, ale okazało się, że to za mało, rozwinęliśmy więc znowu i zawinęliśmy w stary lniany obrus - ciasno, żeby ścisnąć wszystkie żyły.

- Lepiej ci już? - spytałam, bo zdawało się, że może teraz patrzeć na fragmenty ciała Ewana całkiem spokojnie, bez torsji.

Skinął.

Uda odcięłam na samej górze, a poszło tak łatwo, że zaczęło mnie korcić, by odciąć także penisa - a przynajmniej naciąć lekko i zobaczyć, co jest w środku. Powstrzymała mnie tylko świadomość, że patrzy Billy. Gdybym była sama, porządnie bym sobie pomyszkowała, urządziła niezły piknik.

Zdając sobie z tego sprawę, nie sposób było nie pomyśleć o mojej własnej biednej nodze na łasce i nielasce jakiegoś studenta, leżącej gdzieś na odrapanym kuchennym stole.

Skrzywiłam się. A zaraz potem roześmiałam mimowolnie, myśląc, jak to dziwnie się na tym świecie układa.

Niepokoił mnie jednak kocyk. Nie mogłam sobie przypomnieć, gdzie go zostawiłam. Czy na łóżku? Na oparciu fotela? Czy Billy znalazł szmaty, a potem zaczął grzebać w moich szafach?

Często - bardzo często - spałam z nim, chociaż nie zawsze. Czasem jego bliskość mnie uspokajała, a czasem wręcz przeciwnie, przyprawiała o nerwowość i wywoływała sny, z których budziłam się z krzykiem na mokrej poduszce, a każdą cząsteczkę mego ciała przenikał smutek.

- Gdzie go znalazłeś? - zapytałam, bo było mi już wszystko jedno.

Wzruszył ramionami. - Nie wiem. Gdzieś go tam zobaczyłem.

- Jest mój - powtórzyłam znowu.

Gdy to powiedziałam, Billy podszedł do mnie tam, gdzie stałam pośród krwi, pogniecionych gazet i skórzanych worków, ujął mnie za ramiona i pocałował.

Pocałował mnie prosto w usta, a ja stałam z wyciągniętymi na boki rękami, nie mogąc go powstrzymać, bo nie leżało w moim interesie poplamienie go krwią. Trzymał mnie za ramiona i nie oszczędzał. Językiem penetrował wszystko, co miałam w buzi. Dotykał nim moich zębów i dziąseł w miejscach, gdzie zębów już nie było. Wysysał ślinę, aż wysuszył mnie do cna. Cofając się, przygryzł mi wargę, nie mocno, lecz tak, że trochę zabolalo, jak to między kochankami bywa.

- Nigdy mnie nie okłamuj, Lauro. Mówię poważnie, zresztą to wiesz. Nie rób mnie w konia...

Stałam jak jakiś klaun z cyrku z rękami wciąż wyciągniętymi na boki. Nie wiedziałam, co powiedzieć. Po policzkach bez skrępowania popłynęły mi łzy.



- To moje - powtórzyłam po raz kolejny, lecz on, ten czart wcielony, postarał się już, żeby nie usłyszeć.

Ptaszek

W chwili gdy położył dłoń na mojej pustej spódnicy tamtego deszczowego popołudnia, kiedy wypuszczono mnie o kulach ze szpitala, uznałam, że Ewan jest moją drugą połówką.

Naprawdę, wierzę, że tak było. Mężczyzna wykonujący poważany zawód, mężczyzna o ustabilizowanym życiu i, jak mi się wydawało, szanowany najbardziej ze wszystkich ludzi, jakich dane mi było spotkać. A ja mu się podobałam. Byłam wstrząśnięta i oszołomiona - co całkiem naturalne. Błąkałam się we mgle niezrozumienia, nie byłam w stanie choćby w najmniejszym stopniu pojąć, jak do tego doszło.

No bo jak to? Wpadłam pod dorożkę, straciłam nogę i ni stąd, ni zowąd mój los tak się odmienił, że zalecał się do mnie miły, inteligentny dżentelmen?

Do mnie, która mając nawet komplet zdrowych kończyn, nie zdołałam znaleźć sobie na dłużej żadnego porządnego towarzysza! Choć raz świat potraktował mnie z życzliwością - z taką życzliwością, że niekiedy budziłam się w nocy, zrana potem na myśl o niepojętej odpowiedzialności, jaką zdawało się to na mnie nakładać.

Cóż, wiedziałam, że za niego wyjdę, bo był przy pieniądzach, a jego sposób patrzenia na świat wywoływał u mnie uśmiech. I to wystarczyło, ponieważ jedyna miłość, jaka kiedykolwiek chwyciła mnie za serce, to ta, która wciąż przyprawiała mnie o cierpienie, miłość do mego synka.

Ewan był dobry. Załatwił mi lokum niedaleko własnego domu i pracę przy wyrabianiu sztucznych kwiatów na śluby i inne okazje. Początkowo pracowałam, ile się tylko dało, i byłam mu wdzięczna, szybko jednak się znudziłam.

- Wolałabym pracować z dziećmi - powiedziałam, bo choć tego akurat mu nie zdradziłam, to podczas opieki nad

maluchami łatwiej było znaleźć chwilę wytchnienia, a poza tym tęskniłam za ich dotykiem i zapachem.

Ewan jednak wpadł na lepszy pomysł. Stwierdził, że powinnam rzucić pracę w ogóle, a on będzie mi wypłacał pensję.

- Nie o to chodzi! - zawołał, widząc cynizm na mojej twarzy, gdyż byłam w tym temacie dość powściągliwa. - Jako przyjaciel, Lauro, chciałbym ci pomóc... choć to prawda, że bardzo mi się podobasz... Ale proszę, pozwól.

- Mogłabym być bardzo dobrą nianią - powiedziałam tak przekonująco, jak tylko umiałam. - Mogłabym pchać przed sobą wielki czarny wózek w czepku zawiązanym pod brodą i...

Urwałam zasmucona, gdy zdałam sobie sprawę, że żadna porządna rodzina szukająca niani nie zatrudni osoby, której brakuje jednej nogi. Ewan roześmiał się i zamknął mi usta.

- Znajdziemy ci pracę z końcem lata - rzekł. - O ile nadal będziesz tego chciała. Bo może ci się odwidzi... no wiesz, być może przywykniesz do lekkiego życia. Tymczasem proszę, zrób mi tylko tę przyjemność i pozwól się czasem gdzieś zabrać...

- Chcesz ze mną wychodzić? - spytałam. - To znaczy, że tylko tyle miałabym robić?

Nie mogłam uwierzyć, że to właśnie ma na myśli.

Roześmiał się znowu. - A dlaczego nie? Gdy będę pracował, możesz robić, co zechcesz. A po pracy będziemy mogli się rozerwać. Czyż oboje nie zasługujemy na odrobinę rozrywki, i ty, i ja? Zasługujemy, nie uważasz?

Przytaknęłam, choć nie miałam pojęcia, co w jego mniemaniu oznacza rozrywka.

Cóż, oznaczała zabieranie mnie w różne miejsca i kupowanie mi ubrań - nie w takich ilościach, jak bym chciała, ale wystarczająco, bym zaczęła wyglądać jak żyjąca w

dostatku, dobrze wychowana osoba. A także sprowadzanie nader chudej kobiety specjalnie po to, by pokazywała mi, jak w modny sposób upinać włosy i jak na szczyt każdej wymyślnej fryzury zakładać kapelusz.

- Och, wyglądasz olśniewająco - stwierdził Ewan, gdy zobaczył mnie w długiej, wąskiej, ciemnofioletowej sukni i pierzastym kapelusiku kupionym tego ranka u Aldridge'a. - I jakie wrażenie? No wiesz, czy czujesz się teraz elegancka i kobieca?

- Bardzo kobieca - odparłam i popatrzyłam w lustro, kiwając głową w kapeluszu, którego rondo to zasłaniało, to odsłaniało mi twarz, jakbym bawiła się w „a kuku!”.

Ewan stał za mną. Było mi całkiem przyjemnie, gdy widziałam, jak patrzy na moją pupę w nowej spódnicy, choć miło z jego strony, że nie próbował jej dotknąć, bo i tak bym mu na to nie pozwoliła.

Mimo wszystko poczynął sobie ze mną coraz śmieiej, i to pod każdym względem - nie licząc się ze słowami i posyłając mi spojrzenia, które mówiły wyraźnie, że któregoś dnia chciałby mnie zaciągnąć do łóżka. Tolerowałam to wszystko, bo przy całej zuchwałości i żartobliwości była w nim pewna nieśmiałość - zadziwiająco wyraźna aura mężczyzny, który nigdy w życiu nie tknął normalnej kobiety i uważał, że jedyny na nią sposób to żarty, pochlebstwa i drobne przepychanki.

- Nie jestem jakoś życiowo doświadczony - wyznał mi raz, ospały po wołównie, cygarach i sherry. - Znam się tylko na obcinaniu rąk i nóg.

Odrzekłam mu, że się myli. Powiedziałam, że naprawdę dobrze zna się na rozrywce i zabawie.

Zabierał mnie do restauracji i na koncerty, i do Pijalni Czekolady U Stanleya, gdzie ścisnął pod stołem moją biedną obolałą kostkę.

- To wszystko raczej przeciętne lokale - oznajmił mi z urzekającą nieśmiałością. - Zaczekaj tylko, aż z czasem zaczniemy odwiedzać naprawdę wspaniałe miejsca.

Powiedziałam mu, że w zupełności mi wystarczą, bo nigdy wcześniej nie bywałam w żadnym z tych tak zwanych „lokali”. Dodałam, że bardzo mu jestem wdzięczna i mam nadzieję, iż wie, jak znakomicie się bawię.

- Bawisz się? - zapytał ze śmiechem, bo zdawał się mieć na tym punkcie totalnego kręćka. - Naprawdę dobrze się bawisz?

- Tak - odrzekłam, bo była to święta prawda, a poza tym miałam coraz większą słabość do tego beznadziejnie nieporadnego i szalenie zamożnego rudego dżentelmena. - Dziękuję ci, Ewanie, naprawdę spędzam przemiłe chwile.

Czasem jednak opuszczał go zalotny nastrój, twarz mu ciemniała i smutniała.

- Nie rozumiem - mawiał wtedy. - Gdzie żyłaś przez cały ten czas? Po prostu tego nie rozumiem. Twoje życie jest dla mnie tajemnicą, tak wiele w nim luk... Co robiłaś i gdzie byłaś?

Odpowiadałam mu tak prawdziwie, jak tylko mogłam.

Powiedziałam, że po śmierci ojca i po tym, jak za sprawą złośliwego testamentu mojej ciotki znalazłam się na ulicy, zasilłam szeregi bezdomnych. Żyłam nad rzeką pośród nędzarzy i włóczęgów, a czasem wśród nieszczęsnych starowinek na stopniach przytułku Świętego Idziego, świadomie wybierając i przedkładając takie bytowanie nad nikczemność i rozpacz przybytku, do którego stopnie owe prowadziły.

Nie wspomniałam o dziecku.

- Tam przynajmniej panowała jedność - oznajmiłam mu stanowczym głosem. - Pośród tych starych kobiet. Dzieliły się tym, co miały, nieraz dostałam kawałek chleba i kubek

herbaty od jakiejś starej nieszczęśnicy, którą ledwo co znałam. A kiedy padało, wszystkie tuliłyśmy się do siebie pod kawałkiem nieprzemakalnej tkaniny, choć cuchnęła jak nie wiem...

Ewan wzdrygnął się na tę myśl.

- Prawdę mówiąc, byłam ich ulubioną przytulanką - powiedziałam, rozkoszując się wyrazem jego twarzy. - Twierdziły, że nic nie grzeje lepiej niż kawałek młodego ciała.

Ewan uśmiechnął się. - Sam chętnie ugrzałbym się przy takim młodym cieple - rzekł i błysnął ujmującym uśmiechem, jakby to było normalne, iż coś takiego pada z ust młodego mężczyzny.

Nie zareagowałam.

- Chociaż faktem jest - ciągnęłam - jak sobie teraz przypominam, jedna młoda dziewczyna umarła kiedyś przy mnie. Zasnęła zwyczajnie w moich ramionach i już się nie obudziła.

W tym momencie Ewan starł z twarzy uśmiech i chyba się wystraszył. Wbił we mnie spojrzenie. - To samo stało się na oddziale - przypomniał mi. - Z tamtym chłopcem...

Miałam już spytać, z jakim chłopcem, ale nie spytałam. W porę się powstrzymałam - i poczułam, jak nagle twarz oblewa mi się gorącem.

- Mmm - rzekłam. - Biedulek, nie pomyślałam o tym. To znaczy... nie powiązałam jednego z drugim... ale masz rację, absolutną rację.

- Biedna Laura - rzekł Ewan.

- Raczej biedny maluszek - wykrzyknęłam, po czym udając, że zbywam to śmiechem, dodałam: - Choć chyba trudno mnie winić za to, Ewanie, że ludziska lubią sobie przy mnie wyzionać ducha!

Roześmiał się, a potem przysunął się do mnie i nieco sztywnymi palcami pogłaskał mnie po rękę, która pokryła się gęsią skórką.

Opowiedziałam mu, jak zajmowałam się dziećmi innych. Jak opiekowałam się nimi w godzinach pracy w zamian za dwa pensy albo kawałek starego chleba, co tam tylko udało im się zdobyć. Nie opowiedziałam o małej Margaret ani o tym, co się stało potem.

Ewan wpatrywał się we mnie uważnie. Ujął mnie za rękę i ścisnął, ale leciutko, jakby to było coś delikatnego, co należy cenić i szanować, a nie coś, co można mieć na każde zawołanie.

- Wiesz, nigdy nie widziałem na ulicy nędzarki równie młodej i ślicznej jak ty - powiedział.

- Ech, wszystkie one są znacznie młodsze, niżby się mogło zdawać. Mogą wyglądać jak starowinki - i często prawdą jest, że dokonują żywota na tych schodach - ale wiele z nich ledwo przekroczyło trzydziestkę, a jednak gdy na nie popatrzysz, wydadzą ci się zgrają starych, gówna wartych czarownic...

Ewan zmarszczył brwi. - To niezbyt ładne określenie, Lauro.

- Co takiego? Czarownice?

- Nie, to wcześniej.

- Och, wybacz, Ewanie - odparłam, napawając się jego zakłopotaniem. - Na moment zapomniałam, że jestem teraz damą.

Kocyk miał kiedyś kolor fioleto-różowy.

Była to najdroższa, najdelikatniejsza wełna z Argyllshire, bo mój ojciec wierzył, że każda porządna rzecz musi mieć swoją cenę. Wszystko w jego domu było najlepszej jakości i przeżyło zamieszkujących w nim ludzi. Kiedy byłam dzieckiem, miejsce kocyka było w moim łóżku, gdzie

zasypiając, wachałam jego rozek. Byłam uważna, dlatego tak długo się zachował. Nie trzeba go było prać zbyt często, a gdy już został wyprany, zawsze powracał do mnie miękkimi i sprężystymi jak nowy.

Zabrałam go z domu po śmierci ojca, gdy komornicy przyszli zająć wszystkie piękne, stare rzeczy. Ściągnęłam koczek ze swego łóżka bez chwili namysłu, pewnie dlatego, że nie mogłam sobie wyobrazić nocy bez niego, choć Bóg świadkiem, nie miałam wtedy pojęcia, jak bardzo mi się przyda. Była to ostatnia rzecz, jaka została mi po ojcu, i pierwsza, jaką dałam swemu dziecku. Koczek powędrował wraz z nim, ściskany w maleńkiej piątce, kiedy go oddawałam - i został mi zwrócony przez tamtych dwóch mężczyzn, kiedy umarł.

Trzymałam go przy sobie w Tatum Fields i to właśnie tam, w piecach do odkażania, stracił w końcu swój przepiękny kolor, stał się brzydki i smutny.

Mój synek pewnie go ssał - a przynajmniej wyskubał nieco brzegi - ale nie żył dość długo, by go wyświechtać. W więzieniu trzymałam go przy piersi i usiłowałam tchnąć weń nieco ciała i ducha. Usiłowałam przemienić go w swoje dziecko.

Nietrudno było tam oszaleć, bo wszyscy byli w mniejszym lub większym stopniu szaleni. Mrok, wilgoć, nocne krzyki, wszystko to kazało zapomnieć, skąd się przyszło i kim właściwie się było.

Więzienna gorączka, tak to nazywano. Jak ktoś miał pecha, odmieniała mu mózg na zawsze.

Byłam grzeczną dziewczynką, bardzo grzeczną. A co mi innego pozostało? Dlatego zabrali mi welon - to był nagły, bolesny, oślepiający błysk światła - i wysłali do pracy w pralni, która znajdowała się w podziemiach, dzięki czemu mniej bolały oczy.



Tam, na dole kobiety były rzeczowe, pyskate i dobrodusze za sprawą pinty piwa, na którą pozwalano w ramach zapłaty za pracę.

Ciasnota i alkohol sprzyjały poufałości. Nigdy wcześniej nie byłam dotykana w ten sposób przez kobietę i początkowo już sama myśl o tym wcale mi się nie spodobała, ale jedna taka o imieniu Dorcas patrzyła na mnie w taki miły sposób, kiedy głaskała mój policzek i ścisnęła dłonie, że było dla mnie jasne, iż nie ma zamiaru zrobić mi żadnej krzywdy.

Piwo dostawało się po południu, potem z powrotem na godzinę do pralni, a potem okazja, by dłużej pospacerować po dziedzińcu, gdzie wszystkie stąpałyśmy ciężko, przeciągałyśmy się i w słabym słońcu mrużyłyśmy oczy.

Dorcas spacerowała bardzo blisko mnie, zaciskając palce na moim pasku. Nie mogłam jej powstrzymać, zresztą nawet nie próbowałam - miała na to ochotę, więc jej nie broniłam.

Raz podczas naszych dni rozrywki i zabawy, ponieważ odmawiałam pójścia do kościoła, Ewan zabrał mnie w któryś niedzielny poranek na ptasi targ w Epping Forest.

- To swego rodzaju tradycja - wyjaśnił sztywno. - Chodzę tam od czasu do czasu od wielu lat. Uważam, że to niezła rozrywka.

Nigdy o tym targu nie słyszałam i nie omieszkałam mu tego powiedzieć. Prawdę mówiąc, cieszyłam się na tę wyprawę. Każde takie wyjście było przede mną mile widziane. Założyłam kapelusz z dwoma brązowymi piórkami. Zapytałam, czy kupimy jakiegoś ptaka, a on popatrzył nagle zmieszany i poważny.

- Chyba nie do końca uważam, że ptaki powinny być trzymane w klatkach - powiedział. - Prawdę mówiąc, Lauro, moim zdaniem to dosyć okrutne... a twoim?

Odrzekłam zgodnie z prawdą, że nigdy się nad tym nie zastanawiałam. To znaczy, przecież to tylko ptaki, nieprawdaż?

Przymknął oczy i potarł dłonią brodę, na której już pojawiały się rude kropki zarostu.

- To żywe istoty - stwierdził. - Wszystko to boże stworzenia... Roześmiałam się, słysząc o Bogu - bo już dawno powiedziałam

mu, że Bóg ma głęboko w nosie mnie i wszystkich, których znam - po czym kuśtykając o kulach dalej, splunęłam na bruk.

- Lauro! - wykrzyknął, śmiejąc się jednak przy tym. - Jako dama w kapeluszu nie możesz tak pluć na ulicy!

Podjęłam grę. Oparłam ręce na biodrach i wydełam wargi. - To czemu się śmiejesz? - zapytałam. - Nie rozumiem, co cię tak bawi, skoro to takie niestosowne.

- Śmieję się tak, jak śmiałbym się z dziecka - odparł zdecydowanie. - Bo dziecko nie rozumie jeszcze...

- To tak jak ja - orzekłam. I parsknęłam śmiechem, a on mi zawtórował, bo oboje zdaliśmy sobie sprawę z bezsensu tej rozmowy.

Na targu panował zgiełk złożony w ptasich śpiewów i głosów mężczyzn, wykrzykujących ceny i trzymających klatki wysoko nad głowami. Bardzo się podekscytowałam, przechodząc od stołu do stołu i oglądając przesłodkie maleńkie klateczki z wikliny zwisające z wozów handlarzy i skąd się tylko dało.

Ewan objął mnie, a ja ucieszyłam się, że talię mam tak szczupłą, iż palce jego dłoni kończyły się w miejscu, gdzie miałam pępek. Zazwyczaj nie lubiłam być w tym miejscu dotykana, ale dziś postanowiłam się nie sprzeciwiać, bo wydawał się rozluźniony i szczęśliwy, a kiedy był rozluźniony, od razu znacznie lepiej wyglądał. Podobał mi się,

kiedy jego twarz nie była taka ściągnięta i niepewna jak wtedy, gdy nad czymś zbyt intensywnie myślał.

Uśmiechnęłam się do niego, a on odpowiedział tym samym. Dzień, który rozpoczął się szaro i pochmurnie, teraz rozjaśniał się i zapowiadał ciepło, słońce i błękit.

- Kup mi jednego! - powiedziałam nagle. - Proszę, Ewanie...

- Co takiego? - spytał srogim głosem. - Chcesz ptaka? W klatce?

- Malutkiego śpiewaka. Tak. Jednego z tych uroczych brązowych maleństw o smutnych oczach...

Ewan przystanął i myślał. - Wiesz, kupiłbym ci coś z przyjemnością. Nie w tym rzecz. Myślę jednak, że nie mógłbym już nigdy być szczęśliwy, wiedząc, że trzymasz ptaka w klatce.

- Nie musiałbyś go oglądać - upierałam się. - Ukryłabym go gdzieś u siebie w mieszkaniu...

Ewan się skrzywił. Zaraz jednak coś mu przyszło do głowy. Ucałował mnie w policzek, jakby wszystko zostało postanowione.

- A gdybym ci kupił - rzekł - żeby go wypuścić? To byłby dla niego najpiękniejszy dar - wolność! Moglibyśmy wypuścić go i patrzeć, jak szybuje w powietrzu i odfruwa...

- A gdyby nie zechciał? - wtrąciłam szybko.

- Wszystkie ptaki tego chcą, Lauro... to oczywiste. Ptaki są stworzone do tego, by fruwać...

- No tak - odrzekłam, specjalnie starając się pozbawić głos wszelkiego wyrazu.

Zmarszczył brwi. - Pomyśl, jak przyjemnie będzie zobaczyć, jak odlatuje... A teraz poważnie, zastanów się, czy chciałabyś być trzymana w klatce?

Zawahałam się. Kusiło mnie mocno, by powiedzieć mu, że bywałam trzymana w warunkach znacznie gorszych niż ptaki

w klatkach. Ptaki przynajmniej miały światło i towarzystwo. Mogły przynajmniej wydawać dźwięki. Po zdarzeniu z Margaret byłam trzymana w ciemności tak długo, że nawet w pochmurny dzień bolały mnie potem oczy i omal nie wyskakiwałam ze skóry na dźwięk własnego głosu.

- Powinnaś postawić się na ich miejscu, Lauro - mówił surowym głosem z moralnym przekonaniem, które działało mi na nerwy. - Inaczej wykażesz się ślepą ignorancją... i egoizmem.

- To tylko durny ptak! - powiedziałam.

- Ależ Lauro!

- No dobrze - rzekłam. - Ale najpierw pozwól mi go trochę potrzymać. Dwa dni, dobrze?

- Jeden wystarczy - odparł Ewan.

- Jeden dzień i jedną noc - uparłam się.

Wyciągnął portfel.

- Podobają mi się te maleńkie klateczki - oznajmiłam niecierpliwie, prowadząc go za łokieć do tych, które urzekły mnie najbardziej.

- Och, Lauro - rzekł z rozpaczą w głosie złagodzoną nieco przez moją dłoń na jego ramieniu. - Te akurat są najgorsze.

- Ale mój pokój jest taki mały - zaczęłam mówić przymilnym głosem - nie mam miejsca na taką dużą...

Cóż, pochodziliśmy jeszcze trochę i wybrałam najmniejszego, najbardziej bezbarwnego ptaka, jakiego udało mi się znaleźć, który jednak swym głosem zagłuszał wszystkie inne. Miał świdrujące oczka i zupełnie nędzne, wystrzępione pióra w ogonie, lecz gdy otworzył żółty dziobek, zaczynało z niego płynąć coś tak czystego, że wręcz niezziemskiego.

- Daj mi! - rzekłam do Ewana, wyciągając rękę po klatkę, gdy tylko zapłacił.

Mężczyzna, od którego kupiliśmy ptaszka, mrugnął do Ewana. Myślał pewnie, że po powrocie czeka go niezłe chędożenie.

- Biedny ptaszek - mamrotał Ewan, cmokając i ćwierkając. - Biedny uwięziony śpiewak.

- Może lubi swoją klatkę - zasugerowałam znowu, choć wiedziałam, że nie powinnam tego mówić.

Zresztą może naprawdę ją lubił, bo trudno było oprzeć się wrażeniu, że maleńką, krągłą pierś rozpiera szczęście, gdy śpiewał.

- Skąd wiesz, że to szczęście? - zapytał Ewan, gdy to zauważyłam. - To tylko ludzie wiążą śpiew ze szczęściem.

- Cóż, z pewnością wygląda na szczęśliwego - mruknęłam i posłałam delikatny, szczery pocałunek mojemu ptaszкови, który skakał jak oszalały z żerdki na żerdkę, jakby nie rozumiał, że zupełnie nic mu z tak wariackiej aktywności nie przyjdzie.

Na końcu targu, gdy tam dotarliśmy, stała osoba sprzedająca kawę, ktoś inny oferował jabłka w cukrze, jeszcze ktoś mażże i smażone ziemniaki i tak dalej. Ustawiono też lawy i stoliki, by można było coś zjeść i się napić. Ewan kupił lemoniadę, lecz powiedziałam, że nie mam ochoty.

- Raz dałem sobie tu powróżyć z ręki - wyznał. - Tuż przy bramie stoi nieraz kobieta, która to robi.

- Ach tak - odrzekłam, choć moje oczy i uszy ze szczętem należały do ptaszka. - I co, sprawdziło się? Co ci przepowiedziała?

- Za wcześnie, by o tym mówić - odparł Ewan ze śmiechem. - Widzisz, pamiętam jedynie - gdyż musisz wiedzieć, że nie przywiązuję do takich rzeczy większej wagi - że dożyję sędziwego wieku. Tak, przy odrobinie szczęścia będę kiedyś bardzo starym człowiekiem.

- Wielkie nieba - powiedziałam, usiłując wyobrazić sobie Ewana pomarszczonego i z siwymi włosami. Nie mogłam.

- Otóż to - rzekł. - To samo sobie wtedy pomyślałem.

- Jesteś człowiekiem nauki - zauważyłam po chwili zastanowienia. - Dlaczego miałbyś w to wierzyć?

- Och - odrzekł niejasno - ludzie nauki też wierzą w to i owo...

- Ale nie w jarmarczne wróżby! - sprzeciwiłam się.

- Pewnie nie - przyznał.

Spostrzegłam jednak, że spogląda na mnie tak, jakby to, co powiedziałam, w jakiś sposób zmieniło mnie w jego oczach na zawsze.

Cóż, pochodziliśmy jeszcze trochę po targu, a ja niosłam swojego ptaszka i wyznać muszę, że już samo trzymanie go w rękę było dla mnie źródłem największej przyjemności. Podziękowałam Ewanowi wylewnie za to, że mnie tutaj przyprowadził, i oznajmiłam, że chcę przyjść znowu.

- To dziwne miejsce - stwierdził Ewan, jakby sam do końca nie wiedział, co właściwie myśli albo co powiedzieć na jakikolwiek temat, od momentu, gdy nabyliśmy ptaszka.

Dorcas miała bardzo gęste włosy, które w świetle mieniły się czerwienią. Tak jak ja, miała siedemnaście lat i za długo przebywała w podziemiach. Twierdziła, że ciemność obdarzyła ją niezwykłymi zdolnościami. Twierdziła, że potrafi zajrzeć w przyszłość i że mnie kocha.

Nie powiedziałam, że także ją Kocham, bo byłoby to kłamstwo, ale też jej nie odpychałam. Jej uwaga i dotyk - miękki i tak nierealny, zupełnie inny od dotyku mężczyzny - był jednocześnie niepokojący i przyjemny.

Zapytałam ją, co zobaczyła.

- Cóż, będziesz miała wypadek - odpowiedziała, przez cały czas się uśmiechając.

- Co? - wystraszyłam się. - Tutaj? Co za wypadek?

- Nie, nie - odrzekła smutno. - Nie tutaj, wyjdiesz stąd, Lauro, wiesz przecież. To będzie gdzieś indziej...

- Czy umrę? - spytałam z lekkim drżeniem serca.

Pomyślała chwilę. Spojrzała mi w twarz.

- Nie za pierwszym razem - odrzekła wreszcie. - Ale za drugim, być może. Tak, to nawet prawdopodobne.

- To dobrze - powiedziałam. - Będę mogła spotkać się z moim synkiem w niebie...

Opowiedziałam jej już o moim dzieciątku.

- Skąd wiesz, że jest w niebie?

- No, nie wiem, ale... no... nie wiem.

Uśmiechnęła się, jakby posiadała wszelką wiedzę. - Bóg to jakiś żart, no nie?

Wzruszyłam ramionami. - Nie wierzę w niego, ale chcę, żeby opiekował się moim dzieckiem.

- No tak - westchnęła. - Spotkasz się z nim, gdy opuścisz ten świat.

Popatrzyłam na nią. - Tak tylko mówisz...

- Nie - odparła. - Myślę, że tak będzie. Mam mocne przeczucie tutaj - dotknęła swego serca - i tutaj - dotknęła czoła - że znajdziesz swe dzieciątko.

- Och, Dorcas! - powiedziałam.

- Ale nie w taki sposób, jak myślisz...

- Każdy sposób będzie dobry - odrzekłam, a wtedy ona dotknęła mego karku i spytała, czy jej nie zapomnę, kiedy mnie stąd wypuszczą, ja zaś szczerze odpowiedziałam, że pewnie tak.

Nadciągał wieczór.

- A ty? - spytałam ją.

- Och, mnie powieszą.

Stałyśmy spokojnie na dziedzińcu, a ponieważ strażniczka już wcześniej weszła do środka, byłyśmy tylko we dwie.

Więzienne mury porastał bluszcz, jego liście kulily się w mroku niczym palce.

Dorcas urwała liść, przeżuła go i połknęła, nim zdążyłam ją powstrzymać. Myślała, że może zawierać truciznę, która ją zabije, ale nazajutrz wciąż żyła i miała się dobrze, więc raczej jej to nie zaszkodziło.

Powiedziałam, że nie powinna jeść bluszczu, ale nie dałam po sobie poznać, że mną to wstrząsnęło czy wywarło jakiegokolwiek wrażenie. Dorcas i tak lubiła zadzierać nosa. Siedziała za zabójstwo, tak jak ja, tylko że w przeciwieństwie do mnie ona rzeczywiście je popełniła.

Porąbała człowieka na kawałki i ukryła w materacu. Uszłoby jej to nawet na sucho, gdyby materac nie okrył się szkarłatem krwi, tak przynajmniej twierdziła, choć nie jestem pewna, czy w to akurat jej uwierzyłam.

Billy i ja dochodzimy wreszcie do tego dziwnego, opustoszałego miejsca za chatkami kaletników i kowali, gdzie nabrzeże przybiera ponury wygląd, a woda w rzece jest wysoka i wzburzona.

Tutaj droga o smolistej nawierzchni, którą idziemy, ustępuje miejsca smutnym chwastom, pośród których wala się potłuczone szkło, stary chleb i rozmaite rupiecie, tworząc jeden wielki bajzel, posępną zbieraninę najróżniejszego rodzaju gratów i śmieci. Budynek na rogu jest zupełnie czarny i wylewają się z niego druczane wnętrzności.

- To wybuch gazu - wyjaśnia mi Billy, który zna to miejsce bardzo dobrze.

To był jego pomysł. Czego byś tutaj nie przyniosła, zaraz znika, powiedział.

Wczesnoranne powietrze jest śliskie i szare, a mgła pomaga nam, ukrywając brzeg po drugiej stronie, choć i tak widać słaby zarys budynków fabryki. Jest zimno, chociaż nie



za bardzo - mniej więcej tak, jak można się o tej porze roku spodziewać.

Dziwna to okolica i sama w życiu bym się tutaj nie wybrała - powietrze przesycane tymi zapachami, że nigdy jeszcze nie wahałam równie złożonej mieszanki: dżem, klej, skóra i słodczyce, a przynajmniej palony cukier. Na końcu Perseverance Street mieszka wytwórca żelatyny, to wiem, ale ten melasowy zapach słodczy stanowi dla mnie zagadkę.

Zaczyna świtać, a to dla nas problem. Billy lśni od potu. Palce ma naznaczone czarną ziemią, która pojawiła się nie wiadomo skąd, no i jest jeszcze ta krew - na szczęście tylko nierówna ciemniejąca jej plama - na ramieniu.

Z ulgą stawiam kosz na ziemi i macham rękami, obolałymi i zdrętwiałymi po jakiejś godzinie dźwigania.

- Jeśli przyniosę kamienie, powkładasz je do worków? - pyta Billy. - Dasz radę? Do każdego trzeba włożyć, ile się tylko da.

Mówię mu, żeby przyniósł też trochę cegieł, pokazując na wpół zawaloną ścianę, którą zdążyłam zauważyć, na nasze szczęście mocno pozbawioną zaprawy i w rozsypce.

- Mogą być za duże - mówi z powątpiewaniem. - Zdołasz je włożyć?

Spoglądam na worki, gdzie tyczkowate kończyny i korpus Ewana spoczywają grubo owinięte w papier.

- No dobrze - odpowiadam. - Spróbuj najpierw z kamieniami.

Odbiega. Dyszy ciężko. Chucherko z niego tak naprawdę i strasznie mi przykro, że go w to wszystko wciągnęłam, strasznie przykro...

Przysiadam przed workami i podciągam spódnicę, by spróbować podrapać się po kikucie, gdzie dręczy mnie swędzenie, którego nie mogę się pozbyć. Zawsze mi umyka. Jeśli podrapię się w jednym miejscu, ono przesuwa się dalej.

Wędruje po całym udzie, a ja nie mogę sobie ulżyć, co jest w najwyższym stopniu irytujące. Zupełnie jakby jakaś część ciała odwracała się i śmiała mi się prosto w twarz - może doprowadzić do szału i strasznie jest żenujące zarazem.

W końcu ściskam mocno między palcami chropawy guzek własnego ciała i spluwam na niego, lecz nawet ślina nie przynosi ukojenia.

Postanawiając skupić się na czymś innym, odwracam się i obserwuję Billy'ego.

Kamienie. Cegły. Ciężar, który się sprawdzi - solidna masa, która pociągnie w dół. I w tym momencie moje myśli wędrują do dnia, kiedy się utopiłam: kusząca rzeka, ciężkie kamienie zbierane w popłochu gdzie się tylko dało, nierealny charakter i forma tamtego poranka dawno, dawno temu.

Nie, wcale nie tak dawno.

Właściwie ile czasu minęło, odkąd spódnica i halki pociągnęły mnie w dół? Ile czasu, odkąd światło dnia zgasło nad moją głową i poczułam, jak strumienie srebrzystych, aksamitnych bąbelków łaskoczą mi uszy, szyję, nos? Ile czasu, odkąd umarłam i połączyłam się ze swoim synkiem?

To jest moje niebo.

Od tamtej pory wszystko chyba zaczęło się rozmywać. Ile czasu minęło? Trudno zgadnąć, jako że odkąd ze sobą skończyłam, świat zmienił się zupełnie w coś innego.

Podobnie śmierć Ewana: nieuchwytna i nierzeczywista. Absolutnie nic nie dzieje się tak jak dawniej, a my za bardzo wszystko sobie bierzemy do serca, choć wiem przecież, że serce umarło.

Oddając się tym ponurym myślom, pomagam Billy'emu wpakować do worków tyle kamlotów, ile się tylko da. Myślę sobie, że z koszem pójdzie łatwo - mogę zwyczajnie ułożyć kamienie wokół głowy, jakbym pakowała jedzenie na piknik.

Worki jednak trzeba rozwiązać, a potem cierpliwie związać z powrotem, żeby pozostały obciążone.

Dokoła nie widać ani żywej duszy. Woda jest szara - bardzo ciemna i mętna. Teraz już za nic bym do niej nie weszła. B. idzie popatrzeć na sam brzeg - nie wiem dlaczego - po czym wraca, bez słowa bierze kosz i zaraz idzie go wrzucić.

Nie sądziłam, że zrobi to tak od razu.

Dźwigam się w górę i ruszam to zobaczyć.

Kosz z głową Ewana szybuje w powietrzu, zaś plusk, z którym ląduje, jest niewyobrażalny.

Grad kropel, fale, kręgi zakłóconego spokoju wody.

Przyglądamy się, jak głowa tonie, po czym wypływa z powrotem na powierzchnię i sunie z prądem.

- O nie, nie wierzę - mówi Billy.

- Nie... - odpowiadam, dotykając jego ramienia. - Zobacz, chowa się... - i zanim skończę, cała czaszka znika z widoku, ginie pod wodą.

Twoja głowa znika pod wodą, jak kiedyś zniknęła moja. Żegnaj, Ewanie.

Nad własnymi głowami mamy zupełnie coś innego: niebo jaśniej i pokrzykują mewy.

- Szybko - mówi Billy - reszta...

Musi wrzucić największy worek, bo ja nie jestem w stanie go ruszyć, za to z przyjemnością biorę w silniejszą rękę i robię zamach tym drugim - szust! - i wrzucam. Oba idą na dno natychmiast, czyniąc plusk szybki, głośny i nagły.

Przez moment stoimy w ciszy - nie licząc mew - po czym on siada i wyciąga papierosa.

- Dzięki Bogu - mówi. - Cholera, dzięki Bogu.

Stoję za nim, podpierając się tylko jedną kulą. Staram się wdychać poranne powietrze. Słabe, pozbawione konturów

słońce liże dachy fabryk, które widać już wyraźnie po drugiej stronie rzeki.

- No i - odzywa się Billy - co teraz?

- Wiesz, brzuch mi rośnie - mówię mu. - Powinieneś wiedzieć, że trochę się zaokrągliłam.

- To dobrze. Bardzo dobrze. Przyda ci się. Jesteś za chuda...

- Nie - przerywam mu. - Mówię poważnie, Billy, popatrz.

Ledwo podnosi wzrok, taki jest skupiony na swoim papierosie, z taką rozkoszą smokcze go i się zaciąga.

- Wcale nie mówisz poważnie. Daj spokój.

- Ależ tak.

- No to muszę powiedzieć, że nie zauważyłem. Wyglądam spódnice, ale i tak coś mi sterczy.

- Jasne, że nie zauważyłeś. Ale zapewniam cię, że to prawda. Nie pierwszy raz przychodzi mi to do głowy, po prostu do tej pory nie było okazji, by ci powiedzieć.

Zapada cisza. Billy podaje mi papierosa, lecz odmawiam, nie mam ochoty.

- Więc co właściwie próbujesz powiedzieć? - pyta wreszcie.

- Nie wiem - odpowiadam, nagle tracąc pewność - sama nie wiem, co mówię.

- To już lepiej.

- Zapomnij o tym.

- Zapomnę.

Za jego plecami, tak że mnie nie widzi, wytykam mu język. Wytykam język tak długo, aż zaczyna mnie boleć szczeka, i zezuję tak, że czuję klucie w skroniach. A potem uśmiecham się do tłumu budynków na drugim brzegu i wyobrażam sobie, że one uśmiechają się do mnie.

- Tak... - odzywa się za moment Billy.

- Co: tak? - mówię szybko.

- To złe miejsce.

- Mmm. Dlaczego?

- Nie wiem - wyznaje ze smutkiem. - Po prostu złe, i już.

Wolną rękę kładę sobie na brzuchu. Czuję, że coś się porusza. Niemożliwe, by coś się tam ruszało, bo krwawiłam jeszcze tego wieczora - wczoraj wieczorem - kiedy zaczęłam okładać Ewana.

- Dokąd idziesz? - pyta Billy.

- Nigdzie. Zostań tu, zaraz wrócę.

Przykucam za największym stosem cegieł i odkładam kule. Rozwiązywanie majtek to taka trudna i skomplikowana czynność, że idę po linii najmniejszego oporu i wkładam tam sobie palec z boku.

Gdy go wyjmę, jest śliski, lecz czysty, bez żadnej plamki. Pachnie serem i solą, jakby gotowało się coś smacznego.

Wracam do Billy'ego.

- Mam nadzieję, że nie wypłyną - mówię, wpatrując się w wodę. - A jeśli tak?

- Nie wypłyną - odpowiada bez emocji. - Dostatecznie długo...

- Czyli przez ile?

Podnosi wzrok i nagle oplata żartobliwie ramieniem moje kolano, jakby wybaczył mi wszystko, czemu tylko mogłam czuć się winna.

- Przez sto lat, Lauro... czy tyle ci wystarczy?

Uśmiecha się. Od wieków nie widziałam, żeby się uśmiechał - przez wszystkie te godziny, odkąd zaczęły się nasze kłopoty.

- Och, sto lat to aż nadto - mówię zgodnie z prawdą. Billy śmieje się i znowu na mnie spogląda.

- Nie jesteś chyba... w tarapatach, co, Lauro?

Wzdycham. - Nie jestem w żadnych tarapatach, Billy - zapewniam go. - Teraz, gdy jego już nie ma i zostaliśmy tylko my, jestem w niebie.

Na początku, gdy zaniósłam ptaszka do swojego mieszkania, myślałam cały czas, jaki wydaje się szczęśliwy, skacząc radośnie pomiędzy dwiema żerdkami i śpiewając, ile sił w maleńkich płucach.

- Słodziak z ciebie, ale i mała szelma przy tym! - droczyłam się z nim, bo czyż nie tak zwyczajni ludzie rozmawiają ze swoimi przyjaciółmi i bliskimi, udając krytykę, tak jednak lichutką, że bez trudu przebija się przez nią ciepłe uczucia?

Ptaszek przyglądał mi się bystrymi oczkami, lecz ani na chwilę nie przestawał skakać.

- I straszny wiercipięta! - dodałam.

Obserwowałam, jak mój skrzydlaty przyjaciel przeskakuje, obraca się i przeskakuje znowu, zawsze w tym samym rytmie - przeskok, obrót, przeskok, przeskok, obrót, przeskok...

- Ptaszku, robisz się nudny - oznajmiłam. - Jeśli zamierzasz pozostać moim towarzyszem, musisz wymyślić coś innego.

Ewan kupił mi małą, papierową torebkę karmy, a ja otworzyłam ją delikatnie i spróbowałam jedno ziarenko, lecz było tak gorzkie, że od razu je wyplułam.

Wreszcie uchyliłam ostrożnie drzwiczki i wsypałam trochę ziarna na podłogę klatki, gdzie już zalegał całkiem spory stosik łusek po wcześniejszych posiłkach. Ptaszek skakał dalej, lecz zaczął też lekliwie trzepotać skrzydłami.

- Mam posprzątać? - spytałam, usiłując zebrać łuski na swoją wielką dłoń.

Doszłam do wniosku, że ptaszek bardziej niż sprzątania potrzebuje ciszy i spokoju, dlatego cofnęłam rękę, zamknęłam klatkę i wydałam wargami parę całusnych dźwięków.

- Jedz - powiedziałam.

Niewdzięczne stworzenie jednak nawet nie spojrzało w stronę ziarna. Zamiast tego dalej skakało jak opętane, a mnie przyszło do głowy, że w jego wykonaniu w zasadzie nic innego jeszcze nie widziałam.

Zaczęłam się zastanawiać, czy Ewan nie miał racji - czy zamknięcie w klatce nie doprowadzało do szaleństwa, gdyż zdawało się, iż ptaszek przemienił się w mechaniczną zabawkę, co ujmowało mu nieco powabu jako memu zwierzątku do kochania.

Podniosłam więc klatkę za niewielką pętelkę na wierzchu i postawiłam na stoliku przy małym oknie. Miałam nadzieję, że odór i błoto na ulicy go nie odstręczą - w Epping było tak czysto i świeżo - ale przynajmniej miał tu trochę dziennego światła i słonecznych promieni.

Nie zrobiło mu to jednak żadnej różnicy. Mój ptaszek nie czyścił piórek ani nie wygrzewał się w słońcu. Zdawał się ledwo zauważać jego promienie. Nie zwracał uwagi zupełnie na nic - i w końcu to jego skakanie i śpiewanie zaczęło doprowadzać mnie do szału.

- Nic innego nigdy nie robisz? - spytałam. - Tylko skaczesz i śpiewasz? Skaczesz i śpiewasz?

Podeszłam do niego i splunęłam. Ślina wylądowała na podłodze klateczki, na łuskach, ale trochę trafiło na żerdkę.

I dobrze, pomyślałam. Może poślizgniesz się i spadniesz, to przynajmniej trochę się pośmieję.

Ptaszek jednak dalej robił swoje. Skok, obrót, skok, skok, obrót, skok.

Stuknęłam o podłogę kulą, żeby go przestraszyć. Położyłam się na łóżku i zakryłam uszy poduszką. Mój brzuch

od tej monotonii zamieniał się w bryłę lodu. Staralam się nie płakać.

Och, nie mogę mieszkać z tak monotonnym ptakiem - myślałam - byłam w błędzie, sądząc, że zdołam.

Ciekawe, czy gdybym podniosła klatkę i nią potrząsnęła, ptaszek przestałby skakać albo by padł.

Nigdy bym wcześniej nie pomyślała, że zatęsknię za ciszą, a jednak tak się stało. W więzieniu otaczali nas murem z cegieł i zakładali szmatę na głowę. Ciemność i cisza wiodły do skruchy, zwłaszcza u kobiet, jak twierdzili. Samotność miała cię na powrót przywieść do dobrego, ale to nie działało - sprawiało, że tkwiące w człowieku cząstki zła wydobywały się na powierzchnię. Sprawiało, że zaczynało się znajdować uzasadnienie dla własnych błędów.

Rozsadzające mi głowę ciemność i cisza. To ich teraz pragnęłam. Wyciągnęłam się na łóżku i czekałam.

- Ptaszku! - wrzasnęłam wreszcie. - Zamknij się albo cię zabiję!

Aż nagle, akurat w chwili gdy już miałam rzucić się i cisnąć klatką o ścianę, przypomniałam sobie, co Ewan mówił o jego uwolnieniu.

No jasne! To było to - idealne rozwiązanie, nie dość że dobre dla ptaszka, to jeszcze takie, jakiego oczekiwał Ewan.

Lekko spocona podeszłam do klatki, gdzie mały nieszczęśnik wciąż skakał i ćwierkał.

Otworzyłam drzwiczki i zwróciłam je ku otwartemu oknu. Ptaszek jednak nie wychodził. Odczekałam jeszcze chwilę, lecz zdawało się, że mały gamoń świata nie widzi poza dwiema żerdkami.

- No już - ponagliłam - wychodź.

Próbowałam przechylić nieco klatkę, żeby może wypadł. On jednak tylko poruszył skrzydełkami, wydając cichy,



trwożliwy dźwięk, od którego wywracał mi się żołądek i włosy stawały dęba na głowie.

Wreszcie, kiedy już miałam się poddać i zabić stworzenie, ono zeskoczyło z żerdki ku otwartym drzwiczkom - i poleciało.

Odsunęłam się od okna, pragnąc popatrzeć, jak wzbija się i szybuje nad dachami Londynu, lecz zamiast tego ten mały dureń wystraszył się, stracił orientację i wyrznął głową w mur naprzeciwko.

Spadł i zginął na miejscu - leżał ze skrzyżowanymi karkiem i szkarłatną obwódka wokół durnego żółtego dziobka.

Po zdarzeniu z ptaszkiem Ewan podał mi jakieś małe białe tabletki. Wytrząsnął je z wąskiej, zakurzonej fiolki i kazał łyknąć dwie. Dwie teraz i dwie przy kolacji, powiedział.

- To na uspokojenie - powiedział mi swoim najmiłszym głosem tatusia - doktora.

- Ależ jestem absolutnie spokojna! - sprzeciwiłam się, pijąc pyszny, słodki sok z limonki, którym mnie poczęstował.  
- Wcale nie jestem zdenerwowana. Jak wiesz, nie bardzo chciałam podarować temu cholernemu stworzeniu jego cholerną wolność...

Ewan wydał się nieco zaniepokojony tymi przekleństwami, ale uścisnął moją dłoń i wysupłał na twarz uśmiech.

- Dlatego właśnie musisz wziąć pigułki - orzekł. - Popadasz w histerię. Jeśli zdołasz się odprężyć, znowu zaczniesz reagować normalnie...

- Normalnie! - wykrzyknęłam. - Przecież mówię ci, Ewanie, że reaguję normalnie...

Zastanowił się chwilę.

- Kobiety często bywają nieszczęśliwe po śmierci małego, ukochanego zwierzątka...

Roześmiałam się, a on na mnie popatrzył.

- Ale ty - mówił dalej - ty nie wydajesz się w najmniejszym stopniu zdenerwowana.

Roześmiałam się znowu, nie mogłam się powstrzymać.

- Daj spokój, Ewanie, miałam go dosłownie przez pięć minut. Nie zdążyłam go pokochać.

Wiedziałam, oczywiście, na czym polegał mój błąd - i plułam sobie w brodę, że powiedziałam mu całą prawdę, zamiast zwyczajnie uprzątnąć bałagan i udawać, że nieszczęśnik odleciał.

Tego dnia bowiem, gdy zginął mój ptaszek, udałam się na umówione spotkanie z Ewanem, na herbatę i krewetki.

Cóż, przeżuwałam właśnie chleb z masłem, gdy nagle przypomniałam sobie i wyciągnęłam z torebki zawiniątko. Owinęłam go w papier i związałam sznurkiem, bo tylko to miałam i nie bardzo wiedziałam, co innego mogę zrobić. Wydawał się znacznie, ale to znacznie mniejszy, niż zapamiętałam - pakunek, znaczy się - skurczony i płaski. Mógł to być kawałek mięsa. Tym bardziej że rozek papieru zaplamiony był krwistą czerwienią.

- Co to u...? - Ewan wziął zawiniątko, przytrzymał za sznurek i popatrzył na mnie, jakbym była wiedźmą.

- Mój ptaszek - odrzekłam z buzią pełną chleba. - Poleciał i rąbnął prosto w ścianę...

Ewan ostrożnie położył pakunek na stole. Nie mógł oderwać oczu od mojej twarzy.

- Że co... co takiego? To znaczy, że on jest nieżywy?

Roześmiałam się lekko. - Nieżywy! Zgadza się, Ewanie. Czy zawinęłabym go w papier, gdyby był żywy? Uderzył prosto głową. To tylko i wyłącznie jego wina, bo nie patrzył, gdzie leci.

Ewan wytarł serwetką palce i rozejrzał się dokoła. - I to tutaj to jest ten ptaszek?

Skinęłam i nadziałam na widelec krewetkę. - Padł trupem na miejscu...

Uciszył mnie, chwytając za mój nadgarstek. - Ja nie rozumiem - rzekł. - Dlaczego...? Dlaczego przyniosłaś tu... tego martwego ptaka, Lauro?

- Cóż... - Sama usiłowałam wymyślić dlaczego. - Kupiłeś go, nieprawdaż? Należy do ciebie. Nie wiedziałam, co z nim zrobić. Pomyślałam chyba, że będziesz chciał....

- Że co będę chciał?

- Go zobaczyć? - Uśmiechnęłam się szeroko, bo coś przyszło mi do głowy. - Mógłbyś go pokroić, gdybyś miał ochotę, Ewanie - powiedziałam głośno. - Tak jak odkroiłeś moją nogę, pamiętasz?

Pobladł i położył pakunek na podłodze pod stołem. Rozejrzał się wokół siebie, by sprawdzić, czy nikt nie usłyszał. Nie usłyszał.

- To nie była moja wina, Lauro - powiedział i ścisnął moją dłoń tak, jakby zadając mi ból, mógł mnie zmusić do milczenia.

Wzruszyłam ramionami i wyrwałam rękę z jego uścisku. - Twoja czy nie twoja - rzekłam - wszystko jedno.

Ewan uregulował rachunek i natychmiast wyszliśmy, a mnie było żal, bo chętnie zjadłabym kawałek ciasta. Zaczynałam się do tego przyzwyczajać, do tej nagłej eksplozji delikatności i słodkości, do tego zbytkownego wyboru deserów na jednym talerzu.

- Trzeba z tobą zrobić porządek, Lauro - stwierdził ponuro Ewan, kiedy przywołał dorożkę i mnie do niej zapakował.

- Słucham?

- Jesteś nieludzka - mówił. - Nie krwawisz, nie krzywisz się, nie płaczesz. Nic nie jest w stanie cię wzruszyć - jak

gdyby brakowało ci jakiejś części. Przerażasz mnie... wiesz o tym?

- Czasami przerażam sama siebie - przyznałam i parsknęłam śmiechem. - Może powinieneś poniechać dostarczania mi rozrywki? - zasugerowałam, choć sama nie wiem, dlaczego to powiedziałam, bo wcale nie miałam ochoty rezygnować z wycieczek i deserów. - Może jednak nie jestem kobietą, z którą powinieneś się zabawiać?

Ewan popatrzył wstrząśnięty, po czym uśmiechnął się jakoś tak dziwnie sam do siebie.

- Oj, sam nie wiem - odparł. - Na szczęście nie zniechęcam się tym, czego nie rozumiem. Lubię wyzwania. I prawdę mówiąc, coraz bardziej mi się podobasz.

- Ale... - zaczęłam protestować, lecz on podniósł rękę.

- Nie próbuj tego zrozumieć - powiedział. - Bo to nie ma najmniejszego znaczenia. Nie jesteś jedyną osobą, która czasem przeraża samą siebie, Lauro.

Trochę niegrzecznie wzruszyłam ramionami i wyjrzałam przez okno, bo miałam już trochę dość jego gadania.

- Nie wiem, o czym teraz mówisz - powiedziałam, a on się roześmiał.

Myślałam przez cały czas, że popełniona przeze mnie głupota z ptaszkiem położy kres naszej wspólnej rozrywce, byłam jednak w błędzie.

Jako że jeszcze w tej samej dorożce, w której doszło do owej sprzeczki, zaproponował mi wyjazd do Folkestone, gdzie zamierzał poprosić mnie o rękę. I to w tamtym pokoju, w pensjonacie nad wzburzonym, szarym morzem wepchnął mi do ust pierwsze dwie tabletki, po czym odkrył, że jeśli mnie dostatecznie otumani, może głaskać mnie po udzie i wsuwać rękę w majtki, a ja nie zacznę krzyczeć, żeby przestał, nie zacznę wzywać pomocy, nic podobnego...

Głowa

Tak przy okazji - mówi Billy, zapalając następnego papierosa, trzeciego, odkąd wrzuciliśmy Ewana do rzeki. - Wiedziałaś, że zdaniem naszej Pinny ty nie żyjesz?

Mówi to ze śmiechem, lecz na dźwięk jego słów moje serce fika koziołka.

Próbuję się odezwać, lecz nie wypowiadam ani słowa. Ani słowa poza jego imieniem - Billy, Billy, w kółko, bez końca, jak jakąś durną litanie.

On nie zauważa, nie słyszy. Śmieje się głośnie. Wreszcie łapie mnie za rękę i ciągnie, bym przy nim usiadła. Tracę równowagę i chwieję się lekko, lądując na jego kolanie. Serce mi wali, a głowa wiruje. Nasze policzki stykają się na moment, a on odgarnia włosy z mojej twarzy i palcami dotyka mojej szyi.

- Co takiego? - szepczę.

Odpycham go, dostrzegając z lekkim niepokojem, że ramię nadal plami mu krew Ewana.

- Hejże, cała się trzęsiesz - mówi i podaje mi swojego papierosa, żebym się zaciągnęła.

Odmawiam.

- O Jezu - mówię. - Jezu Chryste... - a brzmi to bardziej jękliwie, niżbym chciała.

- Nie, nie - zaprzecza lekkim tonem. - Nie zrozumiałaś... Ona czasem jest dziwna, nie chodzi o to, że naprawdę nie żyjesz, Lauro! Po prostu gdzieś natknęła się na nagrobek z twoim imieniem i nazwiskiem, nic więcej...

Zupełnie jakby dawno temu zatrzymał się jakiś zegar, a teraz znów zaczął chodzić, rozlega się ciche, uporczywe tykanie w mojej głowie.

- Gdzie? - chcę wiedzieć.

- Posłuchaj - mówi Billy. - To nie jest jakieś strasznie rzadko spotykane nazwisko. Czy to takie zaskakujące, że są na tym świecie inne Laury Blundy?

- Gdzie? - pytam znowu, a tykanie staje się coraz głośniejsze, coraz bardziej natarczywe, coraz gniewniejsze.

Billy przewraca oczami. - Oj, nie wiem - mówi powoli. - Na jakimś cmentarzu niedaleko Mostu Londyńskiego... Moor coś tam, jakoś tak mówiła. Posłuchaj, denerwujesz się zupełnie bez powodu, to nic...

- Mawbey Place?

Spogląda na mnie szybko, tak szybko, że wiem, iż trafiłam. - Możliwe. Nie wiem.

- Co ona robiła na Mawbey Place? - pytam go najspokojniej, jak umiem.

- Co robiła? Oj tam, Pinny wszędzie jest pełno, nigdy nie wiadomo, gdzie się człowiek na nią napatoczy. Taka już jest. Odkąd tylko nauczyła się chodzić, włóczy się to tu, to tam, wszędzie. Cally i ja nazwaliśmy ją naszym małym łazikiem, bo wędruje sobie całymi dniami, pokonując takie odległości...

W swym ojcowskim rozczeniu nie zauważył dotąd wyrazu mojej twarzy. W końcu zauważa i milknie.

- Hej, Lauro - mówi - nie przejmuj się. Już ci powiedziałem, że to dziwactwo Pinny, taki żart. Nie powiedziałbym ci o tym, gdybym... kurczę, naprawdę myślałem, że uznasz to za zabawne.

- Dlaczego? - pytam go cierpliwym głosem, nie wiedząc, co innego mogłabym rzec. - Dlaczego, na Boga, miałyby mnie bawić coś takiego?

Billy pochmurnieje. - Masz rację, to nie jest śmieszne. To tylko upiorny zbieg okoliczności. A może coś źle przeczytała... albo wszystko zmyśliła. Nie darowałbym jej tego, małej żmijce...

- A niby czemu? Czemu miałyby zmyślać?

Zaczyna się zastanawiać, a jego twarz natychmiast chmurnieje jeszcze bardziej i okrywa się cierpieniem.

- No... - waha się.

- No co?

- Myślę, że jest zazdrosna - mówi w końcu.

- Słucham?

- Wydaje mi się, że wie o nas... no...

- Wie! - wykrzyknęłam. - Ale skąd? Dlaczego mi nie powiedziałeś?

- Miałem zamiar - odpowiada, z rozdrażnieniem gasząc papierosa. - Ale po tym wszystkim nie wydawało mi się to już wcale ważne. Zresztą masz... mówię ci teraz.

- Ale jak to możliwe? - mówię. - Skąd w ogóle o nas wie?

- Nie powie Cally, jeśli tego się obawiasz.

Biorę wdech i przygryzam wargę. Oczywiście nie tego się obawiam, wcale nie tego. Guzik mnie obchodzi jego żona. Nie, myślę o tykaniu w mojej głowie i o jego humorzastej dziewczusze z długimi mysimi ogonkami i posępną, wszechwiedzącą buzią.

- Dlaczego? - pytam go dosyć ostro. - Dlaczego nie powie?

- Bo mnie kocha. I dlatego, że jak wiesz, niezwykle z niej dziecko, jedyne w swoim rodzaju. Bystra jak woda w strumieniu, ale dziwaczna jak wszyscy diabli.

Zaczynam drżeć.

- Od najwcześniejszego dzieciństwa - ciągnie Billy, jak gdyby jego zdaniem mogło mnie to interesować - słyszy i widzi różne dziwności - głosy i takie tam, rzeczy, których nie ma...

- Co takiego? - mówię. - To znaczy duchy?

- Możesz to i tak nazwać, jeśli chcesz. Ona... cóż, ona po prostu wie różne rzeczy. Jak coś zgubisz, ona będzie wiedziała, gdzie to znaleźć, coś w tym stylu. Różniła się od

innych dzieci. Od samego początku potrafiła pić z kubka. Na najdziwniejsze sposoby potrafiła strzec ludzi - i siebie samą. Kiedy dostała do zabawy igły albo szpilki, przetaczała je z miejsca na miejsce, sprawdzała, jakie są ostre, ale nigdy się nie skaleczyła...

- No, jak dodać do tego jeszcze jej podróżowanie, wyjdzie na to, że jest naprawdę uzdolnionym dzieckiem - zauważam cierpko. I urywam, by złapać oddech i krzyknąć...

- Co? - Billy prędko odwraca głowę, by zobaczyć, na co patrzę.

- O Boże, proszę, Boże, tylko nie to... - mówię. Ale to jest to.

- Słodki Jezu, błagam, nie - modli się Billy.

Ponieważ stara podła rzeka odmówiła przyjęcia naszego kosza i odesłała nam go z powrotem. Sunie oto po ciemnej, mazistej wodzie, zatrzymując się od czasu do czasu w płątaninie wodorostów i błocie. Jako że zgubił przykrywającą go płachtę, widać go na kilometr, bo podskakując, niesie w sobie szopę płomiennie rudych, aksamitnie mokrych włosów.

Kiedy dowiedziałam się, że mój syneczek leży w grobie, bardzo trudno było mi odzyskać ducha do pracy przy parasolach czy robieniu piwa.

Trzeba nadziei, by się tym zajmować. Trzeba potężnej dawki nadziei, by wstać rano, i jeszcze więcej nadziei, by pójść zbierać porzucone szczątki i robić z nich coś nowego. Trzeba całej masy nadziei i czaru, by zdobywać środki do życia - a do tego nieco charakteru i szczęścia - zdaje się zaś, że ja nie posiadałam z tego nic.

Nikt nie lubi żałobników, tak samo jak nikt nie lubi przegranych. Tragedia zatruwa. Nawet najpodlejszy, najmarniejszy wróbel ucieka przed tobą, odstręczony wyraźną, nieprzyjemną wonią cierpienia.



To, co straciłam, było moje i tylko moje. Nie miałam nikogo, z kim mogłabym dzielić smutek, nikogo, kto zechciałby oglądać moje łzy. Zresztą zmierzałam ku ciemności, pędząc tak szybko własnym ponurym szlakiem krzywdy, że nikt nie zdołałby mnie zatrzymać, nawet gdyby istniała osoba, która zechciałaby spróbować.

W ciągu kilku dni zostałam wyrzucona z mieszkania i musiałam zastawić swoją chustę i buty, by zdobyć coś do jedzenia. Jediną rzeczą, jakiej nie zastawiłam, był kocyk mojego syneczka, który przyciskałam do piersi jak postrzępione, wełniane drugie serce. Nikt nie mógł pozbawić mnie tego kocyka i wiedziałam, że umrę, tuląc go do siebie, mimo iż mleczy zapach, który przyprawiał mnie o ból serca, dawno już z niego wywietrzał.

Przeleżałam w pustej łodzi wyciągniętej na brzeg pod mostem Lambeth i chwilami przysypiałam. Później - czy minęły godziny, tygodnie czy dni, nie umiem powiedzieć - z gołą głową, o policzkach i ramionach spieczonych słońcem i wysmaganych wiatrem, pokonałam na piechotę parę kilometrów, by znaleźć się w końcu przy schodach do Świętego Idziego, gdzie jakaś pijana, półprzytomna starowina wzięła mnie za swoją znajomą.

Gdy jej powiedziałam, że nie jestem osobą, na którą czeka, i tak poczęstowała mnie chlebem i herbatą. Przyjęłam poczęstunek z wdzięcznością, a kiedy go pochłaniałam, dotarło do mnie nagle, co właściwie robiłam. Oto dołączyłam do nędzarzy, do robactwa, czyż nie? Zrobiłam to, co mi jedyne pozostało, i dołączyłam do tych, którzy od zawsze zamieszkiwali peryferie mego życia i którzy teraz okazali się moją jedyną przystanią, gdy znowu stałam się smutna i załamana.

Cóż, w zasadzie nie było to dla mnie nic nowego, owo życie czekało w wejściach do budynków, na cuchnących

stopniach przytułków, pod wywróconymi łodziami i płachtami brezentu, a ja wsiąkałam w nie z taką łatwością, jak gdyby od zawsze było mi przeznaczone, jak gdyby cały czas powtarzało z uporem, że będzie na mnie czekać.

Dołączasz do robactwa, kiedy nie masz domu ani sił i nie potrafisz nawet odebrać sobie życia.

Robactwo pełza tuż przy ziemi, bo nie ma dość charakteru, by się podnieść. Nie ma nawet dość werwy, by kraść czy żebrąć - żebrze co najwyżej u innych żebraków, zadowolając się tym, czego nie chcą już nawet oni: paroma listkami herbaty albo zapleśniałym kawałkiem wyrzuconej pieczeni.

Jako najmłodsza i najsprawniejsza, to ja byłam wysyłana do kawiarni, by wyżebrać odrobinę wrzątku na herbatę, którą parzyłam w splekanym starym imbryku bez ucha i bez dzióbka. Idealny obraz skali mojego upadku, kiedy pomyślałam o pięknych, pobrzękujących serwisach w domu mego ojca, gdzie najlepsza porcelana trzymana była w kredensie, myta, wycierana i odstawiana na miejsce natychmiast po tym, jak niedzielny gość opróżnił swoją filiżankę.

Człapałam do kawiarni, a gdy tam dotarłam, musiałam klękać na kolana. Smutny to był widok, kobieta na kolanach owiniętych w szmaty - szmaty, które w dawnych, bajecznie odległych czasach tworzyły ubranie, lecz teraz zmieniły się w bezkształtne, brudne strzępy, pozwalające jedynie zachować odrobinę ciepła i przyzwoitości.

Byłam wtedy bardzo młoda, lecz bezdomne życie postarza każdego. Moja twarz zmieniła się w twarz staruszki. Włosy stały się sztywne i przyprószyła je siwizna. Działo się tak z każdym - z każdym, kto sięgnął dna. Śliczne dwudziestolatki kurczyły się i zmieniały w starowinki o pomarszczonych twarzach bez wyrazu i zmierzwionych włosach, ciałach tak

pochylonych, że trudno było w nich dostrzec najmniejszy ślad młodości.

Żyjąc w ten sposób, straciłam tak wiele ze swej pierwotnej werwy, że przestano mnie wysyłać po wodę. Poddałam się i polegałam na innych. Nauczyłam się siedzieć w bezruchu i nie myśleć o niczym, i z wdzięcznością witać ogarniający mnie sen.

Tutaj, na schodach i w marnym schronieniu, jakie dawały wejścia do domów, nikt mi nie przeszkadzał ani nie interesował się dlaczego. Dni mijały jak sny - bez początków, środków i końców - a wszystkie postaci zlewały się ze sobą, tak iż nie miało znaczenia, kto się do ciebie odzywał ani co mówił, bo wszyscy tutaj mieli nieszczęście, śmierć i smutek zaszczerpione tuż pod skórą. Wszyscy pogodzili się z tym, że nie ma ucieczki z miejsca, gdzie się znaleźli, więc po co było szukać, narzekać, płakać czy choćby o tym mówić?

Aż kiedyś zjawiała się pewna kolorowa kobieta, niejaka Jackie Pringle.

Jackie jednak zdołała jakoś się stąd wyrwać, nieprawdaż?

Przyszła i powiedziała mi, że być może dostanie pracę w kawiarni i potrzebuje kogoś, kto zająłby się jej dzieckiem pomiędzy godziną dziesiątą a czwartą po południu w zamian za dwa pensy albo kubek herbaty i kawałek chleba, zależy, co uda jej się zorganizować.

- Daj mi je - rzuciłam chciwie - zaopiekuję się małą małpeczką...

I wyciągnęłam rękę, a ona podała mi płaczące dzieciątko, które szarpało się i złościło, chwytając powietrze wystraszonymi łapkami.

- Boi się ciebie - zauważyła jedna z pijaczek, która usadowiła się w drzwiach, żeby dobrze wszystko widzieć. - Patrz tylko na tę małą rozzłoszczoną buzię...

- Wcale że nie - odpowiedziałam i po raz pierwszy od wieków podniosłam się, usadowiłam skarżące się niemowlę na biodrze i zaczęłam chodzić po schodach w górę i w dół aż do wozu z wodą, i z powrotem. Hopsasa. Hopsasa. Dziecko, niech je Bóg błogosławi, roześmiało się dźwięcznie, a buźka przestała się marszczyć, ukazała mi się odprężona i pyzata.

Nogi miałam tak sztywne od siedzenia, że ledwo na nich stałam, byłam o wiele słabsza, niż mi się wydawało. Bałam się, że zemdleję i spadnę z maleństwem ze schodów, dlatego usiadłam i dalej kołysałam je na kolanie.

- No, masz tę robotę - oznajmiła, nie zwlekając, Jackie.

Nie próbowała zabrać ode mnie dziecka - w rzeczy samej, wydawała się nawet zadowolona, że ktoś ją wybawił od ciężaru, bo ziewnęła potężnie, przeciągnęła się, rozmasowała krzyż, po czym schyliła się ospale i zaczęła sznurować buty.

- To dziewczynka? - spytałam, a Jackie powiedziała, że tak. - Ile ma?

- Niecały rok. Nazywam ją Margaret.

Przyjrzałam się twarzyczce maleńkiej Margaret. Usmarowanej, brudnej twarzyczce, choć nie tak smoliście czarnej jak u biednej Jackie. Miała smutne usteczka i chyba ze cztery zęby, z których jeden już robił się czarny.

Włosek miała niewiele, zaś te, które miała, wydawały się równie ciemne i nieposłuszne jak moje, nie obcinane kosmyki sterczące spod znoszonej wełnianej czapeczki. Zawiązana była pod brodą, ta czapeczka, i tak permanentnie mokra od śliny, że sznureczek odcisnął czerwony, bolesny ślad.

- Powinnaś to rozwiązać, wiesz - poradziłam Jackie. - Pewnie z tego powodu przez cały czas tak chlipie.

- I zgrzeje się w tej cholерnej czapie - dodała starucha spod drzwi, choć zupełnie nikt jej nie pytał o zdanie. - Nie czujecie, że od rana robi się diablo gorąco?

Posłałam kobiecie ostre spojrzenie, by pokazać, że ma pilnować własnego nosa, ale Jackie roześmiała się, wyciągnęła rękę i szarpnęła za sznurek. Rączki dziecka natychmiast wystrzeliły w górę, by też go złapać.

- Na razie można to zdjąć - powiedziała. - Chyba że twoim zdaniem powinna mieć coś na głowie?

Przechyliłam własną głowę na bok i udawałam, że się zastanawiam. Było lato, a poranek zaczynał się upalnie, chociaż nad rzeką niebo wciąż było mętne, jakby się miało zacząć chmurzyć.

- Zobaczymy, co dzień przyniesie - powiedziałam. - Czasem dobrze jest chronić te małe główki przed najgorętszym słońcem...

Jackie popatrzyła na mnie, znieruchomiała, po czym odrzuciła w tył głowę i parsknęła śmiechem. Wszystko to zmyśliłam, lecz ona, szczerze mówiąc, była raczej tępa, przez cały czas chichotała i wierzyła we wszystko, co się jej powiedziało. Później miałam z tym problem w sądzie. Jej głowa była jak gąbka, która chłoneła każdy najdurniejszy pomysł, jaki jej kto podsunął.

- Jakby była małą damą! - zawołała, gdy wspomniałam o słońcu. - Jeszcze trochę, a trzeba jej będzie sprawić sakramencki parasol.

Uśmiechnęłam się. - No właśnie - powiedziałam, łaskocząc jej córeczkę pod brodą. - Jak prawdziwej, dobrze wychowywanej damie... Mała dama, mała dama, mała dama!

Jackie śmiała się jeszcze długo, mimo że żarty dawno się skończyły, i nie ruszyła się wcale, by zabrać ode mnie dziecko. Może podobało się jej moje podejście, nie wiem. Przyjrzałam się jej chłodno spod cieniutkiej przykrywki życzliwości.

- Bierz dziecko i w nogi! - krzyknęła nagle stara jędza, choć nie mam pojęcia, do której z nas się zwracała.

Tak czy owak obie ją zignorowałyśmy i szybko się odsunęłyśmy. Dziewczynka obdarzyła mnie nagle szczerbatym uśmiechem, jak gdyby właśnie się zdecydowała, co o tym wszystkim sądzi, i w tej samej chwili po brodzie pociekła jej gruba strużka śliny.

Też się uśmiechnęłam. Wcale nie na pokaz, zupełnie szczerze.

- To wielkie dzięki - powiedziała Jackie, a ja domyśliłam się, że ma zamiar odejść. Naciągnęła na ramiona wyświechtaną chustę i pokonała stopień w dół.

Była całkiem atrakcyjna, kiedy widziało się ją w całości, choć muszę powiedzieć, że to najczarniejsza osoba, jaką kiedykolwiek zdarzyło mi się widzieć, o nieposłusznych włnistych włosach, ze szparą pomiędzy przednimi zębami i wielkimi, ciemnymi piegami rozsianymi po twarzy jak ciapki błota rozbryzganego kołami powozu w listopadową noc. Niektórych ludzi kolor jej skóry przerażał, ale nie mnie. Nie bałam się spoglądać w ciemność - nigdy - przynajmniej wtedy jeszcze nie.

- Urodziła się w przytułku dla pracujących - dodała Jackie, choć wcale jej nie pytałam. - Jej ojciec, skubaniec jeden, pracował w gazowni.

Spytałam, gdzie podziewał się teraz, a w odpowiedzi usłyszałam, że tyfus zabrał go, jeszcze nim zdążył dowiedzieć się o jej odmiennym stanie. Pioruńska tragedia, jak stwierdziła; została z niczym, dziecko rosło w niej jak na drożdżach, a ona nie miała żadnych środków, by je utrzymać.

- Nie myślałaś, żeby oddać je do ochronki? - spytałam bardziej z ciekawości niż z troski, kołysząc maleństwo na boki i słuchając, jak chichocze z rozkoszy.

Gdy jednak wspomniałam o tym miejscu, twarz Jackie posmutniała. Odrzekła, że starała się ze wszystkich sił, ale komisja uznała, że nie zasługuje na tę możliwość.

- To była żądza cielesna bez perspektywy małżeństwa, rozumiesz

- wyjaśniła bez emocji, przy czym tak urzędowe, pełne potępienia sformułowanie zabrzmiało w jej wielkich, nie uczonych ustach zabawnie. - Widzisz, lubiłam ojca dziecka i chętnie przystałam na to chędożenie...

- Oj, Jackie, nie trzeba im było tego mówić! - naskoczyłam na nią.

Przygryzła wargę, która miała taki sam kolor jak wielki różowy nos psa, i zachichotała znowu.

- Mówisz tak, bo nie znałaś mojego biednego Stana - powiedziała. - Był taki... no wiesz...

- Choćby nie wiem jaki był cudowny - orzekłam kategorycznie

- choćby nie wiem ile frajdy sprawił ci w łóżku, powinnaś była to zataić, sama wiesz...

- Och, nie mów tak do mnie, teraz już wiem - odrzekła nieco bardziej trzeźwo. - Ale widzisz, nikt mi nie powiedział, jakie są zasady, zanim się to wszystko nie zaczęło.

- Żeby umieścić tam dziecko, musisz dowieść, że zrobiono ci to siłą - powiedziałam jej, dziwiąc się, że mój głos brzmi równie surowo i sztywno jak członków komisji.

Jackie stuliła buzię i znów posmutniała.

- Trudno byłoby mi kłamać na temat mojego Stana - wyznała cicho.

Wzruszyłam ramionami, westchnęłam i popatrzyłam na małą Margaret, smutny owoc ich świetnej zabawy.

- A dziecko cierpi - zauważyłam.

Nagle twarz Jackie zajaśniała uśmiechem. - I tak już nie mogłabym bez niej żyć! - powiedziała. - Chociaż mam przez nią czasem kupę zgryzoty i cierpienia...

I z tymi słowy zeszła po schodach i ruszyła w stronę kawiarni, a ja patrzyłam, jak odchodzi, mocniej tuląc do siebie to jej dziecko.

Nie powiedziałam nic o moim własnym dziecku, które umarło, a ponieważ ona interesowała się tylko sobą, nigdy nie przyszło jej do głowy, by spytać mnie, jak to się dzieje, że tak dobrze radzę sobie z tak małą osóbką jak jej Margaret.

Billy twierdzi, że musimy spalić głowę. Musimy. Nie ma innego wyjścia.

- Będziemy trupami, jeśli zostanie znaleziona - mówi.

- Wiesz, według twojej Pinny ja już nim jestem - zauważam zgryźliwie.

Odwraca się do mnie, wściekły. - Na litość boską, Lauro! Jak możesz się wygłupiać w takiej chwili!

Patrzę na niego spokojnie, lecz moje serce jest puste. Czuję się tak, jakbym chciała nam pomóc, a nie mogła. On wie, tak, wie... o czym? Że radość, którą wspólnie dzieliliśmy, szybko nam się wymyka?

Zwieszam głowę, wpatruję się w końcówkę mojej kuli dłubiącej w suchej, trzeszczącej ziemi. Dobre miejsce na ognisko.

- Przepraszam, Billy - mówię - jestem roztrzęsiona, a ty chyba wiesz dlaczego.

Spogląda na mnie surowo. - Nie. Nie wiem dlaczego. Biedny Billy, myślę, ta jego młoda twarz, taka szczera... i nic nie wie, to prawda.

- Dobrze, zrobmy to - zgadzam się, a on bierze mnie za rękę.

- Kocham cię - mówi. - Chcę, żeby nadal... było tak jak dotąd. Szuka w kieszeni papierosa, lecz go powstrzymuję. - Możesz zapalić później. Trzeba to zrobić, zanim ktokolwiek się pojawi.



To prawda. Dotąd mieliśmy szczęście - wszędzie dookoła pusto, powietrze w bezruchu. W tym odludnym miejscu możemy rozpalić ognisko i nikt się o niczym nie dowie, ale na rzece niedługo zacznie się ruch. Albo przybiegną dzieci. Albo psy. Albo ktokolwiek.

Stawiamy więc koszyk wśród gruzów w piekącym porannym słońcu. Jego promienie ogrzewają mi plecy i kark.

- Och, ależ to będzie piękny, bezchmurny dzień - zauważam. Billy chrząka. - Jakaś parafina... Nie mam żadnej rozpałki...

- A będzie potrzebna? Nie wystarczą zapałki?

- Nie wiem, jak się będzie palić... Boję się, że może do końca nie spłonąć. A nie chcę zaczynać czegoś, czego nie będziemy mogli dokończyć...

- Czy to może być? - pokazuję mu pół butelki brandy, którą miałam w kieszeni spódnicy.

- Świetnie! - mówi i polewa nią kosz. - Kapitalnie, Lauro! Będzie nam zaraz strzelał płomieniami jak świąteczny pudding!

Z Billy'ego wychodzi czasem taki prostak.

Stawiamy kosz na stosie gałęzi. Staram się nie patrzeć. Twarzy nie sposób rozpoznać, oczywiście, ale i tak boję się spojrzeć w miejsce, skąd wyrastają włosy - na porowatą, bladą skórę, tłustą i błyszczącą, na krew.

Włosy, które były mokre, na słońcu szybko schną. Nie daje mi w nich spokoju to, że wyglądają zupełnie jak włosy Ewana po wyjściu z łazienki - nieco sterczące, zuchwale pofalowane, zanim uczesał je którąś ze swych szczotek z masy perłowej.

Ale to przecież są włosy Ewana.

Wreszcie Billy przykłada do nich zapałkę i zaczynają się zmieniać. Jest coraz gorzej - mieliśmy przed sobą coś ludzkiego, żywego, a teraz to płonie. I po chwili gaśnie.

Okazuje się, że bardzo trudno wzniecić ten ogień - kopci się trochę, skwierczy i gaśnie.

- Zakopimy ją? - sugeruję, wpadając w popłoch.

- Nie, spójrz...

Billy chwyta mnie za rękę, gdy rozlega się trzask i w górę strzela błękitny płomień.

Po paru minutach strzela mocniej i roznosi się zapach pieczenia. Brązowy dym. Palone mięso, tłuszcz. Szczypią mnie oczy.

Chowam się za jakimś murem i wymiotuję, aż zaczyna mnie boleć głowa.

Tak więc posadziłam sobie małą Margaret na biodrze i zabrałam ją na spacer.

- Śliczny spacer - powiedziałam jej, choć wstając znowu, stwierdziłam, że ledwo trzymam się na nogach z braku jedzenia i odpoczynku. - Mówię ci, tego właśnie nam obu trzeba... trochę powietrza... trochę powietrza znad cudnej, brązowej rzeki...

Przez czas jakiś obie tylko to wszystko chłonęłyśmy. Niebo miało lekki odcień różu, powiewał ciepły wiatr. W parnym powietrzu błyskały kołujące mewy.

To był dobry dzień, a ja byłam z moim maleństwem. No, może nie z moim, ale to nieważne.

Pokonawszy jakieś trzy stopnie, musiałam się zatrzymać, bo ledwo mogłam w to uwierzyć - w piękno tego wszystkiego, we własne szczęście i we wszystko, co czułam.

I wydaje mi się, że stanęłam jak wryta, i podniosłam malutką, chcąc ją pocałować. Pomachała maleńkimi, tłusciutkimi rączkami w łachmanach i zagruchała coś do mnie, ja zaś poczułam zapach jej oddechu, różowego, czystego i wilgotnego jak u małego kotka.

I na chwilę lub dwie, całując ją jak oszalała, ujrzałam świat zza miękkiego, pyzatego wzgórka jej policzka, a

widziany w ten sposób, wydał mi się miejscem o wiele słodszy i bardziej urzekającym.

Zapraagnęłam, by było tak już zawsze. Ja i moje maleństwo - wszystko oglądane z perspektywy miękkości i okrągłości.

- Ależ z ciebie gwiazdeczka - powiedziałam. - Taka śliczna i słodziutka, i kochana...

A ona mnie zrozumiała, wiem, że tak. Uśmiechnęła się szeroko i pokazała mokry, czysty języczek, po czym zaczęła się wiercić, a jej mocne stópki posłały mi w brzuch serię kuksańców.

- No, no - odezwałam się, choć przyznaję, że to kopanie nawet mi się spodobało, bo sprawiło, że poczułam się żywa i czujna, i tak cudownie nieustępliwa. - No, no, uważaj, bo kopiesz Laure...

I choć wcześniej byłam taka zmęczona i zboląta, teraz energia powracała mi falami, wielkimi krokami. Odzyskiwałam spokój, cel życia i werwę. Ba, po raz pierwszy od nie pamiętam jak dawna, poczułam intensywność własnego głodu, w brzuchu zaczęło mi burczeć, a do ust napłynęła ślina.

Czyżby tak niewiele było potrzeba? Wystarczy małe dziecko, choćby i kogoś innego, byleby dziecko. Jedno malutkie bijące serduszko powierzone w moje ręce - pulchna, wilgotna warga, maleńki nos jak guziczek, zaciśnięte piąstki i pogodne, ufne oczy.

Tak podniesiona na duchu, postanowiłam zabrać Margaret na wycieczkę po mojej okolicy. Pomyślałam, że we dwie będziemy chodzić i oglądać wszystkie te ciekawe i dobrze mi znane miejsca, które z pewnością pokazałabym mojemu synkowi, gdyby żył i mógł je zobaczyć. Uśmiechnęłam się i westchnęłam. Dużo czasu minęło, odkąd ostatni raz miałam sensowne towarzystwo, kogoś, kto by mnie słuchał i oglądał, co mam do pokazania.

- Popatrz, kochanie, to rzeka - mówiłam, podnosząc ją wyżej, żeby zobaczyła. - Dobrze się jej przyjrzyj, tej starej, podłej rzece...

Ja oczywiście byłam do tego wszystkiego przyzwyczajona - do płaskiego, brązowego nieba i zapachu słonawego błota, do kamyków ślizgających się pod butami - ale Margaret nie. I była przeurocza, reagując tak żywo, jak tylko mogłam sobie wymarzyć. Słuchała, gruchała i pokazywała paluszkami.

- Ta? - mówiła. - Ta?

- Tak - odrzekłam. - Ta! To rzeka, mój skarbie... uważaj teraz, żeby cię nie połknęła - chaps!

I zagulgotałam jak woda, a ona roześmiała się wesoło, więc zrobiłam to jeszcze raz, a ona zaśmiała się jeszcze głośniej.

- Och, dziecinko! - powiedziałam. - Jakaś ty pocieszna!

A ona przez cały czas obserwowała moją twarz i chichotała. Była jak jej matka - zupełnie beztroska, prostolinijna i gotowa do uśmiechu i śmiechu dosłownie z byle powodu.

Zbliżał się jednak przypyływ i musiałam uważać, jak idę, bo buty rozlatywały mi się na nogach, niestety, dlatego rozwaliłam sobie duży palec, z którego leciała teraz krew.

- Mamusia musi bardzo uważać - mówiłam. - Żeby się nie poślizgnąć i nie upuścić swojego maleństwa...

Śpiewałam jej i opowiadałam, i stapałam ostrożnie, bardzo ostrożnie, bo przysięgam, że nigdy nie chciałam skrzywdzić córeczki Jackie. W tamtych dniach, rzecz jasna, miałam jeszcze wszystkie kończyny - obie nogi, całe i w pełni sprawne - i choć straciłam swoje dzieciątko, to nadal byłam zdrowa i niczego mi nie brakowało.

I uwielbiałam włóczyć się nad wodą i spędzać dni wśród robotników portowych albo skakać i przechadzać się

pomiędzy lśniącymi kałużami, które zostawały, gdy woda wycofała się do morza.

Od czasu do czasu w tym dziwnym, okropnym czasie, gdy byliśmy małżeństwem - zwłaszcza zaś gdy żyła jeszcze jego matka - Ewan lubił zabawić się ze mną w doktora.

Choć w okresie narzeczeństwa był bardzo ostrożny i słodki, z niczym się nie spieszył, wykazywał się delikatnością i poczuciem humoru, to gdy tylko włożył mi na palec obrączkę, wszystko to się zmieniło. Uznał, że nie musi już się przypochlebiać czy imponować i szybko stał się panem / doktorem / ekspertem, zaś ja dzieckiem / pacjentem / adresatem jego wiedzy i mądrości.

W dodatku moje widoczne gołym okiem, głębokie kalectwo czyniło ze mnie pacjentkę idealną. Bo choć byłam bardzo dzielną kaleką - niczym niezrażona kuśtykałam i śmigałam na swoich kulach, które stały się dla mnie czymś tak zwyczajnym i znajomym jak własna poduszka - to w jego mniemaniu zawsze istniała jakaś trudność, niemożność, seria problemów, które należało opanować i pokonać, zażegnać i zlikwidować.

Zaczęło się - i na nim też się chyba skończyło - od kołka. To kołek koniec końców całkiem dosłownie wbił się pomiędzy nas klinem.

Ku mojemu wielkiemu rozgoryczeniu i frustracji Ewan upierał się dzień w dzień, żebym go zakładała i kuśtykała w tę i z powrotem po zacienionej zwirowej ścieżce w ogrodzie, podczas gdy on patrzył i wykrzykiwał głupie, protekcyjne słowa zachęty.

Eve, zbyt ślepa, by być świadkiem mojego dyskomfortu, i tak robiła za irytującą, niewidzącą publiczność, stając w oknie, gdzie jej złowieszczą, czarna sylwetka doprowadzała mnie do szału już samą swoją tam obecnością.

Oczywiście doskonale o tym wiedziała. Oczywiście robiła to z tego właśnie, nie innego powodu.

Sprzeciwiałam się od samego początku. Powiedziałam Ewanowi, że wolałabym tego nie robić. Powiedziałam, że doskonale radzę sobie o kulach.

Odrzekł mi, że to jeszcze nie powód, by nie starać się robić dalszych postępów.

- Może robię postępy na swój własny sposób - powiedziałam. Zaśmiał się. - Na twój sposób, Lauro, zawsze ten twój sposób. Na twój sposób pozostałabyś na schodach przytułku, dopóki nie zabiłaby cię pierwsza mroźna zima.

- Jesteś bardzo niesprawiedliwy - zarzuciłam mu w końcu, kiedy prawie zmusił mnie siłą. - Chciałabym zobaczyć, jak sam chodzisz w tę i z powrotem ze skórzanym mocowaniem przypiętym do najbardziej wrażliwej, najbardziej bolesnej części twego ciała.

Zachował spokój i lekarskie opanowanie. Westchnął, wsunął dłonie do kieszeni, po czym spojrzał na mnie uważnym, oceniającym wzrokiem, jak gdyby w każdej chwili mógł wziąć do ręki swój wielki, zakrzywiony nóż chirurgiczny i spróbować odciąć mi kolejny kawałek.

- Lauro, uwierz mi, zaufaj, ból będzie coraz mniejszy, w miarę jak zaczniesz się przyzwyczajać. Jeśli zaakceptujesz protezę, twoje życie stanie się o wiele szczęśliwsze...

- Ja i szczęśliwe życie! - zawołałam, po czym zamilkłam, bo nie wiedziałam, co jeszcze mogę powiedzieć.

Na tym polegał kłopot. Ewan nigdy nie słuchał, tak więc zawsze był w stanie mnie uciszyć. Choćbym nie wiem ile jęczała i płakała z powodu okropnego bólu i otarć, pozostawał twardy i nieugięty, nigdy, przenigdy nie zwracając najmniejszej uwagi na moje sprzeciwy, czyli tak naprawdę grając wobec mnie rolę genialnego oprawcy.

Skłęłam go. Płakałam i płakałam. Powiedziałam, że nie chcę żadnego tak zwanego szczęśliwego życia, że nie chcę mieć kołka zamiast nogi i że jestem absolutnie zadowolona z kul.

W końcu się zbuntowałam. Jak jakiś koń albo pies, zwyczajnie zaparłam się i tyle.

I przez chwilę zdawało się, że to dobry sposób, bo Ewan nic nie mógł zrobić. Siedziałam tak na ścieżce ze spódnicą rozłożoną na ziemi i odmawiałam zrobienia choćby kroku dalej.

Ewan, stojąc w cieniu cisu, zwiesił ręce wzdłuż boków. Był rozdrażniony, ale nie zamierzał tego po sobie pokazać.

- Lauro - mruknął zupełnie jak jakiś posępny labrador albo narowisty źrebak. - Lauro, nie bądź niemądra, daj spokój...

- Nie - odparłam, obronnym gestem zakrywając dłońmi mój kikut i przygryzając dolną wargę, i patrzyłam na niego naburmuszona jak wzorzec rozkapryszonego dziecka. - Będę niemądra. Ja jestem niemądra, Ewanie...

- Nie rozczarowuj mnie.

Uśmiechnęłam się do niego, obnażając zęby jak szczeniak. - Nie, Ewanie - powiedziałam. - Nie będę tego więcej robić. Wolę już raczej umrzeć. Wolę nie ruszyć się z miejsca, położyć się na plecach jak żuk i nigdy już więcej się nie poruszyć...

Ponieważ nic nie odpowiadał, zadarłam spódnicę i halki, ukazując całe majtki, i odpięłam to dziadostwo, po czym cisnęłam nim na drugą stronę ścieżki, gdzie stuknęło ciężko o ceglany krawężnik i wypłoszyło z zakamarków kilka robaków.

Wtedy Ewan wpadł w złość. Pobladł na twarzy i zaczął żuć wargę.

- Posłuchaj, głupia kobieto - rzekł. - Gdybyś wykorzystała połowę tej energii, której użyłaś, by pozbyć się nogi, do tego, żeby nauczyć się ją nosić, biegałabyś już stąd do...

Nie dokończył zdania, tylko w przyływie gniewu podszedł, podniósł protezę i ruszył z nią w moją stronę, a ja przez jedną miłą chwilę myślałam, że mnie uderzy. Może nawet miał taki zamiar, bo rzeczywiście potrafił wpaść w szal, gdy coś nie szło po jego myśli, jednakże tego nie zrobił. Odwrócił się tylko i ruszył z powrotem do domu.

- Stąd dokąd? - zawołałam za nim. - Stąd do przytułku? Bo tam chyba będę musiała wrócić, żeby uciec od tej przeklętej męki!

Nie odpowiedział ani na mnie nie spojrzął, tylko szedł ścieżką, zerkając w górę.

W górę. No jasne. Podążyłam za jego spojrzeniem.

Stała tam, jak zwykle, nic nie widząc, lecz nasłuchując z pewnością, bo słuch miała wyostrzony. Nie widziałam jej twarzy, lecz trudno było nie dostrzec zadowolenia w czarnej, rachitycznej sylwetce, bezdennej urazy w sztywnym ułożeniu ramion i w niewzruszonej postawie cierpiętnicy.

Wzięłam garść żwiru i cisnęłam nim najmocniej, jak byłam w stanie, w stronę okna, lecz z miejsca, gdzie siedziałam, nie mógł polecieć daleko. Zamiast w okno trafił w kępę naparstnic, poruszając ich liśćmi i dzwonkowatymi kwiatami, zanim stuknął z irytującą wstrzemięźliwością o milczącą ziemię.



## Brzuch

Billy mówił, że został oddany do ochronki, kiedy miał pięć miesięcy, w jednej brudnej koszulinie na grzbiecie i z czymś tam jeszcze, ale nigdy nie dowiedział się z czym.

- Co? To znaczy, że matka coś ci zostawiła? - krzyknęłam. - Jak to możliwe, że nie wiesz, co to było?

- No nie wiem - odrzekł bez większego zainteresowania. - I tak gdzieś się zawieruszyło.

- A kiedy wychodziłeś z ochronki?

- Powiedzieli, że zgubili moje dokumenty. To się czasem zdarzało. Nie powiem, żebym szczególnie się tym przejął. Znaczą się, wiesz, miałem do odbycia praktykę... byłem ustawiony...

- Co takiego? W ogóle cię to nie obeszło?

Wzruszył ramionami. - Tak naprawdę nigdy o tym zbyt wiele nie myślałem.

Za to ja myślałam i nic nie mogłam na to poradzić, że do oczu napłynęły mi gorące łzy zdumienia.

- Wiesz, Billy, oni tam nie powinni byli gubić jedynej twojej własności - powiedziałam, siadając prosto na łóżku, w którym dopiero co się kochaliśmy. - To bardzo nieładnie z ich strony. To znaczy, czy oni tam nie dbali o takie rzeczy, nie spisywali wszystkiego? Czy na każde dziecko nie było wystawiane pokwitowanie?

Choć słowem o tym nie napomknęłam, to przypomniał mi się duży, ciemny pokój, gruba księga i dwaj mężczyźni, którzy zdawali się wszystko wiedzieć. Właśnie pokwitowanie. I zamknięte drzwi, taktowne spojrzenia, największa troska.

Ale Billy się roześmiał. - O Boże, Lauro, tak bardzo wierzysz w ten ich system - powiedział. - A ginęły tam różne rzeczy, to normalne. Chyba masz zbyt wielkie wyobrażenie o tego typu miejscach. Może wydaje ci się, że to był mały dom dziecka albo coś, ale nie. Bardziej przypominało to wielką

fabrykę. Zdziwiłabyś się, jak bardzo wszystko kręcili... w dokumentach i w ogóle. I jakie to miało znaczenie, kim się było? I tak wszystkie dzieci były chrzczone od nowa i dostawały nowe imiona, gdy tylko tam trafiły...

- Ale przecież matki przychodziły po swoje dzieci! - zawołałam, zaś on tak mnie zmierzył spojrzeniem, jakby chciał spytać, skąd tyle wiem. - Musiał chyba być jakiś system, dzięki któremu wiadomo było, kto do kogo należy?

- Należy? No, może i był. Chociaż nie wiem. Pamiętam, że po dwóch małych szczęśliwców rzeczywiście zgłosiły się matki. Raz dostaliśmy nawet z tej okazji po kawałku ciasta. Ale większość z nas... cóż, jakie to miało znaczenie, do kogo należymy, skoro nikt nas nie chciał?

Nic nie powiedziałam. Położyłam się. Czułam się smutna i nieobecna. Billy przekręcił się na bok i ucałował moje drżące sutki, które sterczały ku sufitowi, jakby się przeciw niemu zbuntowały, jakby się ze mną zgadzały.

- Zresztą wiele dzieci umierało, zanim ktokolwiek zdążył się po nie zgłosić - dodał. - Małe całuny w różnych rozmiarach, które szły do pralni i z pralni wracały... Pamiętam, jak myślałem, że tym to dobrze, tym zmarłym dzieciom, bo nic ich już więcej nie rozczaruje.

- Nie rozczaruje? - powtórzyłam za nim, a ręce pokryła mi gęsia skórka.

- Nie doznają zawodu - dodał Billy, a powiedział to tak, że w moim sercu wyrosła twarda klucha. - Nazwij mnie ponurakiem, jeśli chcesz, Lauro, ale naprawdę było im lepiej. Przede wszystkim od samego początku nikt ich nie chciał, tak?

Przekręciłam się i przywarłam do niego. Całowałam skórę wokół jego pępka, tak pozbawioną włosów i gładką jak u małego dziecka.

- Nie mogę tego słuchać - powiedziałam mu z taką szczerością, na jaką się ośmieliłam. - Nie masz pojęcia, Billy, czy ktoś ciebie chciał, czy nie, bo znasz sytuację tylko ze swojej perspektywy. Może twoja mama sama była dzieckiem. Może była zmuszona cię oddać i może to rozstanie omal jej nie zabiło...

Kiedy to mówiłam, poczułam, jak mięśnie jego brzucha napinają się i sztywnieją. Po chwili poczułam też jego ręce, buszowały w moich włosach, ciągnąc, chwytając...

- A twoje dziecko, Lauro - odezwał się nagle głosem bez wyrazu - to, które umarło? Co się z nim stało? Czy byłaś zmuszona je oddać, tak jak oddano mnie?

Zaczerwieniłam się i milczałam. Zaskoczył mnie i nie wiedziałam, co powiedzieć.

- Dlaczego o to pytasz?

- Wiesz dlaczego.

Słyszając ton jego głosu, tak chłodny i tak znaczący, poczułam, jak serce zaczyna mi łomotać.

- Nie każ mi - wyjąkałam błagalnie.

- Czego mam ci nie kazać?

- Nie każ mi mówić o moim dziecku.

Wydaje mi się, że to wyszeptałam. Wydaje mi się, że wypowiedziałam te słowa tak szczerze, tak pokornie i tak cicho, jak tylko umiałam. Ponieważ byłam przerażona. Wiedziałam, że nie będę umiała go w tej sprawie okłamać, bo po raz pierwszy od bardzo dawna kłamstwo naprawdę zdawało się nie wchodzić w grę.

- Wstyd mi - powiedziałam bardzo cicho i dopiero mówiąc to, uświadomiłam sobie, że to prawda.

W pokoju zapanowała okropna, najeżona cisza, a po chwili rozbrzmiał w niej głos Billy'ego, pełen bólu i smutku.

- No więc gdzie jest pochowane?

- Pochowany - poprawiłam. - To był chłopiec.

- Gdzie?

- W miejscu... w miejscu, w którym nigdy nie byłam - wydusiłam w końcu.

- Co takiego? - zdziwił się Billy. - To znaczy... nawet wtedy? Wtedy, gdy to się stało?

Westchnęłam przeciągle. - Owszem, Billy, nawet wtedy.

- Ale dlaczego? - dopytywał się. - Dlaczego tam nie byłaś? Zamknęłam oczy.

- Dlaczego?

- Nie wiem, nie pytaj mnie...

- Wiesz... Wiesz, Lauro, nie okłamuj mnie.

- Nie okłamuję. Po prostu nie miało to sensu, tak?

- To nie jest żaden powód.

- Nie?

- Sama wiesz, Lauro. - Jego głos brzmiał chłodno.

- Billy, ty nie rozumiesz. Wydaje ci się, że rozumiesz, że wszystko wiesz, ale tak nie jest. To nie było tak jak z twoim Jackiem... To znaczy... nie ma żadnego grobu. One wszystkie... on...

- Trafił do zbiorowej mogiły?

Nie odpowiedziałam. Billy też milczał przez chwilę, a potem delikatniej już rzekł:

- Mimo wszystko, Lauro. Ja znam cię. Poszłabyś.

- Na pewno? Tak. Może nawet miałam zamiar, wiesz, chciałam tam pójść, ale potem, cóż...

- Co?

- Czas mijał... - odparłam głosem bez wyrazu.

Billy westchnął i przysunął się do mnie. Przytulił się mocno. Od samego początku nie mogliśmy się nadziwić, jak doskonale do siebie pasujemy - byliśmy idealni, jedna nagość tuż przy drugiej - proste, niewymuszone, cudowne dopasowanie, to znaczy, jeśli przymknęło się oko na brak mojej jednej nogi.

Teraz to ja zaczęłam mówić, a przynajmniej próbowałam, ale mnie powstrzymał. Delikatnie zatkał mi dłońią usta, po czym wcisnął palce tak, że dotknęły moich zębów i języka. Przesuwał wargami i nosem po mojej skórze, zwilżając mnie swym oddechem i wdychając mój zapach.

- Nie chcę sprawiać ci przykrości - rzekł. - Wiesz przecież. Ale nie jestem taki głupi. To twoje tajemnicze życie... Wiem, że są sprawy, o których mi nie mówisz...

Próbowałam się odezwać, ale wciąż zatykał mi usta, więc nie mogłam. Drugą dłońią przesuwał po moim brzuchu, po udzie, po miejscu, gdzie ciało kończyło się znienacka, założone na obciętą kość.

- Chyba znam odpowiedź - oznajmił w końcu.

- Mmm.

- Myślę, że oddałaś swoje dziecko do ochronki. Tak jak moja matka, niezależnie od tego, kim była. Mam rację?

Skinęłam, czując ulgę, że nie pozwala mi mówić. Pod jego dotykiem moje ciało zaczęło się odprężyć - bo było to dla mnie tak niezwykle, że mimo iż poznał tę straszliwą prawdę, nadal mnie dotykał, chciał mnie, chciał ze mną mieć cokolwiek wspólnego.

Podotykał mnie tak jeszcze trochę - nie zadając już więcej pytań - po czym wszedł we mnie i kochaliśmy się przez chwilę, choć znacznie krócej, smutniej i mniej przyjemnie niż zazwyczaj.

Dało mi to niewiele satysfakcji, a mimo to zalała mnie ogromna fala miłości wobec niego. Oto, po czym poznać, że się kogoś kocha - po tym, że uczucia w sercu biorą górę nad tymi tam, w dole.

Wyślizgnął się ze mnie i wytarł mnie kawałkiem materiału, bo cały czas dbaliśmy, by nie nabrudzić w łóżku Elsie, i wtedy, gdy podał mi papierosa, opowiedziałam mu całą resztę.

- Mogłam pójść zobaczyć grób później - powiedziałam. - Wiedziałam, gdzie jest, ale nie byłam w stanie. To było niewykonalne. Następny rok spędziłam bowiem w Tatum Fields, Billy...

Popatrzył na mnie ospale, bez złości czy zdziwienia. Moje wyznanie urwało się, wybrzmiało i zamilkło, mimo że mi nie przerwał.

- Spędziłaś... gdzie? W kiciu? Nic nie powiedziałam.

- No tak - rzekł powoli. - W takim razie to byłoby trudne, nieprawdaż?

Uniosłam brwi. - Tak. Byłam za murami. A stamtąd nie wypuszczają nikogo tylko dlatego, że chciałby odwiedzić grób - zauważyłam. - Szkoda, nie?

Roześmiał się, a ja mu zawtórowałam.

Po chwili spytał: - Za co cię zamknęli?

Wzdrygnęłam się. - Tego nie mogę powiedzieć nawet tobie.

Głowa Ewana nie pali się, jak trzeba. Łój przez cały czas zalewa i dławi płomień, a nieznośny zapach lepi się do podniebienia i kiedy już raz zaczęłam, nie mogę przestać wymiotować.

- Co się dzieje? - pyta mnie Billy, z pewną dozą czułości patrząc, jak targają mną torsje. - Jesteś przy nadziei? Tak, Lauro?

- Nie - odpowiadam, z trudem chwytając powietrze, gdy nie dobyło się ze mnie nic poza jasną żółcią, która wylądowała na skąpanym w słońcu powoju i gruzie. - To... to ten zapach.

Wreszcie przestaję, a mój oddech się uspokaja. Twarz mam zimną, zęby jakby chciały wypaść, a ślina smakuje jak opilki żelaza.

Łapiąc się za ręce jak małe dzieci, odwracamy się i spoglądamy na ognisko.

- Zaczekamy jeszcze chwilę - mówi Billy - ale nie wygląda to dobrze.

Ciało nie spala się na popiół, jakby się można spodziewać. Robi się z niego przypalone mięso, jak wieprzowina, która za długo siedziała w piecu. Oczodoły są już prawie puste, lecz z tego właśnie powodu wydają się gapić jeszcze bardziej natarczywie. Zęby pokryły się lśniącem brązem od dymu i tłuszczu.

Stoję nieruchomo i staram się przełykać smak popiołu, śmierci i rzecznego błota.

- Wciąż go przypomina - zauważam.

- Nieprawda.

- To znaczy, nie uważasz, że nadal wygląda za bardzo jak głowa?

- Nie wiem.

- Bo według mnie, Billy, tak.

Wstrząsa mną dreszcz, a on się we mnie wpatruje.

- Jesteś, prawda?

- Co?

- Jesteś przy nadziei. Wiem, że tak.

- Być może - mówię wreszcie. - Może i jestem, tak.

- Z kim?

- Och, Billy! - wołam. - Jak w ogóle możesz pytać? Oczywiście, że z tobą! Bez cienia wątpliwości.

- Cóż... to dobrze - mówi, lecz wzrok ma wystraszony i niepewny.

Zapada między nami dziwne, wstydlive milczenie i wsłuchujemy się tylko w chlupotanie rzeki. Chciałabym go mocno, porządnie uściskać, ale nie mogę. Czuję się taka słaba, smutna i bezcielesna. Podnoszę ręce i patrzę, jak niemal przenika przez nie żółte światło słońca - tak, przenika. Dokąd ty zmierzasz, Lauro Blundy?

Och, wiem, co to jest. Ogarnia mnie smutek, bo przygoda niemal dobiegła końca. Niedługo będzie po wszystkim. Czy Ewan spłonie, czy nie, czy zostanę znaleziona, czy nie, myślę, że bardzo niedługo przyjdzie mi znowu opuścić mojego ukochanego. Tylko nie to, och, proszę, tylko nie to!

- I co zrobimy? - pytam.

- Z nim?

- Oczywiście, że z nim. Znajdą go. Jesteśmy udupieni, prawda? No... co powiesz, Billy?

- Mocne słowa, Lauro.

- Ale prawdziwe, czyż nie?

- Ćśś. Zamilcz na chwilę, kochana, i daj mi pomyśleć.

Myśli - a każda jedna myśl odbija się w jego spojrzeniu i jakże cudnie w tej chwili wygląda! Napawam się widokiem jego twarzy - tak szczerzej i chmurnej, gdy oglądana z profilu - kiedy wyczarowuje plan, który będzie najlepszy dla nas obojga.

Żaden plan, jak sądzę, nie pozwoli nam zostać razem. Nie wtedy, gdy w grę wchodzi jego najdroższe dzieci.

Po jakimś czasie szybko wypuszcza powietrze, jak gdyby wykonał zadanie, jak gdyby się namyślił. Wbija we mnie te swoje spokojne, czarne oczy.

- Chyba będziemy musieli uciekać - mówi. - No wiesz, do Francji albo gdzieś?

Serce mi przyspiesza. - Co takiego? Tak jak zawsze chciałam? Tak jak od samego początku mówiłam?

Patrzy na mnie, a spojrzenie ma takie smutne i głębokie. - Tak, Lauro. Właśnie tak.

- Zostaniemy razem?

- Tak sądzę. A ty nie?

Wreszcie się uśmiecha. Nieznacznie. Ot, najdelikatniejszy uśmiezek tylko dla mnie.



- Och, Billy! - mówię, podskakując na miejscu, bo wprost nie mogę w to uwierzyć. - Och, Billy, tak! Ale myślałam... co z twoimi dziećmi, z twoją rodziną?

Twarz chmurnieje mu na moment, gdy wpatruje się w kopcającą głowę Ewana.

- Nie mogę od ciebie odejść, Lauro. Nie wiem, jak to zrobić. Kocham cię najdziwniejszą miłością. Jak tego dokonałaś? Jak się tam dostałaś...?

Pokazuje nie na serce, lecz na brzuch, na miejsce, gdzie skupia się cała jego istota - na tę część swego ciała, która drgnęła, gdy brał pierwszy oddech, i która znieruchomieje, gdy weźmie ostatni.

Uśmiecham się, chociaż twarz mam mokrą od łez. Kiedy przemawiam, mój głos dobywa się cicho i jakby z oddali.

- Nie mam pojęcia, o co ci chodzi. Przecież wiesz, Billy... To wszystko, co mówisz... to nie ma dla mnie sensu. Znam tylko... to uczucie, które mnie napędza...

Patrzy na mnie, jakby mi nie wierzył. Jakby nie miało to dla niego znaczenia. Mam wrażenie, że dokonał wyboru. Nic więcej dłużej się nie liczy.

- Ja wcale nie zabiłam Ewana - mówię mu. - Wcale niczego takiego nie zrobiłam, wiesz o tym, prawda?

Kiwa głową.

- To się w ogóle nie zdarzyło...

- Wiem o tym - mówi. - Ewan ma się doskonale, to pewne, Lauro... - Zastanawia się przez chwilę. - To co my właściwie...? - mówi nagle, lecz brakuje mu słów, by dokończyć: „co my właściwie robimy”.

- Zrobiliśmy to, co musieliśmy zrobić - mówię mu zdecydowanie, wyciągając swoją drżącą, małą rękę, by dotknąć jego dłoni. - Dzięki temu jesteśmy razem... ten czas upłynął nam razem... wiesz o tym, Billy, najdroższy mój...

Oboje patrzymy na ognisko, które zdążyło wygasnąć. Tylko szaro - biały popiół w pomarańczowej obwódce pamięta koniec płomienia.

- A zatem Francja? - mówi.

Przyglądam się uważnie jego twarzy, by sprawdzić, czy mówi poważnie, i widzę, że tak. Klaszczę w dłonie z radości.

- Będziemy razem i nadal będziesz mnie przyciągać - mówi głosem, który nagle brzmi ciężko i smutno.

- Billy... - zaczynam.

- Mówię poważnie. Nie jestem w stanie nad tym zapanować... nad tym wszystkim...

- Ale wybierasz...?

- Tak, wybieram.

- Kochasz mnie?

Wzdryga się i otula ciaśniej marynarką.

- Ależ z ciebie skubana maruda, ale... tak, Lauro, kocham cię bardzo, tak bardzo, że...

- Ćśś - uciszam go, oplatając caluśkiego dokoła ramionami, tak by pasowały na wieki. - Ja też ciebie kocham.

A zatem czeka nas jednak szczęśliwe zakończenie, Billy'ego i mnie.

Cały czas się uśmiecha, kiedy go obejmuję. Uśmiecha się cały czas, usiłując nie baczyć na ostry, brudny wiatr od rzeki, który niesie cienką, czystą smużkę dymu znad ogniska prosto w nasze rozradowane twarze, kiedy wtulam się w jego miękkie, brudne, chłopięce włosy.

I nie ma dłużej znaczenia, kto jest czyim dzieckiem, kto kogo pali ani dlaczego, ani kiedy, ani właściwie jak.

Nie, istotne i prawdziwe jest tylko to, że już niedługo on i ja będziemy razem leżeć w ciasnym wynajętym łóżku, będziemy palić papierosa i strząsać popiół do poobijanej wynajętej popielniczki, i wyglądać na zimne, szare, wynajęte morze.

I będziemy czekać na statek, który zabierze nas w nieprawdopodobne miejsce, gdzie nigdzie nie byliśmy, gdzie nie spodziewaliśmy się kiedykolwiek pojechać i skąd pewnie nigdy nie zdołamy wrócić, a jednak na tym dziwnym, przypadkowym i wielce tymczasowym świecie kogo to w ogóle obchodziło?

Siedziałam więc na schodach przed Świętym Idzim w słabym, mżącym deszczu, a był to mój drugi dzień z Margaret i już bardzo zaczynałam się do niej przyzwyczajać - do jej zapachu, maleńkiego ciężarku, do przeplatanki snu, śmiechu i płaczu.

- To jego kocyk - rzekłam, bo czyż nie opowiadałam jej ciągle o moim syneczku? - Wełniany, widzisz, i kiedyś miał śliczny, głęboki różowy kolor. Był też obszyty wstążką, ale mały urwis pewnie ją obskubał...

Margaret patrzyła mi w twarz.

- Nie dostaniesz go - powiedziałam szybko, choć tak naprawdę o nic nie prosiła.

Po jakimś czasie zorientowałam się, że ma mokro, więc zabrałam ją pod pompę, gdzie obmyłam jej pupę, a gdy wreszcie udało mi się ją uciszyć i uspokoić, powiesiłam szmatkę, którą nosiła pod sukienką, na wietrze, żeby wyschła.

Ją samą osuszyłam, zawijając we własną brudną spódnicę, i pomyślałam, że musimy stanowić rozczulający widok, mama i córka, mimo że jej skóra była o wiele, wiele ciemniejsza od mojej, ale co tam.

Potem zajęliśmy się obserwacją przechodzących ludzi - przeważnie dzieci o oczach przekrwionych jak u mojej małej dziewczynki i kobiet z odkrytymi głowami. A kiedy nam się znudziło, zaczęliśmy patrzeć na pogłębiarki brnące rzeką z pomalowanymi na czerwono i żółto kominami, wszystko coraz ciekawsze i piękniejsze.

Staralam się, jak moglam, naklonic Margaret do patrzenia, lecz jej biedne, kaprawe oczeta wciaz zamykaly sie na wietrze. Szkoda, bo tak wiele tracila, o czym jej zreszta powiedzialam, lecz ona miala to w nosie i nie podnosila powiek.

- No dobra - rzeklam w koncu. - Jak sobie chcesz.

Pomyslalam, ze to bardzo smutne, iz nie widzi tego, co ja. Z miejsca, gdzie siedzialysmy, dalo sie nawet dostrzec wieze srutowa, odlewnie zelaza i Miejska Szkole Cyklistow. A w dole zawsze plynela rzeka, lsniaca i bezglosna, wepchnieta w sloncu pomiedzy dwa bezuzyteczne brzegi.

Po jakimis czasie zapadla przy mnie w sen.

A przynajmniej powieki opadly jej powoli, po czym otworzily sie jeszcze na moment z motyla delikatnoscia, lecz zobaczylam, ze Margaret juz wlasciwie drzemie, ze jej oczy w zasadzie udaja tylko, iz patrza, wlepione tak naprawde w czarna nicosc, i pewnie dlatego zaraz sie na powrot zamknely.

Zamknely sie i mala zasnela.

Jedna straszna myszl, jeden wielki niepokoj byl przez caly czas ze mna, oblekal moje serce jak rekawiczka i rwal mi oddech tamtego dnia z Margaret - byl to lek, ze moj synek mogl umierac sam.

Czy umieral sam, prosze pana?

Wiedzialam, ze tamtego dnia zadalam to pytanie, lecz nie pamietalam odpowiedzi. Za bardzo bylaam zrozpaczona, by sluchac czy zapamietać istotne fakty. Teraz bylaam na siebie wsciekla za to niedopatrzenie. Jak moglam byc tak nieuważna? Jak moglam byc tak glupia, tak nieprzytomna? Powinnam byla uważac i sluchac. Powinnam byla wiedziec, ze jest to pytanie, ktorego juz nigdy nie bede mogla zadac.

Ta luka w wiedzy o losie wlasnego dziecka dręczyła mnie okrutnie. Zzerala mnie od srodka. Byla to ostatnia rzecz, o jakiej myslalam, zasypiajac, i pierwsza, jaka przemykala mi niespokojnie po glowie po przebudzeniu.

Czy umierał sam, proszę pana?

I patrzyłam na stulone jak kwiatowy pąk usteczka Margaret - tak delikatne, tak spokojnie zamknięte - i myślałam, tak, wygląda jak jej mama, połączenie pewności siebie, głupoty i czystego zadziwienia. I raptem zdumiałam się, czując ukłucie ślepej zawiści, że mój syneczek odszedł i byłam teraz z Margaret. Że ją miałam przy sobie, a jego nie było.

Żeby tylko zobaczyć, co się stanie, ścisnęłam dwoma palcami jej idealny nosek, zatrzymując oddech. Chciałam się przekonać, czy będzie umiała otworzyć usta. Chwilę po tym, jak oddech ustał, otworzyła, więc zabrałam palce. Oddychała dalej. Tak mi ulżyło, że wie, jak sobie poradzić. Przytuliłam ją mocno i całowałam po całej śpiącej buźce. Dziękuję ci, Margaret, mówiłam, dziękuję ci, kochanie, mój skarbieńku najdroższy...

A potem, żeby się upewnić, spróbowałam znowu.

Później, kiedy już całkiem ostygła mi na rękach, poszliśmy na kolejny nasz długi spacer.

Była teraz taka spokojna, znacznie łatwiej było ją nieść, zwyczajnie przewieszoną byle jak przez ramię. Gdybyż tak dzieci zawsze zachowywały się w ten sposób, pomyślałam. Koniec z szarpaniną, koniec z wierceniem się i kręceniem, jakie zawsze ma miejsce, kiedy walczą ze snem.

Śpiewałam jej piosenkę, nie pamiętam jaką, ale na pewno coś wesołego.

Zadarłam spódnice i przechadzałyśmy się niespiesznie po zaułkach wzdłuż rzeki z ich kocimi łbami, wszechobecną wilgocią i chylącymi się kominami. Zobaczyłyśmy tam kolorowe doniczki z pelargoniami i mnóstwo kobiet snujących się jak ja z gołymi głowami, a także zgraję brudnych dzieci biegających po ulicy na bosaka, z zasmarkanymi nosami.

Krzyknęłam, żeby uważały na szkło, bo jak zwykle wszędzie walały się potłuczone butelki, ale żadne z nich nie zwróciło na mnie najmniejszej uwagi i pewnie porozcinały sobie stopy, jakby chodziły po brzytwach. Jeśli tak, to same sobie były winne, skoro nie chciały posłuchać życzliwej rady zatroskanej obcej osoby.

Pomyślałam sobie, gdyby tylko wiedziały, gdyby zdawały sobie sprawę, jak dobrze znam się na dzieciach i jak świetnie sobie z nimi radzę. Jestem o wiele bardziej rozsądna niż większość znanych mi matek, które wolą stać i gapić się na jakiś fikuśnie ozdobiony kapelusz w sklepowej witrynie, niż uważać, by ich dziecko nie wpadło pod jednokonkę na drodze.

Niejedno dziecko ocalałam przed kołami powozów, dobrze to wiem - w swoim życiu, w swoich snach i w swoim czasie.

I oto stało się coś dziwnego: nad sklepikiem spożywczym Buckridge'a wisiał szyld z napisem „Zakupy najprostsze z możliwych” i choć widziałam go wcześniej z milion razy, coś w tym znaku przykuło tego dnia moją uwagę, podeszłam i usiadłam na stojącej pod nim żelaznej ławce.

I to tam właśnie siedziałam, tuląc do siebie nieżyjące od dawna dziecko i czekając, aż znajdzie mnie Jackie, co też udało jej się wreszcie po pewnym czasie spędzonym na poszukiwaniu. A jeszcze jakiś czas później zjawiała się za nią policja.

## Dziecko

Musicie zrozumieć, że nie jest łatwo umieścić małe dziecko w ochronce, bo trzeba tam przedstawić najróżniejsze dowody i poddać się przesłuchaniu, które trwa kilka kolejnych dni, a prowadzone jest przez całą wielką komisję złożoną z mężczyzn o siwych, groźnych wąsach, powołanych zasadniczo po to, żeby się do ciebie dobrać.

Starają się odmawiać przyjęć, bo za mało jest miejsc i muszą je trzymać dla tych, co rzeczywiście zasługują. Jedynie matki, którym naprawdę, ale to naprawdę zależy - matki dzieci poczętych na skutek nieszczęśliwych wydarzeń, w sposób zupełnie przez nie niezawiniony, czego są w stanie dowieść - mogą umieścić tam swe maleństwa.

Początkowo śmiali się. Powiedzieli, że mam nikłe szanse na to, by mój synek został przyjęty. Gdy jednak przekonałam ich, że wykorzystano mą łatwowierność, a zwłaszcza gdy uprosiłam jedną z przyjaciółek mojej ciotki, by poświadczyła, że zawsze byłam porządna, pracowita i niewinna i że jedynie nieszczęśliwe zrzędzenie podłego losu sprawiło, iż znalazłam się na ulicy, wreszcie ulegli.

Powiedzieli, że mogę przynieść go nazajutrz o siódmej rano i że jeśli zapukam do wielkich drzwi, to tam będę go mogła przekazać, a oni wystawią mi pisemne pokwitowanie. Tak po prostu.

Cóż, tamtej nocy leżałam z moim synkiem na sienniku w przytułku dla pracujących, tuliłam go, dotykałam i karmiłam ostatni raz.

Ze ściśniętym z rozpaczy sercem przeżywałam w myślach wszystko po kolei - co zrobię, jak i dlaczego. Najważniejsze było to „dlaczego”. Ponieważ tak było najlepiej dla niego i dla wszystkich, byłam tego pewna, gdyż powtarzałam to sobie tak długo, aż wrosło mi w duszę jak coś twardego. Ponieważ tego dla niego pragnęłam, ponieważ go do szaleństwa kochałam.

Wmawiałam sobie, że się cieszę, ale chciałam, by z oczu wreszcie przestały mi płynąć łzy. Chciałam przestać szczekać zębami i chciałam, by każdy jego dotyk nie rozdzierał mi serca.

Przez całą tę noc, przez te ostatnie godziny ani na moment nie wypuściłam go z rąk. Gdy jego wargi rozchyliły się wreszcie i puściły moją pierś, powoli przesunęłam palcami po każdej cząsteczce jego maleńkiego ciała, wychwytyując każdy najdrobniejszy szczegół, zapisując go w głowie, ucząc się na pamięć.

Gładziłam smukły łuk pleców, które od dnia narodzin przez cały czas pokryte były najrozkoszniejszym, najdelikatniejszym czarnym meszkiem jak u małej małpki. Ostatni raz pogłaskałam ciepłutki kark, gdzie kłębiły się czarne włoski i gdzie lubiłam wtulić twarz, gdy było mi zimno, smutno albo gdy byłam na coś zła.

Dotykałam jego udek, chudej pupy, maleńkiej jak piątka, podłużnych, smukłych stopek, które pewnego dnia miały go ponieść w świat, a przynajmniej po całym Londynie, gdyby przeżył, obdarzony zdrowiem i chęcią poznawania.

W dłoniach trzymałam jego dwie małe rączki, których doskonały kształt znałam lepiej niż kształt własnych rąk. Przesuwałam opuszkami palców po miękkich, giętkich paznokietkach, ściszałam ciepłe łapeczki, wdychałam czysty mleczny zapach w zagięciu małego paluszka.

Wszystko mu dokładnie tłumaczyłam.

Choć wiedziałam, że mnie nie rozumie, że nie zna słów, mówiłam, że zrobiłam, co w mojej mocy, by go zatrzymać, ale nie jestem w stanie pracować i jednocześnie się nim opiekować. W przytułku, gdzie w końcu trafiliśmy, robił się coraz słabszy, przecież o tym wiedział, nieprawdaż? Wiedział, że raz już omal nie umarł na dyfteryt? Tutaj dzieci umierały



przez cały czas, tak często i tak szybko, że nikt tego prawie nie zauważał.

Za to w ochronce będzie miał dobrą opiekę, będzie nakarmiony, ubrany, nauczy się czytać i pisać. Dzieci, jak mi powiedziano, trafiały tam chude i smutne, zaś opuszczały sierociniec jako dumni ludzie, przed którymi maluje się świetlana przyszłość.

Powiedziałam mu, że przez całe życie będę się o niego dopytywać. W każde jedne urodziny będę mu błogosławić i za nim płakać. Nigdy nie przestanę się nim interesować i w sercu zawsze będę nad nim czuwać...

- Gdziekolwiek będziesz - powiedziałam - ja tam będę z tobą. I wyrośniesz na dużego, silnego, szczęśliwego człowieka, a wtedy, jeśli będę jeszcze żyła, cię odnajdę... Tak, mój kochany, przyrzekam. Odnajdę cię.

Mój synek nie zapłakał ani się nie zaśmiał, nie wydał żadnego dźwięku. Patrzył tylko na mnie, jakby nigdy nie miał zamiaru przestać. Na dolnej wardze wciąż miał sinawą błonkę z mojego mleka. Nie chciałam znowu podawać mu piersi, choć tak bardzo tego pragnęłam, bo musiał zacząć przyzwyczajać się do braku mojego pokarmu. Włożył do buźki kciuk, chwycił za swój wełniany kocyk i patrzył na mnie.

Był bardzo cichy i spokojny. Nie zasnął, ale też nie wiercił się, nie płakał, tylko z kciukiem w buzi i kocykiem przy nosie wbijał spojrzenie swych ciemnych oczu w moją twarz. Przyglądał mi się w takim samym skupieniu jak ja jemu: każdej krzywiznie jego ciała, każdej bruzdzie, łzie i każdemu zmarszczeniu czoła. Cieszyłam się, czując na sobie jego oddech - chłodny, mleczny oddech mego dziecka, które już do mnie nie wróci.

Postanowiłam nie spać. Tak bardzo nie chciałam stracić ani minuty z mojej ostatniej z nim nocy, lecz najwyraźniej

przysnęłam. Bo w jednej chwili było ciemno i cicho, a w następnej już niebo w górnych szybach okien biło po oczach błękitem i usłyszałam, jak w ruch idzie codzienny młyn.

Przez pół godziny przyglądałam się, jak śpi. Oczka miał zaciśnięte, buźkę otwartą, kciuk w powietrzu, wciąż jeszcze mokry, z odrobiną lśniącej śliny na czubku, a do policzka mocno tulił swój ulubiony, najukochańszy kocyk.

Godzinę później, dotarłszy na miejsce, w dusznym, ciemnym pokoju otworzyłam ramiona i pozwoliłam im go zabrać. Poddał się bez trudu. Czułam, jak się poddaje. Nie patrzyłam mu w twarz, lecz wiedziałam, że odwrócił główkę, by na mnie spojrzeć. Nie wydał żadnego dźwięku, ledwo westchnienie. Był grzecznym chłopcem. To był ostatni raz.

Nie patrzyłam.

Myślałam, że zabiłam małą dziewczynkę - powiedziałam Billy'emu, gdy naciągaliśmy na siebie szorstką kołdrę Elsie. - Ale wszystko dobrze się skończyło, rozumiesz... okazało się, że nie...

Czekałam, lecz on się nie odzywał, choć też nie odwrócił się ode mnie, tylko trzymał na mnie obie ręce, obie dłonie na kikucie mojej nogi, która została odcięta tyle miesięcy wcześniej.

Zadrzałam.

- Słyszałeś? - spytałam ostro. - Powiedziałam, że wszystko ostatecznie dobrze się skończyło.

Spojrzał na mnie. Spojrzał mi w twarz, jakby to było coś niepojętego i nieodgadnionego.

- Billy? - krzyknęłam.

- Jestem tu - przytulił mnie do siebie - jestem...

Wydaje mi się, że płakał. Patrzył na mnie, a potem odwrócił wzrok i chyba usłyszałam dławione łzy, ale może tylko mi się zdawało. Może to tylko złudzenie.

- Nie zrobiłam tego! - powiedziałam.

Billy spojrzał mi w twarz, która znalazła się teraz w jego dłoniach. Nie płakał, miał tylko wilgotne oczy, nic więcej.

- Nie zrobiłaś tego? - spytał. - To jak mogłaś pomyśleć, że zrobiłaś, Lauro? Co to ma znaczyć?

Zaniemówiłam.

- Co chcesz mi powiedzieć, kochana? Że wsadzili cię do więzienia za zamordowanie małego dziecka?

Zesztywniałam, słysząc te słowa.

- Ależ nie! - zaprzeczyłam. - Nie o to chodzi... Byłam tam krótko. Po jakimś czasie spędzonym w milczeniu w celi przenieśli mnie do pracy w pralni.

- A zatem - stwierdził Billy - chcesz mi powiedzieć, że byłaś sądzona.

- To nie trwało długo.

- I wypuścili cię?

- Zgadza się - odrzekłam i westchnęłam z ulgą, że zrozumiał. - Tak, myślałam, że zabiło ją coś, co zrobiłam, ale nie. To nie było to. Nie ja to zrobiłam.

- Co takiego? - dopytywał się Billy. - Czego nie zrobiłaś, Lauro?

Zamknęłam oczy.

- No czego?

- Nie wiem - odparłam. - Niczego.

- Nie wiesz? Myślałaś, że kogoś zabiłaś, ale nie wiesz...?

- To była taka słodka dziewczynka - przerwałam mu. - A Jackie przysięgała im, że to moja wina, lecz potem odkryli, że umarły jej wszystkie dzieci, jedno po drugim, wszystkie odurzone laudanum...

- A ty jej uwierzyłaś. Myślałaś, że to przez ciebie?

- Tak - odpowiedziałam, kiwając głową i drżąc na wspomnienie twarzy Jackie. - Tak.

- Ale dlaczego i oni tak uważali?

- Bo sama im powiedziałam, Billy. Powiedziałam, że to moja wina. Powiedziałam od razu, żeby Jackie wiedziała dokładnie, kogo nienawidzić.

Billy dotknął mojego policzka, po którym spływała łza - tak szybko, że nie mogłam jej zatrzymać.

- Ale... Lauro... dlaczego?

Próbuję sama znaleźć odpowiedź, dlaczego, lecz przez głowę przetacza mi się tylko smutek tamtej chwili.

- Wcześniej zabiłam mojego synka - powiedziałam. - A potem pomyślałam, że zabiłam tę dziewczynkę. Dwoje małych dzieci. Dlaczego nie miałabym zabić ich obojga?

- Lauro, najdroższa moja. Nikogo nie zabiłaś, nigdy... Spojrzałam na niego, leżącego ze mną w łóżku Elsie, na bijące z jego słodkiej twarzy współczucie.

- Nie każ mi o tym myśleć - poprosiłam go. - Nie mogę. Nie myślałam o tym przez tyle lat...

Wypuściłam z oczu nagromadzone łzy i wzięłam wdech. Zamknęłam oczy, lecz natychmiast ukazał mi się obraz Margaret, więc musiałam je na powrót otworzyć.

Kiedy Dorcas została powieszona, myślałam, że w więzieniu zwariuję. Nie byłam w stanie myśleć ani oddychać, ani znaleźć odrobiny miejsca w swojej głowie. Szybko jednak czymś normalnym stało się gapienie w czerń.

Pozostawałam sama ze swoimi myślami i choć na początku wspomnienia - Margaret, brązowa rzeka, przyprawiające o zawroty głowy zamieszanie w sądzie - przerażały mnie, to wkrótce obrazy owe zaczęły zanikać i odkryłam ku swojej radości, że w mroku łatwiej mi było tak być z nim.

I wtedy - o mój Boże - wtedy on naprawdę do mnie przyszedł.

Na początku wstrzymałam oddech, bo trzeźwo myśląca część mnie wiedziała, że to niemożliwe. Powoli jednak, w

ciemności czy też właśnie z niej, on do mnie wrócił - początkowo tylko uśmiech albo paluszek, albo wspomnienie tej szczególnej miękkości. Od czasu do czasu chichot lub wrażenie wilgoci, słonawy zapach tuż przed tym, jak go obmyłam.

Aż którejs nocy przebudziłam się i spostrzegłam w celi światło. Szara, delikatna jasność przełamывwała mrok, chociaż być jej tam nie powinno.

Tym razem nie sposób było tego z niczym pomylić. Poczułam szybkie bicie jego pulsu, jego oddech na moim policzku. Nie bałam się.

Zawołałam go po imieniu, cichutko i ostrożnie, żeby nie obudzić strażniczki.

W ciemności rozległ się słaby szloch. Wyciągnęłam rękę.

- Jesteś tam? Jesteś?

Nic nie zobaczyłam i niczego nie usłyszałam, lecz poczułam otaczającą mnie miłość. Było mi dobrze i ciepło, byłam szczęśliwa. Czułam, jak ciało mi się odpręży, a serce skacze z radości.

- Gdzie jesteś? - zawołałam. - Kochanie, gdzie jesteś?

Wdrapał się - tak, wdrapał się, choć było z niego jeszcze takie maleństwo! - do mnie na pryczę, poczułam jego ruchliwe ciepłko i natychmiast zasnęłam.

A rankiem - nic, odszedł.

A jednak rankiem też było zupełnie inaczej, bo wszystko jakimś cudem rozświetliło się, pojaśniało, jak gdyby zdjęto mi welon, choć tak naprawdę pozostał na swoim miejscu gruby i ciemny jak przedtem.

Ale co tam światło. Pragnęłam teraz, by ciemność trwała bez końca. Błagałam o noc, o czerń, o ciszę. Bo jeśli tylko usiadłam nieruchomo z rękami złożonymi na kolanach i z zamkniętymi oczami, on do mnie przychodził.

Zawsze. Niezawodnie. Moje dzieciątko do mnie przychodziło.

A ja na nie czekałam.

Czasem zastanawiałam się, jak to się właściwie dzieje i kto za to odpowiada, Bóg czy może Diabeł? Gdyby się miało okazać, że ten drugi, wolałam tego nie wiedzieć. Lepiej było siedzieć w idealnie słodkiej, niewinnej ciemności i trwać.

Lepiej było milczeć i wstrzymywać oddech, gdy moje dziecko podchodziło bliżej. Coraz bliżej. Lepiej było móc je widzieć, dotykać i tulić.

Lepiej było poddać się temu, cokolwiek to było, i rozkoszować ciepłem i idealnym dopasowaniem naszych ciał, bo czyż nie pasowały do siebie idealnie od zawsze i czyż nie wiedziałam, że zawsze tak pasować będą?

Billy

Nie powiedziałam Billy'emu, że idę na Goad's Place szukać swego dziecka. Nie powiedziałam nikomu. A już z pewnością nie zamierzałam o tym mówić Ewanowi, który nadal upierał się, by obdarzyć mnie własnym potomkiem.

W końcu jednak, po tylu latach życia w przekonaniu, że tego nie zrobię, i unikania jego ducha, wiedziałam, że muszę. Choćby serce miało mi pęknąć z bólu, musiałam go odzyskać. Wiedziałam, że muszę przysiąc na kamieniu i wpatrywać się w czarną, pooraną ziemię, by uświadomić sobie pełną prawdę: że moje dzieciątko leży tam pochowane pod tą masą nieruchomego, ciemnego piachu.

Było upalne przedpołudnie, lecz w nocy przeszła burza i wysoka trawa na kościelnym dziedzińcu wciąż jeszcze była mokra i spłaszczona, a w powietrzu unosił się zapach wilgotnej ziemi i deszczu. Miejsce okazało się zaskakująco spokojne i pomyślałam, że nie byłoby źle, gdybym go tutaj znalazła.

Szłam zarośniętą ścieżką powoli, bo moje kule, o zgrozo, co rusz wplątywały się w powoje i gęsto rosnące chwasty. Pod rozrośniętym, ciemnym cisem zatrzymałam się i rozejrzałam dokoła. Może i było tu spokojnie, lecz częściowo spokój ten brał się z ciszy i zaniedbania. Nikt już tutaj nie przychodził. Ci, którzy tu spoczywali, dawno zostali zapomniani. Wiele z najstarszych nagrobków tonęło w chaszczach.

Szłam dalej.

Ozdobione kroplami pajęczyny wisiały niewzruszone pomiędzy łodygami całych tysięcy wyszukanych roślin, a blade, postrzępione płatki kwiatów zjadały ślimaki i nawet pokrzywy jakby załamały się i z własnej woli poddały deptaniu i plątaniu.

Znać było, że nie odbywały się już tutaj żadne śluby ani pogrzeby, bo nawet kościół popadł w ruinę, w dachu ziały

dziury po pozrywanych dachówkach, a okna zostały pozbawione ołowianych spojeń i porozbijane przez włóczęgów, którzy zapewne próbowali dostać się do środka.

Kiedy tak brnęłam wśród dzikich róż, paproci, trybuli i czego tam jeszcze, rąbek mojej spódnicy zupełnie przesiąkł wilgocią, a serce waliło mi mocno i boleśnie. Z początku myślałam, że to z wrażenia, bo tak wielką wagę przykładalam do tego, by go odnaleźć, lecz wtedy nadeszła fala innego uczucia, które kompletnie mnie zaskoczyło.

Było to rozczarowanie. Rozczarowanie i zawód. Wraz z przekonaniem, że ostatecznie może nie jest to takie złe miejsce - samotne, ale spokojne i bezpieczne - przyszło inne, bardziej bolesne. Przeświadczenie, że trafiłam na niewłaściwy cmentarz.

Dziecinko, gdzie jesteś?

Usiadłam na kawałku granitu, który odpadł od jakiegoś nagrobka, i rozejrzałam się dokoła. Wiedziałam, że musi być gdzieś tutaj, pod ziemią, postanowiłam więc nie bacząc na swoje serce, spróbować się odprężyć i wyczuć jego obecność. Dotarło do mnie jednak tylko bzyczenie pszczół buszujących w zaroślach i odległy odgłos wozów na ulicy. I choć zaczęłam nawet do niego mówić - czułości wypowiedane przymilnie w rzadkim powietrzu - to mój głos umilkł w końcu, zawstydzony. Omal się nie roześmiałam. Nie było go tutaj. Nie został tu pochowany, musiała zajść jakaś pomyłka, bo nic nigdy jeszcze nie było dla mnie równie jasne i pewne.

Zaczęłam płakać. Były to łzy rozczarowania. Jeśli nie tutaj, to gdzie?

Przyniosłam ze sobą bukiet rudbekii, by złożyć na jego grobie - ścisnęłam łodygi tak mocno, że pozieleniały mi dłonie - lecz teraz upuściłam je na kolana. Bo po co to?

Cóż, siedziałam tak bardzo długo. Owady latały jak opętane wśród wyblakłej trawy w parnym, ponurym



powietrzu. Za kilka minut słońce miało znaleźć się w zenicie, cienie miały się skurczyć i zniknąć.

Ale co mnie to obchodziło? Nie było tutaj mojego dziecka, nigdy go tu nie było.

Wytarłam oczy, położyłam kwiaty przy grubym pniu starego drzewa i odeszłam.

Tej nocy, gdy leżałam w łóżku obok Ewana, coś mnie obudziło. Nie był to sen, tylko coś takiego:

Bardzo wyraźnie zobaczyłam cmentarz Goad's Place - nie taki jak obecnie, lecz jak musiał wyglądać dawniej: odchwaszczony i w przemyślany sposób obsadzony roślinnością, z równymi rzędami nagrobków, przyciętą trawą, a nawet żwirową ścieżką, która wiała się w stronę kościoła.

I pośród tej całej potwornej schludności ukazał się mój synek - cały on, tak słodki i namacalny, jak go zapamiętałam, chudziutki i ciemnooki, ścisnął swój kocyk i wołał do mnie.

Mój najdroższy.

W ciągu sekundy oprzytomniałam, skupiłam się tylko na nim. Serce mi drgnęło, ciało się naprężyło, wyrywając się tam, gdzie, jak mi się zdawało, go spotkam. Pójść. Znaleźć. Mieć. Być potrzebną.

- Gdzie jesteś?

- Nie tutaj, mamusiu - zawołał głosem, którego nigdy nie słyszałam, bo gdy się ostatni raz widzieliśmy, jeszcze go nie posiadał.

- Wiem o tym - wyszeptałam w odpowiedzi, targana bólem i paniką, że znowu mi umknie. - Ale gdzie? Błagam, gdzie jesteś?

Poruszył rączkami. - Tutaj - powiedział. - Ja... z tobą...

- Tak - krzyknęłam, usiłując zapanować nad zdenerwowaniem. - Ale gdzie? Gdzie cię zostawili, najdroższy?

- Z tobą - odrzekł.

Do oczu napłynęły mi łzy, bo go nie rozumiałam, w ogóle, i nie mogłam się z tym pogodzić, z tym takim brakiem jasności.

- Nie. Nie ze mną...

- Tak. Z tobą.

- Och, powiedz mi, gdzie jesteś, mój kochany - poprosiłam znowu. - Nie rozumiesz? Jeśli będę wiedziała, gdzie jesteś, będę mogła do ciebie przyjść.

- Z tobą - wyszeptał i tak jak ja zaczął płakać. - Już jestem z tobą... zawsze... z tobą...

- Och, Boże - zawołałam - mówisz tak, ale dlaczego, skoro nigdzie cię nie czuję?

Ogarnął mnie w tej chwili wielki smutek, bo wiedziałam, że wszelkie moje poszukiwania nie mają najmniejszego sensu, że nigdy go nie znajdę, nie będę miała pewności, gdzie leży.

Zdaje mi się, że ukryłam twarz w dłoniach i zaszlochałam.

- Znalazłaś mnie - powiedział, a oczy miał tak smutne i ciemne, jak je zapamiętałam. - Już mnie znalazłaś, Lauro, jestem z tobą...

- To kłamstwo - wyszeptałam, gdy jego obraz mnie opuścił, i usiadłam na łóżku ze łzami na policzkach. - Nie mów tak, to okropne kłamstwo.

I pomyślałam, że przecież matczyzna miłość, którą nosisz w sercu, powinna ci wystarczyć - powinna, a jednak nie wystarcza. I że to kłamstwo, że raczą cię kłamstwem, iż się uwolnisz. Prawda bowiem jest taka, że nosisz w sobie dziecko, a ono wnika w twoje kości i skaża cię na zawsze, tak iż resztę życia spędzasz, starając się odnaleźć je na nowo: to bezwzględne brzemie i rozkoszne ciepło, ten słodki, nagły dotyk życia w twoim wnętrzu.

Zadziwiająco, doprawdy, że Ewan się nie obudził, bo zerwałam się z łóżka, otworzyłam okno i pierwszy raz od nie pamiętam jak dawna zawołałam go po imieniu.

- Billy! - krzyknęłam. - Nie odchódź! Jestem tutaj! Jestem twoją mamą i kocham cię, kocham cię, kocham cię! Powiedz mi, gdzie jesteś, żebym mogła do ciebie przyjść!

Urodziłam mego synka na czworakach pod płachtą starego brezentu nad rzeką. Wiedziałam, że pcha się na świat, bo poczułam palący ból w krzyżu i w udach i nie mogłam nad niczym zapanować, musiałam pozwolić mu wyjść.

Wyślizgnął się całkiem łatwo, bo był tak strasznie mały - zupełnie tyci - tyci, z pewnością nie w pełni dojrzały. Był w grubej bańce z wodą. W czepku urodzony. Powinien mieć szczęście, jak mówią, ale biorąc pod uwagę, jak się wszystko potoczyło, chyba nie wróżyło to nic dobrego ani dla niego, ani dla mnie.

Przegryzłam błonę niczym kotka, a woda poląła się po moich udach i kolanach. Bańka skurczyła się do rozmiaru przezroczystego woreczka i ukazał mi się mój synek. Chłopiec. Miał czarne jak węgielki oczy i zadziwiającego, przypominającego krewetkę siusiaka, bladego i nieukrwionego. Pierwszy raz widziałam coś takiego. Nie mogłam się napatrzeć.

On też na mnie patrzył. Zrobił wdech i zakrzyczał, a ja roześmiałam się radośnie i z ulgą, bo oznaczało to, że żyje. Przytuliłam go do siebie, a on od razu znalazł sutek i zaczął ssać. Uśmiechnęłam się. Nie widziałam ani kropli mleka, lecz on coś tam ciągnął. Strasznie to było dziwne uczucie, dawać komuś kawałek siebie.

Po kilku minutach wyszło ze mnie coś jeszcze, brązowe i śliskie jak kawałek mięsa. Wygrzebałam dziurę w piasku i to zakopałam. Włożyłam tam też czeppek. Gdy nadciągnął przypływ, brązowa woda zachlupotała i spieniła się nad małym grobem, a mój synek i ja odeszliśmy dalej i zasnęliśmy pod starą łodzią.

W Shanklin Court jest normalna sobota, niebo zamglone, dość ostry wiatr. Wczesne słońce, które zdawało się takie czyste, gdy Cally obudziła się, by nakarmić dwójkę najmłodszych dzieci, jak gdyby uciekło gdzieś i się zamuliło, zanim zbudziła się reszta świata.

Twoja żona naciera pierś Lulu łojem, by złagodzić męczący kaszel, który przez całą noc nie dawał spać rodzinie, a Pinny - niezawodna Pinny! - dostała zadanie ustawienia w oknie paru żółtych i czerwonych puszek po kakao, by chwytając światło, przykuwały uwagę maluchów.

Pinny wie, że nie spałeś w swoim łóżku, bo weszła właśnie do pokoju i zastała Arthura, wierzgającego i krzyczącego. Całe szczęście, że był przywiązany, bo jeszcze zrobiłby sobie krzywdę. Arthur jest silny jak każdy dziesięciolatek, a do tego ma wilczy apetyt.

I tak oto życie toczy się dalej. Nie wrócisz dzisiaj do domu ani jutro, ani pojutrze. Jeśli Cally uda się pójść wcześniej na targ, jest szansa, że zdoła oszczędzić dość grosza, by kupić ci kielbasę.

Normalnie byłbyś bardzo zadowolony. Życie w Shanklin Court jest tak skromne i oszczędne, że kielbasa w domu to małe święto. Jej zapach unosi się w powietrzu całymi dniami - czuć ją we włosach, na ubraniu, nawet na ulicy. Nie umyka uwadze sąsiadów.

Ale nie wrócisz do domu na kolację. Nie wyciągną twojego starego, rozklekotanego krzesła, żebyś mógł oprzeć nogi i patrzeć, jak Cally kąpie w kotle wasze maleństwo.

W wodzie Dora może zrobić kupę z radości, bo tak lubi kąpiel, i jeśli tak się zdarzy, Cally zacznie kląć, na czym świat stoi, zmuszona paprać się w pływających na powierzchni gówienkach. Jedno wszak jest pewne: nie zobaczysz tego, bo ciebie tam nie będzie.

Początkowo Cally nie będzie szczególnie zła. Zeklnie cię za to, że zostawiłeś ją samą na całą noc, ale pomyśli, że poszedłeś gdzieś z kolegami, bo podejrzliwość nie leży w jej naturze. Jest taka dobrodusza. Poza tym to bardzo zajęta kobieta, a życie rodzinne bywa irytujące, nieuporządkowane i nieprzewidywalne. Miłość - i świadomość, że każdy, komu udało się dożyć wieku młodzieńczego, ma równie źle - większość z nas prowadzi do smutnego końca.

Ale ty nie jesteś z kolegami.

Nie będziesz patrzył, jak Cally owija pupę Dory w kawałek szmaty i po raz setny myśli, jaka jest pomarszczona i mizerna w porównaniu ze mną, z twoją Laurą - jaka powściągliwa, choć tak bliska, jaka przedwcześnie posiwiiała.

Ty będziesz gdzie indziej, z dłońmi na moim ciele i sercem wstrząsanym miłością. Uciekasz, żeby być ze mną, twoją miłością. Zdołasz przekonać sam siebie, że nie jesteś tutaj, w domu, potrzebny. Cała ulica pomoże. Cally zawsze będzie miała co dzieciom do ust włożyć. Życie będzie toczyć się dalej i bez ciebie.

Tak, słońce już wysoko i jest jasne, wietrzne przedpołudnie. Ktoś powinien pójść i zająć się Arthurem. O Arthurze nietrudno zapomnieć. Nawet jego krzyki wchłaniane są przez dom. Nie to co mały Jack, który już siedziałby przy oknie i wyglądał konia śmieciarza.

Cally podaje pierś najmniejszej z waszych pociech, która musi dostać jeść przed wszystkimi.

Gdybyś tu był, Pinny podeszłaby, oplotłaby ci szyję ramionami, a ty wdychałbyś słaby, rozkoszny zapach jej niemytego ciała.

Przypomniałaby ci o tym, co już wiesz: że twoje serce zostało prawdziwie nawiedzone, a w twojej głowie dzieją się rzeczy, których nikt - ani Bóg, ani twój szef, ani nawet policjant - nie umiałby wyjaśnić.

Gdybyś tu był, śmiałybyś się z niej. Jednak ten śmiech brzmiałby niepewnie i smutno, a ona by to zauważyła.

- Wychodzisz później? - spytałaby cię, czekając w skupieniu na odpowiedź.

- Być może - odpowiedziałbyś. - Ale nie z tobą, moja panno.

Ona może nie od razu by się z tym pogodziła. Usiadłaby ci okrakiem na kolanie, a ty wzdrygnąłbyś się, czując przez moment kościstą twardość jej krocza.

- A co? - rzekłbyś. - Dokąd chciałabyś pójść?

Może przygryzłaby wargę i powiedziała: - Oj, w zasadzie to nigdzie, Billy, myślałam tylko, że przejdziemy się po ulicy. No wiesz, tylko ty i ja...

Mógłbyś zawahać się przez moment. Dotknąć jej włosów. Bóg raczy wiedzieć dlaczego, ale kochasz tę swoją małą.

A Cally, przytykając sutek do mokrych usteczek posapującej Dory, podniosłaby wzrok z udawanym zniecierpliwieniem i powiedziała: - A idźcie już sobie obydwójce, jak tak chcecie...

To właśnie było w Cally najlepsze. To, jak starała się wszystko tak lekko traktować, udawać, że życie jest takie proste. Tak proste jak spacer ulicami.

Ale ty nie pójdziesz.

Nie zabierzesz Pinny, by zobaczyła pogłębiarki sunące z prądem i pod prąd rzeki. Ani nie pokażesz, gdzie powstaną nowe kanały i nie opowiesz o oświetleniu elektrycznym czy podziemnej kolei.

A ta kiełbasa - odwijana z papieru i kładziona na patelni może nawet w tym właśnie momencie - nigdy nie zostanie przez ciebie skosztowana. Nie będziesz patrzył, jak skórka chwyta światło, jak wytryskają soki - nie usłyszysz też pełnego zadowolenia westchnienia mięsa, które odpręża się w trakcie gotowania.

Przez całą tę drogę.

Przez całą drogę pociągami do Folkestone Billy trzyma mnie za rękę. Trzyma mnie, ale... Ale ja tak szybko niknę. Prawie już nie czuję jego dotyku.

Patrzę na swoją dłoń w jego, na jego w mojej i nie wiem, co robić. Chcę go dotknąć, lecz nie dotykam. Nie wiem już dłużej, jak na niego patrzeć.

Czy już mnie nie ma?

W oknach migają światła, uderza ulewny deszcz, potem mżawka. Pięką mnie oczy. Staram się widzieć to co on, staram się zapamiętać.

Przemykają pola i domki. Konie. Chmury. Inne obrazy, których nie potrafię nazwać.

- Lauro...

- Co takiego?

- Nic już.

Billy ściska moją dłoń. Nie czuję tego. Dziecko we mnie przekręca się szybko we śnie.

Strasznie dziwnie było znaleźć się znowu za tymi drzwiami. Wszystko odrobinę mniejsze, niż zapamiętałam, i jaśniejsze. Może to nowe okna? Ktoś nawet pofatygował się, żeby postawić na stole kwiaty.

- Chcę tylko - zwróciłam się do dosyć młodego mężczyzny, który zjawił się, marszcząc brwi, gdy nacisnęłam dzwonek - dowiedzieć się, gdzie zostało pochowane moje dziecko. Chcę wiedzieć dokładnie, na jakim cmentarzu, w której kwaterze, gdzie mogę pójść po tylu latach, żeby je znaleźć.

Popatrzył na mnie uważnie. Wciąż marszczył brwi, lecz nie był to wyraz niezyczliwości. Wydaje mi się, że po prostu tak bardzo chciał okazać się pomocny.

Nie wspomniałam o Goad's Place. Pomyślałam, że tak będzie lepiej. Pomyślałam, że zobaczę, co z tego wyniknie. Wtedy będę wiedziała.

- Trudno będzie ustalić coś dokładnie - powiedział, usiłując wyciągnąć ze mnie, ile wiem. - To nie będzie... pojedynczy grób.

- Wiem o tym.

- To dosyć dawno - stwierdził, gdy podałam mu datę.

- Proszę - rzekłam, robiąc wszystko, by mój głos nie zabrzmiał rozpaczliwie. - Proszę mi tylko powiedzieć gdzie.

W innym pokoju strasznie hałasował jakiś ptak, aleksandretta czy jakiś inny, skrzecząc i tłukąc się po klatce. Mężczyzna co rusz odwracał tam głowę.

- Będę musiał pójść go przykryć - powiedział. - Pani wybaczy. Chodziłam po pokoju w tę i z powrotem. Na ulicy panował hałas, po placu krzatali się ludzie. Taki ruch... Mnóstwo czasu upłynęło, odkąd ostatnio tu byłam.

- To dwadzieścia jeden lat - rzekł, wracając. - Będę musiał sprawdzić w zupełnie innej szafie...

- Dziękuję - powiedziałam. - Przykrył pan ptaka?

- Tak. Proszę mi jeszcze nie dziękować. Najpierw zobaczymy, co uda nam się znaleźć, dobrze?

- Co to za gatunek?

- Ptak? Jakaś papuga. Nie wiem, co tutaj robi. Ktoś ją zostawił pod drzwiami. A my nie jesteśmy przytułkiem dla ptaków...

Był bardzo młody i ostrożny. Nerwowo strzelał oczami po całym pomieszczeniu. Zastanawiałam się, od jak dawna tutaj pracuje. Przypominał jednego ze studentów Ewana - usiłował się przypochlebić i jednocześnie siebie za to nienawidził.

Uważnie zapisał w notesie nazwisko i datę oraz imię dziecka i zniknął na jakiś czas w innym pokoju.

Czekałam i rozglądałam się wokół siebie.



Przyglądałam się drzwiom i ścianie, i kwiatom. Za oknem zobaczyłam złotokap machający swoimi długimi, żółtymi palcami, i platan. Pomyślałam, że oba te drzewa musiały rosnąć tu tamtego dnia, kiedy stałam, przyjmując wiadomość, ale ich sobie nie przypominałam. Miałam wrażenie, jak gdyby wtedy stało się coś, co znam tylko z opowieści kogoś innego. Sama zbyt wiele nie pamiętałam.

Wrócił, nadal marszcząc brwi. Wyraz jego twarzy nie był dla mnie zaskoczeniem.

- Przepraszam - rzekł - ale zupełnie nie wiem, jak mam... cóż, to naprawdę bardzo dziwne. Chyba lepiej, żebym...

- Co takiego? - rzekłam, chociaż już wiedziałam.

- Czy mógłbym jeszcze raz sprawdzić nazwisko, imiona i daty?

Nasze łóżko jest wysoko w górze i widać z niego głównie morze. Szare morze i szare niebo zakryte chmurami tak spiętrzonymi, jakby zaraz miały przewrócić się i spaść z czubka świata.

- Byłoby cudownie, nie uważasz, gdyby to zrobiły - zwróciłam się do niego.

- Masz czasem najdziwniejsze pomysły, nieprawdaż?

To dosyć niezwykle i zupełnie niewybaczalne - mówił mocno skonsternowany młodzieniec.

Może był to dla niego pierwszy taki problem. Twarz mu płonęła, jakby to wszystko była jego sprawka.

- To duża placówka - mówił. - Zawsze zdarzają się pomyłki, tyle akurat wiem. A w tamtym akurat czasie zaginęło wiele akt. Zdziwiłaby się pani, jak wiele. Jednak ta sprawa jest, cóż, jak już powiedziałem, niewybaczalna.

Stałam w milczeniu. Z pokoju obok wciąż dochodził przytłumiony odgłos tłukącej się po klatce papugi.

- Mimo wszystko - rzekł po chwili - mogło przecież być gorzej... to znaczy...

- Mógł nie żyć?

Skinął.

- Bez trudu może go pani odnaleźć. Nadal mamy wszystkie dokumenty. Każę je dla pani wyciągnąć. To chyba powód do świętowania, nie uważa pani?

Wpatrywałam się w niego bez zdziwienia czy złości. Mój synek. Tyle lat minęło. Powód do świętowania. Wszystko na marne. Podróż stąd do Francji.

- Dali mi nawet jego kocyk - powiedziałam głosem bez wyrazu. - Jak pańskim zdaniem sobie bez niego poradził?

Młody człowiek zamrugnął. Widać było, że zabrakło mu słów.

Nie powiedziałam Billy'emu, nie powiedziałam o niczym. Po co rujnować komuś życie, jeśli nie będzie się przy nim, żeby pomóc czy pocieszyć albo zobaczyć, jak się wszystko potoczy?

Jeśli mamy być razem, wszystko musi pozostać tak jak dotychczas. Wargę przy wardze. Kończyną przy kończynie.

Całe nasze życie wiodło ku temu - ja i on, i morze, które mogłoby nas zabrać wszędzie.

A Pinny miała rację. Leżę, tak jak się domyśliła, na Mawbey Place.

Ewan wybrał to miejsce ze względu na niewielką odległość od domu, dlatego że jest ładne, dobrze utrzymane i że leży tam Eve. Nie przeszkadza mi to. Leżę po drugiej stronie od niej, pod ciemnym, rozłożystym cisem. Jest tutaj chłodno i cieniście. Duch mój jest wolny, nie strzeżony - chodzę, gdzie mi się żywnie podoba.

Po tym, jak wyciągnęli mnie z rzeki, Ewan rozmawiał z policją i podpisał dokumenty stwierdzające, że to nie było samobójstwo. Miałam szczęście. Gdyby nie on, poszłabym do nie poświęconej ziemi. Czy by mi to przeszkadzało? A jak myślicie?

Tak czy owak jest to spokojne miejsce, ziemia ciemna, powietrze płowe i zimne. Niektóre z nagrobków są tak stare i pochylone, że nawet nie widać do cna wytartych napisów. Inne znowuż - smutne i świeże, ozdobione ciętymi kwiatami, wysypane lśniącym białym żwirem - nieuchronnie mogiły starych ludzi i niespodziewane niemowląt, niedawno odwiedzone, oplakane i świeżo wykopane.

Wiem, co się teraz zdarzy.

Któregoś dnia ona znowu się tu zapłacze po drodze dokądś - a może wcale nie po drodze, może zwyczajnie będzie biegać to tu, to tam, jak mówiłaś, że lubi. I z przyzwyczajenia chwyci się czarnego ogrodzenia i spojrzy poprzez długą trawę i cienie.

To tutaj, pomyśli sobie. Tutaj widziałam wyryte jej imię i nazwisko, wyraźnie jak na dłoni.

I zobaczy znowu grób - nie taki już świeży i ciemny - i ogarnie ją dziwne, niespokojne uczucie. Uczucie, którego nie będzie umiała opisać ani nazwać. I pomyśli, jak długo ciebie już nie ma, i poszepcze trochę, i pomruczy, żeby odpędzić złe duchy.

Nigdy jej nie wierzyłeś, prawda? Myślałeś, o czym ona, na Boga, mówi? Przecież jest bystra jak woda w strumieniu, twoja Pinny, tylko na własne nieszczęście ma zbyt wybujałą wyobraźnię - w jej głowie bez przerwy kłębi się tyle pomysłów, że trudno za nią nadążyć. Ale nie przejmowałeś się. Mężczyźni ją z tego wyleczą, jak wiedziałeś. Zaloty chłopców i mężczyzn.

Cóż, ma już załóżki piersi. I jest taki jeden sklep, gdzie nie pójdzie po sprawunki, jeśli wpierw nie wplecie kawałka wstążki we włosy. To już się dzieje, a ciebie tam nie ma i nie widzisz.

Pinny zapatrzy się w mroczne wieczorne powietrze. Zapatrzy się na mój grób. I wtedy dostrzeże mężczyznę

stojącego tam, tuż przy grobie, zapatrzonego w zamyśleniu, w powadze w nicość.

Dostrzeże go z powodu włosów. Pomyśli, że nigdy jeszcze nie widziała tak zadziwiająco jaskrawych rudych włosów. Pomyśli, że takie coś można zobaczyć tylko w cyrku.

A to z kolei przypomni jej, że widziała raz cyrk, z tobą. Zabrałeś ją tam, gdy była młodsza, i zobaczyła lwa morskiego - obślizgłe, porykujące, podobne do psa stworzenie z grzywą na szyi. Wpatrywała się w niego jak urzeczona, dopóki nie począł z powrotem za kurtynę. Nigdy nie zapomniała jego żalosego, pożegnalnego jęku.

Nie ma cię tam już i nie zabierasz jej w różne miejsca. Od czasu gdy odszedłeś, niekiedy płacze i płacze.

Nie, nic ci nie powiedziałam, zupełnie nic. Po co? Po co rujnować życie, które tak ładnie się toczy?

Potrzebowałam cię, Billy. Jak długo twoim zdaniem cię szukałam? Czy naprawdę miałam ci znowu dać odejść? Potrzebuję cię, mój kochany, a ty mnie nie. Dlatego to niebezpieczne - tak to już zawsze jest. Tak zawsze będzie.

One, dzieci, skażają. Wnikają w twoje kości. Czy miłość może być zbyt wielka? No, może? Miłość. Znaie na to odpowiedź. Wielkie nieba. Wszyscy ją znamy.

Dam ci teraz ukojenie, mój syneczku. Dałam ci je kiedyś, a teraz dam znowu. Zmierzało do tego całe nasze życie. Nie żałuj mnie, mam, czego chciałam. Choćby nawet zajęło to sto lat, było warto - warto było znów trzymać cię w ramionach. Warto było kochać cię do obłędu. Warto było pozwolić ci odejść.